

*Margaret McPhee*  
*Ucieczka Heleny*

*Szkocja, XIX wiek*

*Na wpół żywa Helena ocknęła się na brzegu morza. Z powodu sztormu zatonięła łódź, którą płynęła, i tym samym nie powiodła się desperacka próba ucieczki od mężczyzny, zwanego diabłem z St Vey. Od pięciu lat więził Helenę. Nieoczekiwaną pomoc Guya Varingtona, który przypadkiem natknął się na nią na plaży, przyjęła z ulgą, ale i z nieufnością. Nie wyjawiała prawdy o sobie; nie powiedziała też, dlaczego tak pilnie chce opuścić Szkocję. Mimo to przyjęła propozycję najwyraźniej oczarowanego jej urodą Guya, który zaproponował wspólną podróż do Anglii. Wydawało się więc, że dla nieszczęsnej uciekinierki pojawiła się szansa. Jednak jej prześladowca znowu dał znać o sobie...*

## **Rozdział pierwszy**

*1 listopada 1815 roku - Ayrshire, Szkocja*

Samotny mężczyzna wędrował brzegiem morza, obserwując białe grzywy fal, które rozbijały się o nadbrzeżne skały. Niebo było zasnuwane ołowianymi chmurami, a zdradziecka mżawka zdążyła już zupełnie przemoczyć jego wełniany surdut i wsiąkała w kamizelkę, pod którą miał tylko bawełnianą koszulę. Ślady butów na piasku znaczyły przebytą przez niego drogę. Mewa głośnym krzykiem oznajmiała swą obecność, a porywisty wiatr świszczący przez całą noc potargał ciemne włosy wędrowca i nadał czerstwą barwę jego policzkom. Guy Tregellas, wicehrabia Varington, starał się ignorować przenikliwy chłód i wilgoć, ale nie po raz pierwszy pomyślał z tęsknotą o Londynie, w którym wichura nie przesywała do szpiku kości, nie lało bez przerwy i nie było ciągnących się jak okiem sięgnąć pustkowi, gdzie można liczyć jedynynie na towarzystwo owiec i bydła. Starał się omijać sterty wodorostów i kawałków drewna, wyrzuconych na brzeg podczas całonocnego sztormu. Nie czuł już prawie bólu głowy ani mdłości, lecz pozostało mu wspomnienie whisky wypitej ubiegłej nocy. Guy uznał, że spacer będzie najlepszym antidotum na ka-

**Margaret McPhee**

ca, nie przerywał więc wędrówki po tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku. Przekroczył wpadający do morza strumień, starając się nie stracić równowagi na śliskich kamieniach, i minął półkolisty cypel. I wtedy dostrzegł ciało. Ciemną postać zaplątaną w kępę wodorostów.

W pierwszej chwili sądził, że to jakaś pechowa foka zaskoczona przez burzę na otwartym morzu. Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że się mylił. Kobieta leżała na boku, skulona, jakby pogrążona we śnie. Oblepiająca jej ciało mokra sukienka odsłaniała białe łydki i bosc stopy. Z rozdartego rękawa wyłaniało się zakrwawione i posiniaczone ramię. Guy przewrócił kobietę na plecy i odsunął z jej twarzy wilgotne kosmyki długich włosów. Miała dwadzieścia parę lat i pomimo żalostnego stanu, w jakim się znajdowała, nadal była piękna. Przyłożył palce do jej szyi i wyczuł słaby puls. Widział już zbyt wiele martwych ciał, toteż odetchnął z ulgą, że przynajmniej w tym kołatała się jeszcze iskra życia. Powieki kobiety drgnęły niespodziewanie, uniosły się i na mężczyznę spojrzały zamglone, zielone oczy.

- Anioł - szepnęła w zachwycie. - Wspaniały, mroczny anioł przyszedł mi na ratunek. - Uśmiechnęła się leciutko i znów zamknęła oczy.

- Czekaj! - zawołał Guy. Złapał ją za ramiona i potrząsnął w obawie, że zrezygnowała z walki o życie. Wydawało mu się, że uciekło ono ostatecznie z jej zimnego, mokrego ciała. Zapomniał o kacu, przejęty grozą. Potrząsnął nią mocniej i podniósł głos: - Do licha, dziewczyno! Nie waż się umierać!

Wróciła do świata żywych w momencie, gdy zaczął już podejrzewać, że przybył za późno. Przez kilka sekund leżała bez ruchu i próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest i co się stało. Potem podniosła wzrok na twarz Guya.

## Ucieczka Heleny

7

- Agnes - wyszeptała zeszywniałymi wargami. Spozrzegł w jej oczach niepokój.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołał. Zerwał z siebie surdut i otulił nim dziewczynę. - Muszę cię zabrać do Weira.

- Agnes - powtórzyła rozpaczliwie. - Pokojówka... ze mną w łodzi... i stary Tam.

Mężczyzna rozejrzał się uważnie po plaży. Nie dostrzegł niczego poza piaskiem, morzem, skałami, muszlami, wodorostami i drewnem. Żadnych ciał ani Agnes, ani Tama, starego czy młodego.

- Nie ma ich tutaj - powiedział łagodnie. - Powiedz, jak ci na imię.

- Helena - szepnęła tak cicho, że wiatr niemal zagłuszył jej głos. Tylko tyle, nic więcej. Z największym trudem wciągała do płuc powietrze, słaba i bezsilna wobec gwałtownych porywów wiatru i huku fal, które rozbijały się o brzeg w odległości zaledwie paru jardów.

Guy widział, jak walczyła, by nie pogrążyć się znowu w ciemności. Rozpaczliwie próbowała zachować przytomność, choć powieki same jej opadały. Wargi się poruszyły. Pochylił się, by móc usłyszeć szept niewiele głośniejszy od westchnienia.

- Proszę... - Nie dowiedział się, co chciała powiedzieć. Zamknęła oczy i wyczuł, że odpłynęła.

- Heleno. - Dotknął jej policzka, potem lekko poklepał po twarzy.

Żadnej reakcji.

Tylko słaby puls świadczył o tym, że w jej ciele tliła się jeszcze iskra życia.

Zaklął pod nosem i jednym ruchem poderwał ją z ziemi. W przesiąkniętym morską wodą ubraniu była ciężka.

**Margaret McPhee**

I zimna. Jeszcze nigdy żywy człowiek nie wydał mu się taki zimny. Zupełnie jak zwłoki. Jej ciało było całkowicie bezwładne. Guy nie tracił czasu. Trzymając dziewczynę w ramionach, ruszył przez piach i skały do Seamill Hall.

Helena otworzyła oczy i spojrzała na ozdobiony sztukaterią sufit, który wydał jej się znajomy. Uznała, że jest w swoim pokoju. Na szczęście sama, bo materac nie ugiął się pod ciężarem męskiego ciała. Nie było też wyciągających się do niej nachalnych rąk ani odoru spoconego mężczyzny. Na samą myśl o tym zrobiło się jej mdło, a po kręgosłupie przebiegł dreszcz. Poruszyła palcami, by podciągnąć brzeg kołdry. I w tym momencie zauważyła, że sufit jest jednak nieco inny. Znieruchomiła. Również światło wydawało się jaśniejsze niż zwykle. Z wysiłkiem uniosła się na łokciach i ignorując pulsujący ból głowy, rozejrzała się po pokoju.

Znajdowała się w niewielkiej sypialni utrzymanej w ciepłej, żółtej tonacji. Wnętrze wydawało się czyste i przytulne, jak w prawdziwym domu. Nieco podniszczone, ale eleganckie. Łóżko, mniejsze i wyższe od jej własnego, otaczały podciągnięte teraz do góry zasłony w żółto-zielone pasy. Obok kominka, na którym buzował ogień, ustawiono wygodny fotel. Nad nim wisiał obraz przedstawiający panoramę zatoki Clyde z jej wysepkami. Przy drzwiach stała dębowa szafa, a pod oknem komoda oraz niewielka, ozdobna toaletka we francuskim stylu. Na stole obok łóżka zobaczyła biało-niebieski malowany dzban i miskę oraz szereg drobiazgów toaletowych. Wszystkie te przedmioty były Helenie kompletnie nieznane. Gdzie ja jestem? - zastanawiała się i nagle zrobiło jej się słabo. Spowijająca jej umysł mgła powoli zaczęła się rozwiewać. Wracała jej pamięć. Była z nią Agnes. I stary Tam,

## Ucieczka Heleny

9

który wiosłował w ciemnościach po czarnym morzu. Gdy wypływali, nie było wiatru ani deszczu, tylko martwa cisza. Tam zapewniał, że zdążą dotrzeć do celu, zanim się rozpada. Wydawało jej się, że w ciszy pokoju znów wyraźnie słyszy jego głos: „Bez obaw, panienko Heleno. Odstawię was obie na stały ląd, zanim przyjdzie deszcz”. Okazało się jednak, że nie miał racji.

Helena pamiętała ciężkie krople deszczu, które uderzyły nagle i niespodziewanie, a potem wysokie, groźne fale spiętrzone przez wiatr, który z minuty na minutę przybierał na sile. Morze zdawało się wrzeć z wściekłości, z rykiem biło w niewielką łódź wiosłową, aż wreszcie zalało ją wodą i pochłonęło pasażerów. W ciemnościach Helena nie widziała Agnes ani Tama, słyszała jednak krzyk przerażonej pokojówki i nawoływania starego człowieka, zagłuszone przez wycie wiatru.

W pierwszej chwili woda wydała jej się lodowata, wkrótce jednak przestała zwracać uwagę na zimno, pochłonięta walką z ogarniającym ją zmęczeniem i pokusą, by zamknąć oczy, poddać się i pogrążyć się w czarnej nicości. I pewnie to właśnie zrobiła, bo nie pamiętała już nic więcej aż do chwili, gdy otworzyła oczy na plaży i zobaczyła nad sobą twarz anioła.

Naturalnie, zdawała sobie teraz sprawę, że musiało się jej wydawać. Anioły, nawet jeśli naprawdę istniały, nie przychodziły przecież z pomocą takim osobom jak ona. A jednak ciągle jeszcze miała tę twarz przed oczami. Nie pojmowała, jak mogła ją sobie tak plastycznie wyobrazić. Próbowwała wrócić pamięcią do tego, co się zdarzyło na plaży, ale mimo wysiłku, od którego zaczęło jej huczeć w głowie, nie zdołała przypomnieć sobie niczego poza nachylającą się nad nią twarzą: wielkie krople deszczu ściekały z czarnych włosów na wysmagane wiatrem policzki i jasne czoło i patrzyły na nią najbar-

**Margaret McPhee**

dziej przenikliwe oczy, jakie kiedykolwiek widziała - jasnobłękitne jak tafła lodu, pełne mocy i troski.

Pod ich spojrzeniem poczuła się bezpieczna. Poza tym obrazem w jej pamięci nie pozostało już nic.

Nie miała pojęcia, gdzie teraz jest ani w jaki sposób tu trafiła. Wiedziała tylko jedno: musi natychmiast uciekać, zanim Stephen ją odnajdzie. Musi biec ile sił w nogach. Biec bez przerwy. Bez wytchnienia. W realnym świecie nie ma bowiem pięknego ciemnowłosego anioła, który mógłby jej przyjść na ratunek. Trzeba liczyć na własne siły. Odrzuciła przykrycie i dość niepewnie stanęła na nogi.

Całe jej ciało było obolałe, zdawało się obce i chwiejne. Helena zdołała jednak przejść przez pokój.

Determinacja i strach dodały jej sił. Szybko umyła się w zimnej wodzie z dzbana i włożyła swoje ubranie, które zostało uprane, wysuszone i naprawione. Niestety, nie znalazła butów ani pończoch, podobnie jak kapelusza i torby podróżnej.

Zerknęła w lustro i zobaczyła na skroni duży, ciemny siniak. Drgnęła, gdy dotknęła palcami bolesnego miejsca. Ciekawe, skąd się wziął, pomyślała, nie przypominając sobie uderzenia w głowę. Jej twarz była bledsza niż zwykle, a oczy podkrążone ze zmęczenia. Nie mogła sobie pozwolić na stratę czasu. Zwinęła włosy i związała w węzeł na karku. Miała nadzieję, że ta fryzura jakoś się utrzyma.

Szybko wygładziła pościel, żeby trochę uporządkować pokój. Z wielkiej drewnianej skrzyni stojącej w nogach łóżka wyjęła starannie złożony koc. Jej wzrok przykuły leżące na stole przybory toaletowe - szczotka i grzebień w srebrnej oprawie. Prawdopodobnie uzyskałaby za ten komplet niezłą cenę, ale pomimo desperacji nie mogła odwdziaczyć się w taki sposób nieznanemu człowiekowi, który udzielił jej pomocy. Wystar-

## Ucieczka Heleny

11

czy, że ukradnie mu koc. Podbiegła do drzwi, odwróciła się i jeszcze raz objęła spojrzeniem sypialnię. W kominku buzował ogień. Wnętrze było ciepłe i przytulne. Przez moment niemal zapragnęła tu zostać.

Niemal. Odwróciła się i przyciskając koc dół piersi, otworzyła drzwi.

- Świetna broń! - Varington z uznaniem przyglądał się leżącej przed nim strzelbie. - Doskonale wyważona. - Potrzymał ją w rękach, a potem przyłożył kolbę do ramienia i wycelował.

John Weir uśmiechnął się zadowolony z pochwały przyjaciela i powiedział:

- Dzięki niej polowanie nabiera całkiem innego wymiaru. Można ustrzelić królika z odległości pięćdziesięciu kroków albo trafić pardwę, przekonaną, że dzieli ją od myśliwego bezpieczna odległość. Może miałbyś ochotę spróbować? Mam drugą w łodzi, leży w schowku, dobrze naoliwiona. Trzymam ją tam, bo mewy znakomicie nadają się do ćwiczeń w strzelaniu do celu. Każę ją przynieść dla ciebie.

Wyberzemy się razem na wrzosowisko. Udzielisz mi wskazówek, jak poprawić celność strzału.

Oczywiście, jeśli masz ochotę. - Weir przypomniał sobie nagle, że jego kompan nie znosi szkockiej aury, dorzucił zatem: - Brown twierdzi, że jutro się wypogodzi. Może nawet wyrzy słońce.

Guy zmrużył oczy i spojrzał na niego z udawaną podejrzliwością.

- Chyba nie sądzisz, że uda ci się mnie namówić? Jestem tu już od tygodnia i ani razu nie widziałem słońca. O ile mnie pamięć nie myli, to nie było nawet jednego dnia bez deszczu.

- Zapamiętaj moje słowa: jutro będzie inaczej. - John skinął głową z powagą. - Szkoda zmarnować tych kilku godzin



**Margaret McPhee**

słońca, które można wykorzystać na doskonalenie umiejętności strzeleckich. A widoki z wrzosowiska są cudowne. Kiedy wiatr rozwieje chmury, widać wszystkie okoliczne wyspy.

- Nie interesują mnie te twoje „cudowne widoki” i doskonale o tym wiesz. Jeśli jednak obiecasz zabrać ze sobą piersió-weczkę, to chętnie przyjmę zaproszenie.

- Zrobione! - Weir się roześmiał. - Mam w piwniczce baryłkę znakomitej whisky z wysp, o lekkim posmaku torfu. Na pewno będzie ci smakować.

- Na pewno - potwierdził z przekonaniem Guy. Jego kompan wskazał ruchem głowy broń.

- Przypomina ci lata służby w oddziale strzelców?

- Naturalnie - odparł tamten, przesuwając palcem wzdłuż kolby.

- Brakuje ci tego?

Wicehrabia uśmiechnął się nonszalancko.

- Czasami. Ale to stare dzieje. - Obrzucił przyjaciela łobuzerskim spojrzeniem. - Teraz mam nowe, zupełnie inne zainteresowania. Znalazłem znacznie ciekawszy sposób spędzania czasu. Jesteś żonaty, Weir, ale chyba nie zapomniałeś jeszcze pewnych przyjemności.

- Skoro tak twierdzisz, Varington.

Na ustach Guya pojawił się leniwy, arogancki uśmiešek.

- Tak twierdę.

Weir wziął do ręki strzelbę.

- Wróćmy do przygotowania broni.

Obaj mężczyźni w przyjaznym milczeniu wzięli się do pracy.

- Co zamierzasz zrobić z tą kobietą na górze? - zapytał po pewnym czasie John. - Nic nie wskazuje na to, by

## Ucieczka Heleny

13

miała się obudzić, choć doktor Milligan zapewnia, że nic jej nie jest.

- Poza siniakami i wyczerpaniem.

- Jednak to już trzy dni...

- Obudzi się, kiedy przyjdzie czas - zapewnił Guy.

- Na razie nie wiemy nawet, kim ona jest.

- Tajemniczą damą. - Wicehrabia Varington uniósł drwiąco brew, jakby nie przywiązywał do tego wagi. Starał się nie myśleć o tej chwili na plaży: gdy zdawało się, że dziewczyna traci życie, serce ścisnęło mu się boleśnie. To wspomnienie przywodziło mu na myśl mroczny epizod z przeszłości, do którego nie chciał wracać pamięcią.

- Musisz przyznać, że to dość dziwne - zauważył Weir. - Kobieta zostaje wyrzucona na brzeg po nocnym sztormie, a nikt w okolicy nie zgłasza jej zaginięcia.

Guy wzruszył ramionami.

- Może nie ma rodziny? A może rodzina była z nią na morzu podczas burzy? Co powiedział konstabl?

- Obiecał przeprowadzić w tej sprawie dochodzenie.

- Więc nie masz się czym martwić.

- Poza zagadkową kobietą, która śpi na górze w jednym z moich pokoi.

Na ustach wicehrabiego pojawił się łobuzerski uśmiezek.

- Gdyby spała w jednym z moich pokoi, wcale bym się nie skarżył.

Weir prychnął.

- Nie wątpię, ale nie w tym rzecz. Nic o niej nie wiemy! Annabel mówi, że pokojówka, która zabrała do prania suknię tej topielicy, znalazła w rąbku spódnicy jakiś kluczyk. - Sięgnął do kieszeni. - Proszę, spójrz tylko. - Wyciągnął w stronę

**Margaret McPhee**

wicehrabiego otwartą dłoń, na której leżał mały srebrny kluczyk, dość niestarannie wyrobiony.

- Wygląda mi to na klucz do jakichś drzwi wewnętrznych - zauważył Guy, wzięwszy do ręki przedmiot z zimnego metalu.

- Dlaczego, u licha, ta kobieta nosiła klucz w rąbku spódnicy? - zastanawiał się jego przyjaciel. - To kompletnie bez sensu.

- Może go przed kimś ukryła? Skąd mam wiedzieć? - odrzekł wicehrabia, wzruszając ramionami.

Schował kluczyk do kieszeni i dodał: - Dopilnuję, by w bardziej stosownej chwili trafił z powrotem do tej damy.

John jedynie westchnął wymownie.

- Mówiła coś? - zapytał.

- Nic, co miałoby jakikolwiek sens. Krzyczała przez sen, jakby się czegoś bała, ale trudno się temu dziwić, bo przecież przeżyła katastrofę.

- Nasza tajemnicza dama musi mieć piekielne szczęście, skoro zdołała przeżyć w morzu podczas listopadowego sztormu. - Weir się wzdrygnął.

Guy wybuchnął śmiechem, rozbawiony jego reakcją.

- Nie ma się z czego śmiać - powiedział urażony kompan. - Szczególnie kiedy sztorm ma miejsce w przeddzień Halloween. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że ona jest zwiastunem czegoś złego. Już sama jej obecność w tym domu sprawia, że ogarnia mnie niepokój. Żałuję, że ją tu przyniosłeś.

- Chyba przeczytałeś zbyt wiele gotyckich opowieści, przyjacielu - zakpił Varington. - Wolałbyś, żebym zostawił ją na plaży na pewną śmierć?

- Nie, oczywiście, że nie! Nikogo nie skazałbym na taką śmierć. I uchybiłbym obowiązkowi chrześcijanina, gdybym

## Ucieczka Heleny

15

postąpił inaczej. A jednak... - Na twarzy Johna malowała się niepewność. - Muszę mieć na uwadze bezpieczeństwo Annabel i dziewczynek.

- Za kogo uważasz tę kobietę? Za złodziejkę? Morderczynię? - Guy zmrużył oczy z ironią. - A może za czarownicę? Rzeczywiście, ma rude włosy. Weir zmarszczył czoło.

- To nie jest temat do żartów, Varington. Może to rzeczywiście całkiem niewinna dziewczyna, ale odkąd pojawiła się w naszym życiu, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że straciłem kontrolę nad biegiem wydarzeń.

- John, ona naprawdę nie jest w stanie knuć żadnych nie-godziwości. Gdyby nawet odzyskała przytomność, to pewnie nie miałaby siły przejść na drugi koniec pokoju.

- Nie jesteś zaniepokojony ani trochę?

- Nie - zapewnił zgodnie z prawdą Guy.

- A powinieneś! Bo ją tu przyniosłeś. Jeśli się okaże, że to kryminalistka, odpowiedzialność spadnie na ciebie.

- Winien i osądzony! - Wicehrabia parsknął śmiechem. - Co zrobimy, jeśli wkrótce się nie obudzi? - zapytał

Weir.

- My? - Guy westchnął skruszony, spostrzegłszy rosnącą irytację przyjaciela, i stwierdził z nonszalancją, która doprowadzała Johna do szału: - Cóż, chyba dam się namówić, by się nią zaopiekować.

- Varington! Czort jedyny wie, dlaczego tak mi zależało na twoim przyjeździe do Seamill.

- Może ze względu na moje czarujące towarzystwo? Weir nie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

Ciche pukanie do drzwi zaanonsowało wejście służącego, który podszedł do swego pana i szepnął mu coś do ucha.

**Margaret McPhee**

- Nie może przyjść później? Sługa znów zaczął coś szeptać.

Na twarzy Johna odmalowała się irytacja.

- W takim razie pójdę się z nim zobaczyć - oznajmił w końcu i dodał, zwracając się do Guya: - Kłopoty z jednym z dzierżawców. Chyba nie da się tego odłożyć na później. Wybacz, proszę. Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

Wicehrabia Varington odprowadził kompana wzrokiem, po czym ponownie skoncentrował uwagę na trzymanej w rękach broni.

Helena zamarła, gdy usłyszała dźwięk najpierw otwieranych, a potem zamykanych drzwi wejściowych. Wpadła w panikę, nie mogła się ruszyć, wydobyć z siebie głosu, a nawet oddychała z trudem. Nieznane męskie głosy, czyjeś kroki, a potem znowu otwieranie i zamykanie drzwi. Wreszcie cisza. Serce waliło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Zaczęła oddychać miarowo, żeby uspokoić oszalały puls. Wsłuchiwała się w ciszę. Wiedziała, że musi się ruszyć, uciekać, zanim ten ktoś, kto zszedł na dół, powróci. Po cichu, na bosaka podbiegła do schodów.

Guy znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. W panującej wokół ciszy jego uszu dobiegło cichutkie poskrzypywanie schodów. Z niewiadomych powodów ten normalny przecież w ciągu dnia odgłos tym razem go zaalarmował. Przypomniał sobie, że Annabel wyjechała z dziećmi na cały dzień, i jego niepokój przybrał na sile. Miał dość oleju w głowie, by nie ignorować instynktu. Cicho odłożył strzelbę na stół i zwrócił się ku drzwiom.

## Ucieczka Heleny

17

Zszedłszy po schodach do holu, Helena rozejrzała się nerwowo i ruszyła w stronę solidnych dębowych drzwi wejściowych. Objęła palcami okrągłą wypolerowaną gałkę z brązu i poczuła na skórze chłód metalu. Powoli przekreśliła gałkę, starając się nie robić hałasu. Uchyliła drzwi i zadrżała, gdy prąd zimnego powietrza owiał jej gołe nogi. Otworzyła skrzydło szerzej i wiatr smagnął jej w twarz lodowatym deszczem. Niebo było nadal zakryte szarymi, groźnie wyglądającymi chmurami. Spojrzała na żwirowy podjazd nasiąknięty nieustającą ulewą. Z determinacją przekroczyła próg i postawiła stopę na kamiennym stopniu półkolistych schodów.

- Chyba nie zamierza pani opuścić nas tak szybko? Drgnęła na dźwięk męskiego głosu. Krzyknęła, zrobiła półobrót i w mrocznym holu dostrzegła sylwetkę.

Zareagowała instynktownie, zbiegając po dwóch szerokich kamiennych schodkach na żwirowany dziedziniec. W pośpiechu odrzuciła na bok koc. Prawie nie zwracała uwagi na to, że coś ostrego wbija się w podeszwy jej stóp. Pędziła ile sił w nogach do żelaznej bramy zamykającej aleję wjazdową, nie bacząc na deszcz, który zalewał jej oczy, i kałuże rozbryzgujące się pod jej stopami. Biegła nieprzytomnie, choć brakowało jej tchu i piekło w gardle od daremnych prób złapania oddechu, niepomna na stłuczony bok, potworny ból głowy i ciężar nóg. Czuła, że lada chwila jej serce eksploduje, rozsadzając żebra. A jednak nie przestawała gnać przed siebie, ku drodze, którą widziała coraz wyraźniej przez pręty żelaznej bramy. Już blisko. Nagle jakaś dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i zatrzymała w biegu. Helena walczyła, wyrywała się rozpaczliwie, próbując się uwolnić.

Prześladowca unieruchomił jej nadgarstki.

- Proszę się uspokoić, nie zamierzam pani skrzywdzić.

**Margaret McPhee**

- Nie! - krzyknęła i zdwoiła wysiłki, by się oswobodzić.

- Błagam! - Przyciągnął ją do siebie i unieruchomił jej ręce. - Proszę na mnie spojrzeć.

Starła się wysliznąć, ale był zbyt silny.

- Proszę na mnie spojrzeć - powtórzył spokojnym i uprzejmym głosem.

Panika powoli zaczęła ją opuszczać. Ostrożnie podniosła wzrok i... zobaczyła niebieskookiego anioła ze swego snu. Nie, nie anioła, lecz mężczyznę z krwi i kości o włosach czarnych jak heban, skórze białej jak śnieg i przenikliwych błękitnych oczach spoglądających na nią ze współczuciem.

- Co pani, do dia... - Ugryzł się w język. - Jeszcze pani nie wydobrzała. Proszę wracać do domu.

- Nie wrócę.

- Bez butów, płaszcza, bez pieniędzy. Ciekawe, jak daleko zdołałaby pani zejść w taką ulewę? - Woda spływała strużkami po pięknej twarzy mężczyzny, a jego surdut nasiąkał deszczem, stając się coraz ciemniejszy. Helena stała tak blisko niego, że wyraźnie widziała każdą z hebanowych rzęs okalających jego jasne oczy, błękitny cień zarostu na podbródku... i krople deszczu spływające z włosów na blade policzki. - Wracajmy do domu - poprosił łagodnie. - Nie ma się pani czego obawiać.

Zamknęła oczy, o mało nie wybuchnęła śmiechem. Nie ma się czego bać! Akurat! Nie miał o niczym pojęcia. Kompletnie o niczym.

- Niech mnie pan puści, sir.

- Nie mogę. Nie przeżyłaby pani.

- Spróbuję. - Wołała podjąć ryzyko, niż beczynnie czekać, aż Stephen ją znajdzie.

- Możemy porozmawiać o tym w domu.

## Ucieczka Heleny

19

-Nie!

- W takim razie porozmawiamy tutaj, jeśli tak pani woli.

Drogą przetoczył się jakiś powóz, rozbryzgując błoto z kałuż. Helena spojrzała na karetę, przerażona, że Stephen mógłby ją zobaczyć w ramionach tego mężczyzny.

- Przemoknie pan, sir.

- Podobnie jak pani - padła zdecydowana odpowiedź.

Spojrzała w pełnej determinacji niebieskie oczy i zrozumiała, że nieznajomy jej nie puści. Uważał się za dżentelmena; gdyby znał prawdę, nie traktowałby jej z taką galanterią. Zadrzała.

- Zmarzła pani - stwierdził. - Chodźmy. - Delikatnie pociągnął ją w stronę domu, do drzwi, które wciąż jeszcze stały otworem.



## Rozdział drugi

Guy puścił Helenę dopiero wtedy, gdy stanęli przy kominku w zbrojowni Weira. W palenisku buzował ogień. Nalał dwie szklaneczki whisky, po czym wcisnął jedną z nich w dłoń dziewczyny, a drugą wypił. Bursztynowy płyn palił go w przelyku żywym ogniem, zanim spłynął do żołądka. Ona wciąż stała bez ruchu, z nietkniętą szklaneczką w ręku.

- Proszę wypić - polecił. - Po tym przemoknięciu przyda się pani coś mocniejszego.

Zawahała się, ale upiła łyk. Zakrztusiła się, gdy alkohol podrażnił jej gardło.

Wicehrabia Varington czuł, jak ciepło płomieni powoli rozgrzewa jego nogi. Z przemoczonej sukni Heleny zaczęła unosić się para.

- Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Stali przy kominku zwrócenii twarzą do siebie. Na jej policzkach lśniły jeszcze krople deszczu. Guy przeniósł spojrzenie na gęste, falujące włosy, które pod wpływem wilgoci pociemniały, nabierając głębszej barwy.

Nawet na niego nie spojrziała. Utkwiła wzrok w szklaneczce whisky, którą trzymała w dłoni, a jej mina wskazywała, że nie powinien się spodziewać odpowiedzi. Kawałek węgla trzasnął

## Ucieczka Heleny

21

i zasyczał w palenisku. Słysząc było tykanie zegara. Wiatr wył za oknem, szarpiąc okiennicami, a podmuchy były tak silne, że przedostając się przez nieszczelne futryny, poruszały zasłony. I nagle Helena zaczęła mówić, cicho i ostrożnie, z niepo-ruszoną twarzą.

- Kim pan jest, sir? I co to za miejsce?

- Zapomniałem o manierach. - Skłonił się lekko. - Jestem wicehrabią Varingtonem, a ten dom to Seamill Hall, rezydencja mojego przyjaciela, pana Weira. Wyraźnie pobladła.

- Seamill Hall? - Przymknęła oczy, jakby usłyszała nie dobrą wiadomość, ale kiedy znów uniosła powieki, jej spojrzenie nie zdradzało żadnych uczuć. - To pan mnie uratował na plaży - stwierdziła.

Potwierdził lekkim skinieniem głowy.

- Została pani wyrzucona na brzeg w pobliżu Portincross.

- Sama? - Nie zdołała ukryć niepokoju.

Guy przypomniał sobie, że na plaży szukała towarzyszy podróży, więc bez trudu domyślił się, o co teraz pytała.

- Całkiem sama - odparł łagodnie. Opuściła głowę i stała w milczeniu.

Wyciągnął do niej rękę, żeby choć trochę ukoić jej ból, ale gdy podniosła wzrok, miała w nim coś, co go powstrzymało.

- Przykro mi z powodu straty, jaką pani poniosła - powiedział tylko.

- Straty? Co pan ma na myśli, sir? - Zdążył dostrzec w jej oczach nagłą czujność, zanim ukryła je za spuszczone powiekami.

- Śmierć pani towarzyszy. Mówiła pani o nich na plaży.

- Nie pamiętam naszej rozmowy. - Odstawiła szklaneczkę whisky. Złożyła razem ręce, starając się zachować pozory spo-

**Margaret McPhee**

koju, ale zdradziły ją kłykcie, zbielejące od mocnego zaciskania palców. - Co mówiłam?

Wyczuwał emanujące z niej napięcie i był coraz bardziej ciekaw, czego tak bardzo nie chciała zdradzić.

Wzruszył lekko ramionami.

- Niewiele.

Wyraźnie się odprężyła.

- Pozostali pasażerowie łodzi najprawdopodobniej zginęli. Gdyby ktoś jeszcze został wyrzucony na brzeg, zapewne już byśmy o tym wiedzieli.

Znieruchomiała. Guyowi wydawało się, że wstrzymała oddech. W jednej chwili napięcie wróciło ze zdwojoną siłą, a na twarzy dziewczyny odmalował się wyraz najwyższej ostrożności.

- Ale przecież znalazł mnie pan zaledwie godzinę czy dwie temu.

- Ależ skąd - uśmiechnął się smutno - leży tu pani od trzech dni.

- Trzy dni! - Jej zdziwienie nie budziło wątpliwości. Pobladła tak mocno, że wicehrabia się przestraszył, iż Helena zaraz zemdleje.

Wyciągnął rękę, by ją podtrzymać.

- To niemożliwe - szepnęła, jakby do siebie. W jej oczach znowu pojawił się lęk. Zaraz jednak zniknął, jakby przypomniała sobie, gdzie jest, i zdała sobie sprawę z obecności i wsparcia Guya. Cofnęła się, bo jego bliskość wyraźnie ją zaniepokoiła. - Proszę wybaczyć - powiedziała. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Przeżyła pani szok. Proszę usiąść.

- Nie. - Zrobiła taki ruch, jakby chciała potrząsnąć głową, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i opadła na najbliższe krzesło.

## Ucieczka Heleny

23

- Dokąd pani biegła?

Nawet na niego nie spojrzała, odpowiedziała tylko głosem bez wyrazu:

- Nie ma pan prawa trzymać mnie tutaj wbrew mojej woli.

- Rzeczywiście, nie mam prawa.

Zauważył w jej oczach nadzieję. Zaciekawilo go, przed czym tak uciekała.

- Więc pozwoli mi pan odejść?

- Oczywiście.

- Dlaczego więc... - Zawahała się i przygryzła dolną wargę. - Dlaczego mnie pan zatrzymał?

- Nie po to ocaliłem pani życie, żeby pozwolić zaraz znów wystawić je na szwank. Nie jest pani odpowiednio ubrana na taką pogodę. - Co z niej za kobieta, myślał, patrząc na nią, że kiedy tylko podniosła się z łoża boleści, rzuciła się pędem do bram, nie zadając sobie nawet fatygi, by pożegnać tych, którzy się nią zaopiekowali?

- Muszę stąd odejść najszybciej, jak to możliwe.

- Po co ten pośpiech? Potrząsnęła głową.

- Nie mogę panu powiedzieć.

- Więc ja nie mogę pani pomóc.

Na jej ustach pojawił się ironiczny uśmiech. Przez chwilę wydawało mu się, że wybuchnie śmiechem albo płaczem, nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Nikt nie może mi pomóc. Zresztą wcale nie prosiłam pana o pomoc. - W jej słowach brzmiała tak przejmująca szczerść, że Guya przeszył nagły dreszcz.

- Nie ma pani ani pieniędzy, ani odpowiedniej odzieży. - Spojrzał na kremowe wypukłości jej piersi widoczne ponad

**Margaret McPhee**

głębokim wycięciem sukni. - I nie wróciła jeszcze pani do zdrowia po ciężkich przeżyciach. Jak daleko zdołałyby pani dojść bez pomocy?

- To nie powinno pana obchodzić.

- To powinno obchodzić każdego dżentelmena. Westchnęła lekko i odwróciła wzrok.

- Jeżeli naprawdę dobrze mi pan życzy, to proszę odprowadzić mnie do drzwi i pomachać mi na pożegnanie.

- Dlaczego tak spieszno pani odejść? Spędziła pani w tym domu trzy dni. Czy jeszcze jeden zrobi pani taką różnicę?

- Większą niż pan sądzi - odparła cicho.

- W takim razie proszę mi wyjaśnić, jakiego zła się pani tu spodziewa?

Lekko potrząsnęła głową i wbiła spojrzenie w podłogę. Guy zdał sobie sprawę, że musi znaleźć jakiś sposób, by skłonić ją do mówienia.

- A może powinienem zwrócić się z tym pytaniem do kon-stabla? Mam posłać po niego, żeby panią przesłuchał, skoro już odzyskała pani przytomność?

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami. Serce mu się ścisnęło z litości na widok jej kurczowo zaciśniętych dłoni. Nie przerywał jednak pełnego napięcia milczenia.

- Błagam... niech pan tego nie robi - powiedziała wreszcie, nie mogąc dłużej znieść ciszy.

Podszedł do niej, podniósł ją z krzesła i zapytał, patrząc jej prosto w oczy:

- Dlaczego nie?

Ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Była wycieńczona, nie odzyskała jeszcze sił po morderczej walce ze wzburzonym morzem. O mało nie utonąła. Skostnia-

## Ucieczka Heleny

25

ła z zimna i poobijana, została wyrzucona na brzeg na pewną śmierć. Jej towarzysze utonęli tej nocy w wodach zatoki Clyde. To, że ona uniknęła zagłady, graniczyło z cudem. Guy zauważył siniec, wyraźnie widoczny na jej białym czole. Zbliżył się tak, że dzielił ich zaledwie jeden krok.

- Proszę mi powiedzieć. - Spojrzał w jej cudowne szarozielone oczy. Malująca się w nich rozpacz chwyciła go za serce. - Przysięgam, że pani pomogę.

Patrzyła na niego badawczo, jakby chciała wyczytać z jego twarzy prawdę. Czuł, że się waha.

- Ja... - Urwała i głęboko wciągnęła powietrze. Wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

- Ja...

Drzwi zbrojowni zostały gwałtownie otwarte i w progu stanął Weir.

- Dziwna sprawa, Varington. Brown właśnie przyniósł koc z ... - Głos uwiązał Johnowi w gardle na widok sceny, którą miał przed oczami.

Helena odsunęła się i wicehrabia przeklął w duchu brak wyczucia przyjaciela. Nie mógł wejść do pokoju w mniej odpowiedniej chwili. Z twarzy dziewczyny zniknęły wszelkie emocje, stała się znów zamknięta i pozbawiona wyrazu. Zmiana była porażająca, jakby miał przed sobą całkiem inną istotę.

- Co, u licha...? - Weir wodził po nich wzrokiem. - Jesteście przemoczeni do suchej nitki!

- Wyszliśmy na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśnił Guy. - Trochę tu duszno.

Gospodarzowi najwyraźniej zabrakło słów. Patrzył na nich w osłupieniu.

- Właśnie miałem odprowadzić twojego gościa do poko-

**Margaret McPhee**

ju. Pani powinna się przebrać. - Skierował Helenę w stronę drzwi.

- Varrington.

Guy odwrócił się i spojrzał na niego pytająco. Tamten bez słowa wskazał ręką stopy dziewczyny.

Dopiero w tym momencie wicehrabia zauważył krwawe ślady znaczące jej drogę i szkarłatne obwódki na skórze stóp. Helena zmierzała jednak pewnym krokiem do drzwi.

- Pani stopy... Zniosę panią. - Złapał ją za rękę.

- Nie ma potrzeby.

Wydawała się tak spokojna i niewzruszona, iż zaczął podejrzewać, że to on sam popada w obłąd.

Przecież przed chwilą próbowała stąd uciec, porzucić ciepłe schronienie i opiekę w domu Weira!

Dlaczego? Był pewien, że nie miała dokąd pójść, bo po co zabierałaby ze sobą koc? Ale gdy ją zatrzymał, wyrywała się, walczyła, wreszcie błagała, by pozwolił jej odejść. Widział w jej oczach przerażenie, autentyczną grozę. A teraz stała spokojna, jakby wszystko było w najzupełniej-szym porządku. Guy wpatrywał się w nią przenikliwie.

Twarz Heleny była biała jak kreda, a pod oczami coraz wyraźniej rysowały się ciemne kręgi. Siniak na skroni pozwalał się domyślać, że głowa pękała jej z bólu, a krwawe ślady stóp wzięły się z poważnego skaleczenia. A tymczasem spoglądała na niego tak, jakby nic jej nie dolegało, jakby kompletnie nic nie czuła. Znowu zadał sobie pytanie, kim jest ta kobieta i przed czym w takiej panice uciekała. I dlaczego bała się kon-stabla. Przypomniał sobie podejrzenia Weira, że mogła być kryminalistką.

Spojrzał na przyjaciela.

John kiwnął głową z wyrazem troski na twarzy, bez cienia uśmiechu.

## Ucieczka Heleny

27

Guy odwrócił się i wyszedł z pokoju w ślad za zagadkową nieznajomą.

Helena koncentrowała się tylko na tym, by stawiać krok za krokiem, jedną nogę przed drugą. I znowu. Podeszwy jej stóp były jedną krwawiącą raną, zresztą całe nogi wydawały się ciężkie i sztywne. Głowa pękała jej z bólu do tego stopnia, że nie mogła zebrać myśli, a oczy nie nadążały za zmieniającymi się obrazami. Z trudem przełknęła ślinę, mdłości podchodziły jej do gardła. Ale pomimo bólu i obezwładniającej słabości szła naprzód. Krok za krokiem. Każdy zbliżał ją do sypialni. Nie ustawaj, nakazywała sobie w duchu. Myśl o innej drodze ucieczki. Nie zamierzała i nie mogła się poddać, dopóki miała dech w piersiach i krew krążyła w jej żyłach. Szła więc, starając się nie myśleć o bólu. Obmyślała swój plan; zawsze w podobnych sytuacjach koncentrowała się na planie.

Drzwi zbrojowni zamknęły się za nimi.

- Pani pozwoli... - Varington podał jej ramię.

Chciała odrzucić jego ofertę, ale czuła się tak fatalnie, że nie miała pewności, czy zdoła bez pomocy dotrzeć do pokoju. Lepiej przyjąć jego ramię, niż upaść. Powoli, bez zbędnych słów, ruszyli w stronę schodów.

Helena była jednocześnie wdzięczna i pełna pretensji za okazane jej wsparcie. Ramię wicehrabiego było silne i pewne, a jego bliskości dodawała jej otuchy, ale też napełniała niepokojem. Pachniał wodą kolońską i mydłem, zupełnie inaczej niż Stephen. Wszystko w nim świadczyło o bogactwie: wygląd, maniery, ubranie. Nawet akcent zdradzał, że należał do wyższych sfer. Helena potrafiła jednak bezbłędnie rozpoznać rozpustnika.

Podejrzewała, że wicehrabia Yarington, ze swym czarują-



**Margaret McPhee**

cym sposobem bycia i uderzającą urodą, przywykł dostawać od kobiet wszystko, czego zapragnął. A ona, jak ostatnia idiotka, była niemal gotowa mu zaufać i wyrzucić z siebie prawdę! Ciekawe, ile by mu powiedziała, gdyby ten drugi mężczyzna, ten Weir, nie wszedł nagle do pokoju. Te rozmyślenia pozbawiły ją resztek energii. A przecież powinna zmobilizować wszystkie siły, by dotrzeć do sypialni.

Pokonywanie kolejnych schodków kosztowało ją coraz więcej wysiłku. Obrazy zamazywały się jej przed oczami, miała zawroty głowy, a nogi wydawały się dziwnie ciężkie, toteż podnosiła je do góry z największym trudem. Opierała się o drewnianą poręcz, a z drugiej strony na ramieniu wicehrabiego. Na pierwszym podeście zatrzymała się na chwilę, dysząc tak, jakby wbiegła po schodach, a nie wspięła się na nie w ślimaczym tempie.

- Chyba będzie prościej, jeśli panią zaniosę - rzekł Guy głębokim, melodyjnym głosem.

-Nie, dziękuję. - Wymówienie tych dwóch krótkich słów kosztowało ją wiele wysiłku. Nie podniosła nawet na niego oczu, skoncentrowana całkowicie na utrzymaniu pionowej postawy. Pot zrosił jej czoło, a obraz przed oczami zamazywał się coraz bardziej. Skupiła spojrzenie na poręczy, na której zaciskała prawą rękę. Wypolerowane przez wieloletnie użytkowanie drewno było śliskie, pociemniałe i ciepłe w dotyku. Yarrington zapewne się uśmiechnął, bo w jego głosie pojawiła się przyjazna, zmysłowa i nieco kpiąca nuta.

- Jaka szkoda - rzekł. - Nie mogę się już doczekać, żeby znów panią ponosić na rękach.

Nie drgnęła i nie oderwała spojrzenia od poręczy.

- Nie rozumiem, milordzie.

## Ucieczka Heleny

29

- Chyba nie wyrzuciła pani z pamięci podróży z Portincross do Seamill Hall? Przez całą drogę panią niosłem.

Poręcz zaczęła falować przed oczami Heleny. Jeszcze mocniej zacisnęła na niej palce i na chwilę zacisnęła powieki.

- Proszę pani? - Rozbawienie zniknęło z głosu Guya, ustępując miejsca trosce.

- Chcę tylko złapać oddech - zdołała wykrztusić.

- Rozumiem - odrzekł i zanim zdążyła zareagować, wziął ją na ręce i ruszył po schodach na górę.

- Sir! - Starła się wykrzesać z siebie choć cień oburzenia.

- W ten sposób będzie pani łatwiej złapać oddech - odparł z uśmiechem.

- Wicehrabio - zdobyła się na słaby protest, ale zaraz zamilkła i dalej pozwoliła mu się nieść bez słowa.

Położył ją na łóżku.

Próbowała usiąść, nie chciała tracić cennego czasu.

- Proszę odpocząć - poprosił.

Dopiero w tym momencie Helena dostrzegła pokojówkę, która weszła za nimi do sypialni, niosąc dzban wody i jakieś płótno. Guy również ją zauważył i przywołał do siebie. Zdjął surdut i odwiesił go na krzesło przy kominku. Helena obserwowała go, gdy prostował się i podchodził do łóżka. Wiedziała, że powinna uciekać. Jego intencje były całkiem oczywiste. Bo po co mężczyzna zdejmuje surdut? Nie drgnęła jednak. Nie mogła. Ciało miała jak z ołowiu. Nie była w stanie poruszyć ręką ani nogą. Ze zdumieniem zobaczyła, że podwinął rękawy i nagle usłyszała chłupot nalewanej do miski wody. Nie do wiary! Varington zaczął myć jej stopy!

- Sir! - wyszeptała. - Proszę przestać!

Napotkała spojrzenie jasnych oczu, w których płonęła taka sama determinacja, jak w jej własnych.

**Margaret McPhee**

- Muszę oczyścić skaleczenia, żeby nie wdało się zakażenie - stwierdził.

Helena widziała zdumioną twarz pokojówki, która obserwowała całą scenę. Dotyk Guya był tak delikatny, że przypominał pieszczotę. Jedną ręką mocno trzymał jej stopę, a drugą muskał kawałkiem płótna poranioną podeszwę, zmywając z niej brud i krew oraz usuwając wbity w ciało żwir. Nigdy żaden mężczyzna nie dotykał jej z taką czułością. Jego palce były silne, ciepłe i delikatne, i przynosiły ukojenie. Ostrożnie zajmował się każdym skaleczeniem, jakby przez całe życie nie robił nic innego, jak tylko opatrywał pokiereszowane nogi. Helena miała wrażenie, że ból ją opuszcza. Nie tylko stopy, ale całe jej ciało poczuło ulgę, nawet głowa nie pulsowała już tak straszliwie. Leżała więc, bez protestu godząc się na zabiegi tak intymne, jakby byli kochankami. Ich oczy spotkały się i zrozumiała, że podobnie jak ona reagowała na jego męskość, tak on reagował na jej kobiecość. To nią wstrząsnęło. Odwróciła wzrok, a na jej policzki wypłynął zdradziecki rumieniec. Ręce wicehrabiego nie przerwały jednak pracy ani na moment. Kiedy uporał się z czyszczeniem stóp, posmarował je czymś piekącym.

Zagryzła wargę, żeby nie syknąć z bólu.

- Whisky - wyjaśnił. - Żeby zdezynfekować skaleczenia. Wytarł jej stopy i owinał je pasami płótna. Potem zwrócił

się do pokojówki.

- Przyniesi pani suche ubranie na zmianę i pomóż jej się przebrać. Weź też dodatkowe koce do przykrycia i dorzuć węgla do kominka.

Włożył surdut i stanął przy łóżku Heleny. Próbowała podciągnąć się do pozycji siedzącej, ale zaraz ciężko opadła na poduszki.

- Dziękuję - rzekła tylko.

Guy zachował nieprzeniknioną minę, ale wpatrywał się w nią bardzo intensywnie.

- Proszę odpocząć, jutro porozmawiamy - powiedział i cicho zamknął za sobą drzwi.

Spojrzała na pokojówkę, która wrzucała do ognia duże kawałki węgla. W pokoju było ciepło i bezpiecznie, nie docierał tu lodowaty, porywisty wiatr zza okna ani zacinający w szyby deszcz. Jutro Varington będzie chciał się dowiedzieć wszystkiego - kim ona jest i jak to się stało, że fale wyrzuciły ją na brzeg. Serce jej się ścisnęło na tę myśl. Musiała znaleźć sposób na wydostanie się z tej niezręcznej sytuacji.

- Co się stało, do licha? - zapytał Weir.

- Nasza tajemnicza dama próbowała w największym pośpiechu opuścić twój dom - odparł Guy.

- Co? Chcesz mi powiedzieć, że chciała uciec?

- Wiem, że trudno ci uwierzyć, iż jakakolwiek kobieta chciała ode mnie uciec, ale - uśmiechnął się smętnie - w tym wypadku to, niestety, prawda.

- Co ją napadło? - John zmierzył pytającym wzrokiem przemoczone ubranie przyjaciela. - Przecież dopiero co odzyskała przytomność, a pogoda raczej nie sprzyja spacerom.

- Raczej nie - zgodził się tamten.

- Więc dlaczego? Wicehrabia wzruszył ramionami.

- Dama nie miała jakoś ochoty wyjaśniać motywów swego postępowania. Najwyraźniej jednak nie życzy sobie przedłużać pobytu w tym domu. Prawdopodobnie nie chce ci sprawiać kłopotu - zełgał.

Było bardziej prawdopodobne, że wolała uniknąć spotka-

**Margaret McPhee**

nia z konstablem, nie widział jednak powodu, by poruszać ten temat; obawiał się, że Weir mógłby ją natychmiast wyprosić.

- Do licha! Przecież nie wyrzucę z domu kobiety, która nie odzyskała jeszcze sił. Ale...

- Ale? - podjął Guy.

- Wiesz, że nie jest pod moim dachem mile widzianym gościem.

- Daj spokój, nie mów mi, że nie uważasz jej za piękność.

- Wygląda jak dziewczyna lekkich obyczajów - zauważył John.

- Tak, ale bardzo pociągająca dziewczyna - odparł jego przyjaciel z uśmiechem. Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział takiej piękności, a przecież Guy Tregellas, wicehrabia Varington, widział już w życiu bardzo wiele pięknych kobiet. - Te jej włosy... i suknia... i bosc stopy... kostki... Boskie! - Przyłożył palce do ust i przesłał Weirowi pocałunek. - Należałoby podziękować morzu, że ją nam dało. Zbyt pochopnie wydałeś o niej sąd, stary. Może to dama godna najwyższego szacunku.

- Mało prawdopodobne.

- Uprzedziłeś się do niej przez jej urodę.

- Nonsens! Czy któryś z sąsiadów widział ją przed domem? - John potarł czoło z nieskrywanym niepokojem. - Do licha, mogli wyciągnąć z tej sceny tylko jeden wniosek.

- To znaczy?

- Komu jak komu, ale tobie nie muszę o tym mówić, Varington. Trzeba jej znaleźć jakieś przyzwoitsze ubranie.

- Jaka szkoda!

- Bądź wreszcie poważny! - Weir nalał sobie szklaneczkę whisky i napenił drugą, opróżnioną przez kompana. - Z pewnością rozumiesz mój dylemat. Nie mogę akceptować

obecności tego typu osoby w moim domu, pod jednym dachem z Annabel i dziewczynkami, ale nie mogę również zapomnieć o chrześcijańskim obowiązku udzielenia pomocy potrzebującemu. Nie wolno mi wyrzucić na ulicę chorej kobiety. - Zamilkł i pociągnął łyk whisky. - Kim ona jest? Powiedziała ci, jak się nazywa?

Guy zawahał się na moment, na tyle jednak krótki, że niezauważalny.

- Nie doszliśmy do tego.

Nie miał pewności, czy jej słowa wyszeptane na brzegu morza były prawdą, czy raczej majaczeniem półprzytomnej topielicy. Instynkt podpowiadał mu jednak, że mógł jej zaufać.

- W jednej chwili leży bez życia w gościnnym pokoju, a w następnej biega po moim dziedzińcu ubrana jak dziewczyna lekkich obyczajów! - Weir zacisnął mocno usta. - Boże, miej mnie w swej opiece! Co mam robić, Varrington?

- Nic nie musisz robić, zważywszy na jej determinację, by możliwie jak najprędzej opuścić Seamill Hall.

- Wcale mi się to nie podoba. Chyba powinienem sprowadzić konstabla, żeby sobie z nią porozmawiał.

Wicehrabia przypomniał sobie lęk dziewczyny, kiedy wspomniął o konstablu.

- Na razie nie ma potrzeby - powiedział, mając zamiar osobiście rozwikłać tajemnicę.

John pociągnął kolejny łyk whisky.

- A co się, u Ucha, stało z jej stopami?

- Biegła bosą po podjeździe i pewnie wbiła sobie w ciało szkło z rozbitej latarni. Jeszcze nigdy żadna kobieta przede mną nie uciekała. No, chyba że po sypialni i po to, abym ją za chwilę złapał.

**Margaret McPhee**

Weir nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Varington, na litość boską!

- Szokujące - zgodził się Guy pogodnie. - Ale to się zdarzyło po raz pierwszy.

- Miałem na myśli stopy tej kobiety - wyjaśnił przyjaciel z przekąsem.

Tregellas wybuchnął śmiechem.

- Skaleczenia nie są głębokie. Szybko się zagoją.

- To dobrze - stwierdził John. - Im szybciej ta nieznajoma stąd zniknie, tym lepiej. Jak mówiłem, jest w niej coś niepokojącego. I dlaczego próbowała stąd uciec, nie informując nas nawet, kim jest...? - Urwał i spojrzał na swego rozmówcę. - W dodatku chciała ukraść koc. Nie mylę się, prawda?

- Prawda - przyznał Guy z wesołym błyskiem w oczach. - Na szczęście zdołałem ją zatrzymać, zanim zdążyła zbiec z łupem.

- Sam widzisz. A nie mówiłem, że ona mi wygląda na kry-minalistkę? - Dostrzegając rozbawienie kompana, Weir dodał: - Czy ty nie możesz być poważny choć przez chwilę? Chcesz, żeby Annabel i dziewczynki ucierpiały przez tę kobietę?

Wicehrabia znał skłonności Johna do zamartwiania się na zapas, zrezygnował więc z kpin.

- Uważam za swój obowiązek dopilnować, by Annabel i dziewczynkom nie stała się najmniejsza krzywda. Jak słusznie zauważyłeś, ta nieznajoma znalazła się tutaj przeze mnie, dlatego na mnie spoczywa odpowiedzialność. - Tym razem Guy był poważny.

- Amen - skwitował Weir jego słowa i kiwnął głową.

- Amen - powtórzył Varington i jednym haustem wychylił szklaneczkę whisky.

## Ucieczka Heleny

35

Helena siedziała przy oknie i spoglądała na spokojną, błękitną taflę morza, które w ten słoneczny dzień było bardzo jasne. Jak oczy lorda Varingtona. Słyszała przenikliwe krzyki mew krążących na tle nieba i rytmiczny szum fal obmywających piaszczysty brzeg. Trwała tak, całkowicie ubrana, od szóstej rano. Od chwili, gdy się poddała i przestała śledzić leniwy ruch wskazówek zegara odmierzającego czas zbyt wolno.

Poruszyła nogami, szukając wygodniejszej pozycji, i poczuła, jak napinają się założone przez Guya płócienne bandaż. Ogarnęło ją nagle poczucie winy. Wiedziała jednak, że nie stać jej na taki luksus, jak wyrzuty sumienia. Ten mężczyzna nie byłby w stanie tego zrozumieć. Nie mógłby pojąć desperacji, która popycha człowieka do ucieczki za wszelką cenę, nawet za cenę życia. Przypomniały jej się jego słowa wypowiedziane poprzedniego dnia, chęć niesienia pomocy, ciepły głos, delikatny dotyk rąk i... nagle bardzo zapragnęła mu zaufać. Dawno, dawno temu pewnie by to zrobiła. Ale nie teraz. Pięć lat życia ze Stephenem dało jej dobrą szkołę. Co nie znaczyło, oczywiście, że wicehrabia Varington w jakimkolwiek stopniu przypominał Stephena.

Wróciła myślą do wysokiego ciemnowłosego mężczyzny, z powodu którego przez całą noc nie mogła zmrużyć oka. Był wyjątkowo atrakcyjny, zarówno zewnątrz, jak i pod względem charakteru.

Przystojny, czarujący, uwodzicielski... i gdyby nie on, nie byłoby jej już w Seamill Hall. A właściwie w ogóle nie znalazłaby się w tym domu. Najprawdopodobniej umarłaby na plaży. Ta myśl ją otrzeźwiła. Ciekawe, czemu tak się o nią troszczył? Pan Weir nie przejmował się nią zupełnie. Z pewnością nie goniłby jej w ulewnym deszczu przez aleję wjazdową. Przypuszczalnie pozwoliliby jej uciec i byłby bardzo zadowolony z jej zniknięcia. Ale



**Margaret McPhee**

pan Weir nie patrzył na nią takim wzrokiem, jakby chciał ją zaciągnąć do łóżka. Boże, miej mnie w swojej opiece! - westchnęła. Miała dosyć kłopotów i bez Guya Varingtona.

Odetchnęła głęboko i pobiegła spojrzeniem do rozsianych po morzu wysepek. St Vey rysowała się w przejrzystym powietrzu tak wyraźnie, że można było rozróżnić nawet poszczególne odcienie zieleni, brązu i fioletowych szarości, dostrzec blask słońca odbijający się w strumieniu, który wił się wśród skał na południu wysepki, i mroczną sylwetę zamku Dunleish, rysującą się na tle pogodnego nieba, po północnej stronie. Wydawało się, że to tak blisko, że można bez trudu przepłynąć wąski pas morza, oddzielający wyspę od lądu, że wystarczy wyciągnąć rękę ponad wodą, by dotknąć St Vey. Bo wyspę dzieliły od brzegu zaledwie cztery mile. Próba pokonania tej niewielkiej odległości kosztowała życie Agnes i starego Tama. Helena ugięła się pod brzemieniem winy i rozpacz. Przez długi czas nie odrywała oczu od złowieszczonego miejsca, próbując wymyślić sobie jakiś życiorys.

Wiedziała, że niczego nie osiągnie, jeśli nie zdoła przedstawić światu przekonującego i porządnego życiorysu. Przede wszystkim jednak musiała stworzyć sobie całkiem nową tożsamość. Gdyby powiedziała prawdę, jej los byłby przesądzony. Zostałaby natychmiast odesłana do Stephena, do zamku Dunleish. Głowiła się nad tym przez całą noc i dopiero nad ranem zaświtał jej pewien pomysł.

Przedstawiając się jako wdowa z odległych stron, mogłaby pożyczyć trochę pieniędzy na dokończenie podróży. Tyle, by starczyło na ucieczkę tam, gdzie prześladowca jej nie odnajdzie.

Helena postanowiła jeszcze tego samego dnia porozmawiać z żoną pana Weira i poczynić stosowne przygotowania. Będzie musiała oszukiwać ich wszystkich - gospodarza, jego

## Ucieczka Heleny

37

żonę i Varingtona. Wygładziła ręką spódnicę i wstała, by zejść na śniadanie. Przypomniało jej się nagle, że niegdyś, w poprzednim życiu, uważała kłamstwo za jeden z najcięższych grzechów. Co za naiwność! Stephen ją tego oduczył! A jednak teraz perspektywa oszukiwania innych, szczególnie wicehrabiego, sprawiała, że poczuła dyskomfort. Sytuacja wydała jej się tak absurdalna, że o mało nie parsknęła śmiechem. Uraczenie kilkoma drobnymi kłamstewkami obcych ludzi było naprawdę najmniejszym z jej zmartwień. Jakiś cichutki głosik szeptał jej jednak do ucha, że jeden z tych nieznanomych ocalił jej życie. Przypominała sobie delikatny dotyk jego palców na poranionych stopach i intensywne spojrzenie jasnoniebieskich oczu. Odepchnęła od siebie te myśli i zmusiła się do działania. Przetrawanie, tylko to się liczyło.

### **Rozdział trzeci**

Gdy Guy wszedł do słonecznej jadalni, Helena siedziała już przy śniadaniu obok żony Weira, Annabel. Miała na sobie ponurą czarną sukienkę, najwyraźniej pożyczoną od którejś ze służących, ponieważ gospodyni domu była znacznie od niej niższa. Szkoda, bo w zniszczonej w morzu sukience było jej znacznie bardziej do twarzy. Nawet ten bezkształtny przyodziewek służącej nosiła z uderzającą gracją. Była średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, ale jej twarz o kształcie migdała, z małym, prostym nosem i wargami jakby stworzonymi do pocałunków, zwracała uwagę i wyróżniała ją spośród innych kobiet. Taką twarz mężczyźni niełatwo zapomnieć. Wicehrabia błędził wzrokiem po jej włosach, po aksamitnej, śmietankowej skórze i oczach jak z przydymionego, zielonego szkła. Była spokojna, ale czujna - każde jej posunięcie, każda odpowiedź były starannie przemyślane, tak by niczego nie zdradzić, by ukryć swoją prawdziwą naturę. Varrington wyczuwał jednak pod jej zewnętrznym opanowaniem nieznośne napięcie.

- Dzień dobry paniom.

- Guy! - zawołała z entuzjazmem Annabel, zaróżowio-

## Ucieczka Heleny

39

na, ładniutka blondyneczka. - A już myślałyśmy, że zaspaeś, prawda, Mary?

Mary? Na jego twarzy pojawił się wyraz leciutkiego zdumienia. Popatrzył na nieznajomą. Czerń prostej sukienki podkreślała jasną karnację nieskazitelnej skóry i płomienny kolor włosów zwiniętych z tyłu głowy w skromny węzeł. Nie spojrzała mu w oczy.

- Najwyraźniej przegapiłem prezentację. - Usiadł przy stole, nalał sobie kawy i spojrzał pytająco na Helenę, która obecnie chciała uchodzić za Mary.

- Och, Guy - westchnęła Annabel. - Nieszczęsna pani Mc-Lelland tyle wycierpiała...

- Może nasz gość byłby uprzejmy powtórzyć swą historię wicehrabiemu Varingtonowi - przerwał żonie John. - To chyba nie będzie dla pani zbyt wielki kłopot, prawda?

Tregellas zauważył, że twarz dziewczyny przypominała wypraną z jakichkolwiek emocji maskę, taką samą, jaką przywdziała poprzedniego dnia, gdy Weir wszedł do zbrojowni.

- To żaden kłopot - zapewniła spokojnie.

Guy oparł się wygodnie, wypił łyk kawy i czekał.

Helena nabrała głęboko powietrza, próbując się odprężyć. Zdecydowanie łatwiej przyszło jej okłamywać państwa Weir. Wolałaby tego nie robić, ale człowiek bywa czasami zmuszony do różnych, nie zawsze przyjemnych postępów, a ona naprawdę znajdowała się w sytuacji dramatycznej. Teraz jednak, gdy miała przed sobą jasnoniebieskie oczy swego wybawcy, jej determinacja zaczynała słabnąć. Zmusiła się do rozpoczęcia opowieści, którą układała sobie starannie przez cały poranek.

- Nazywam się Mary McLelland i pochodzę z Islay. - Wybrała wyspę z archipelagu Hebrydów Wewnętrznych, żeby

**Margaret McPhee**

ewentualne dochodzenie zabrało jak najwięcej czasu, a ona zdążyła zniknąć ze Szkocji, zanim nadejdzie odpowiedź na pytania dotyczące jej tożsamości. Widziała, że wicehrabia Yarrington nie spuszcza jej z oka. Skoncentrowała wzrok na stojącym tuż koło talerza niewielkim srebrnym dzbanuszką ze śmietanką, w którym słońce odbijało się jak w lustrze. - Jestem wdową po Jamesie McLellandzie i jadę do Londynu, żeby zamieszkać z ciotką.

- Jak to się stało, że morze wyrzuciło panią na brzeg? - zainteresował się wicehrabia.

- Pierwszym etapem mojej podróży była przeprawa na stały ląd. Miejscowy właściciel łodzi zgodził się wziąć mnie na pokład, oczywiście za opłatą. Wypłynęliśmy w chłodny, wilgotny, ale bezwietrzny dzień. Morze było wręcz nienaturalnie spokojne, ale to wkrótce uległo zmianie. - Przynajmniej ta część historii była prawdziwa, podobnie jak to, czego nie zdążyła jeszcze opowiedzieć Weirom. - Najpierw zerwał się wiatr, potem zaczęło padać. Jeszcze nigdy nie widziałam tak ulewnego deszczu. Morze było z każdą chwilą bardziej wzburzone, coraz wyższe fale rzucały łodzią jak dziecinną zabawką. Straciliśmy latarnie i uczepteni łódki walczyliśmy o życie.

Helena nie widziała już przed sobą dzbanuszkę śmietanki, zapomniała o słonecznej jadalni i siedzących przy stole ludziach. W nozdrzach czuła słony zapach morza, wydawało jej się, że fale znowu uderzają z furją w jej ciało. W uszach mia. ła znów ryk wody, a przed oczami ciemność. Ogarnął ją paralizujący strach, taki sam jak w chwili, gdy uświadomiła sobie, że wkrótce zginą. Agnes uczeptła się jej z płaczem. Stary Tam krzychał „Trzymajcie się, dziewczyny. Trzymajcie się najmocniej, jak umiecie. I módlcie się. Błagajcie Pana o zmiłowanie dla naszych dusz”. Robili wszystko, by nie wypaść z łódki,

raz po raz zalewanej przez bezlitosne fale. Z trudem łapali oddech. Rozpaczliwie walczyli o każdy haust powietrza. Ryk wody zagłuszał ich krzyk. Fale wyniosły łódkę wysoko, jakby morze chciało się jej pozbyć ze swej powierzchni, i zawisła w górze. Trzymały się z Agnes za ręce, mocno, bardzo mocno. I nagle spadli. Było tak ciemno... Tak zimno... I cicho. Przez moment. Woda zalała jej oczy, uszy, usta, wdarła się do płuc. Została wciągnięta w głębinę. Nie mogła już walczyć, z pełną świadomością przyjmując to, co się z nią dzieje, i w pewien sposób to akceptując. Zamknęła oczy, miała wrażenie, że jej płuca zaraz eksplodują... i wtedy morze dało jej jeszcze jedną szansę. Wypchnęło ją na powierzchnię. Usłyszała krzyk Agnes, wołanie starego Tama. Spódnice owinęły jej się wokół nóg, spętały je, praktycznie uniemożliwiając jakiegokolwiek ruchy. A potem zapadła ciemność.

- Proszę pani.

Otworzyła oczy i zobaczyła przy sobie wicehrabiego Varingtona. Żyła. Agnes i stary Tam zginęli... przez nią. Z gardła wyrwał jej się szloch.

Położył jej dłoń na ramieniu, żeby ją wyrwać z koszmaru.

Zamrugnęła powiekami i uspokoiła urywany oddech.

- Proszę to wypić. - Wcisnął jej do ręki szklanę.

- Nie ma potrzeby. - O dziwo, głos, który wypowiedział te słowa, należał do niej.

- Jest, i to wielka - mruknął i zbliżył szklanę do jej warg.

Mocny alkohol palił w gardle żywym ogniem. Zaczęła kaszleć i odpychać szklanę.

- Jeszcze jeden łyk.

Potrząsnęła głową, sam ostry zapach whisky przywracał ją do życia.

**Margaret McPhee**

- Musi pani natychmiast się położyć! - Helena spostrzegła, że z drugiej strony stanęła przy niej Annabel. - Wspominanie tych wydarzeń okazało się zbyt wielką traumą.

Straszliwe obrazy odpływały. Znowu siedziała przy śniadaniu w zacisznej jadalni Seamill Hall. Tylko z oddali dochodził szum fal, rytmicznie obmywających piaszczystą plażę. Odetchnęła głęboko.

- Dziękuję, pani Weir... wicehrabio... - Zwracała się kolejno w stronę wymienianych osób. - Już w porządku. Nie spodziewałam się, że tak to na mnie podziała. Proszę mi wybaczyć.

- Nie ma pani za co przeproszać, droga Mary. Takie wspomnienia zwałyby z nóg najsilniejszego mężczyznę - oświadczyła stanowczo Annabel.

Helena uśmiechnęła się z przymusem.

- Nie musi pani kończyć opowieści. - Pani Weir rzuciła mężowi błagalne spojrzenie. - Powiedz, że to nie jest konieczne, John.

Mężczyzna wodził wzrokiem od jednej kobiety ku drugiej. - Zapadła chwila ciszy.

- Nie musi już pani opowiadać o katastrofie, pani McLelland.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - odparła, biorąc się w karby. - Nie wiem, co się działo od chwili, gdy wpadłam do wody. Od tego momentu kompletnie nic nie pamiętam. Odzyskałam świadomość dopiero tutaj.

- Jest pani dzielną kobietą, Mary - zapewniła pani Weir i poklepała ją po ramieniu.

- Nie - zaprzeczyła Helena, kręcąc głową, i poczuła tak silny przyptyw poczucia winy, że serce się jej ścisnęło. - Nie jestem dzielna. I nigdy nie byłam. - W jej głosie dało się wy-

## Ucieczka Heleny

43

czuć głęboki żal. Guy Varington spostrzegł to, bo popatrzył na nią badawczo.

- Powinna pani odpocząć - powiedział. Popatrzyła na niego.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Zresztą muszę się przygotować do podróży.

- Do podróży, pani McLelland? - Uniósł pytająco brew.

- Mary chce zdążyć na dylizans do Glasgow - wyjaśniła Annabel. - Zamierza kontynuować podróż do Londynu... etapami.

- Państwo Weir byli tak dobrzy, że obiecali pożyczyć mi to, czego będę potrzebowała. Jak tylko dotrę do ciotki, zwrócę wszystko.

- Proszę się tym nie kłopotać, Mary. Nie musi pani niczego zwracać. Pokojówka otrzyma nową sukienkę, a ja, dzięki hojności Johna, mam więcej pieniędzy, niż mogę wydać - zapewniła pani Weir.

John siedział w milczeniu z wyrazem nieskrywanej ulgi na twarzy.

Tregellas znów zajął miejsce obok Heleny.

- Tak szybko nas pani opuszcza, pani McLelland? - Podobne słowa wypowiedział, gdy przyłapał ją na próbie ucieczki z Seamill Hall. Teraz przywiodły jej na myśl wspomnienia, które wolałaby wyrzucić z pamięci: jak wicehrabio Varington wniósł ją na rękach po schodach, a potem opatrzył jej poranione stopy.

- Już całkowicie wydobrzałam i nie ma powodu, bym nadużywała gościnności państwa. Zresztą - Helena mocno zacisnęła ręce, by zapanować nad emocjami - ciotka mnie oczekuje i może zacząć się niepokoić przedłużającą się nieobecnością. Nie chcę przysparzać jej zmartwień.



**Margaret McPhee**

Guy wyciągnął przed siebie nogi i wygodnie rozsiadł się na krześle.

- Proszę wyjaśnić jej listownie sytuację.

- Doskonały pomysł - poparła go Annabel.

Weir odwrócił się, ale Helena zdążyła dostrzec, że wzniósł wzrok do sufitu.

- Wolę jednak zrobić to osobiście.

- Nie ma pani innych krewnych?

- Nie. - Nie wiedziała, dokąd ją mogą zaprowadzić kolejne kłamstwa, jakimi odpowiadała na dociekliwe pytania wicehrabiego.

- Dlatego wyjechała pani z Islay i wybrała się z wizytą do Londynu?

- Tak. - Doświadczenia ze Stephenem nauczyły ją, że najlepiej odpowiadać lakonicznie, nie wdając się w szczegóły.

-Dobrze znam Londyn. To moje główne miejsce zamieszkania, które opuszczam tylko pod przymusem. -

Guy uśmiechnął się i rzucił znaczące spojrzenie na Weira.

Helenie zaschło w ustach. Instynktownie wyczuwała, że na tym stwierdzeniu się nie skończy, że to tylko wstęp, który do czegoś zmierza.

- Gdzie dokładnie mieszka pani ciotka? - zapytał.

Nigdy w życiu nie była w Londynie. Nie miała pojęcia, jakie tam są ulice. Nie daj się złapać na kłamstwie, dźwięczało jej w uszach.

- To właściwie nie jest w samym Londynie - odpowiedziała, gorączkowo szukając w pamięci nazw wiosek położonych na obrzeżach stolicy.

Oczy wszystkich obecnych wpatrzyły się w nią z oczekiwaniem.

Zdawało jej się, że Hendon leży pod Londynem. Pożałowa-

## Ucieczka Heleny

45

ła, że nie poświęcała więcej uwagi geografii. Miała teraz pustkę w głowie.

- Hendon - powiedziała w nadziei, że nie palnęła głupstwa.

- Pani ciotka mieszka w Hendon? - W głosie wicehrabiego wyczuwało się nieklamane zainteresowanie.

-Tak.

- Znasz tę miejscowość, Guy? - zapytała Annabel.

- Owszem - odparł z przygnębiającym dla Heleny przekonaniem. - Mieszka tam jeden z moich przyjaciół. Cóż za zbieg okoliczności!

Helena upadła na duchu. Pewnie zaraz zapyta ją o adres ciotki! Co mu odpowiedzieć? Opuściła wzrok na złożone na kolanach dłonie i czekała na nieuniknione pytanie.

- A jakie przygotowania do podróży już pani poczyniła, panie McLelland?

Zaskoczona spojrzała na dociekliwego rozmówcę. Ulżyło jej.

- Wyjeżdżam dzisiaj o pierwszej po południu karetą pocztową do Glasgow. Resztę drogi odbędę dyliżansem, etapami.

- Pozwoli pani, że zaproponuję alternatywną marszrutę?

- Proszę - zgodziła się, choć zaczynała ją ogarniać złe przeczucie.

- Pod koniec tygodnia wracam do Londynu. Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć.

Helena poczuła niepokój.

- Dziękuję za pańską wspaniałomyślną propozycję, milordzie, niestety nie mogę tak długo czekać. Muszę jak najszybciej dotrzeć do ciotki.

Pani Weir położyła dłoń na jej ramieniu.

- Podróż w towarzystwie Guya byłaby bez porównania bezpieczniejsza niż samotna jazda dyliżansem, prawda, Johnie?

**Margaret McPhee**

Na ustach wicehrabiego pojawił się zmysłowy uśmiech. Helenie przemknęło przez myśl, że zdecydowanie nie należy on do mężczyzn, przy których kobieta mogłaby się czuć bezpieczna.

Weir spojrział w oczy przyjaciela.

- Dylizanse wloką się w żółtym tempie - stwierdził lord Varington. - Zdaje sobie pani sprawę, że podróż potrwa cztery dni?

Prawdę mówiąc, nie miała najmniejszego pojęcia, jak długo potrwa podróż dylizansem. Wybrała ten sposób podróżowania, bo był znacznie tańszy niż kareta pocztowa, a nie chciała się zadłużać u państwa Weirów bardziej niż to konieczne.

- Oczywiście - skłamała.

- Ja pokonam tę trasę w dwa dni - oświadczył.

- To nie są czcze przechwałki! - zapewniła Annabel. - Podróż w tę stronę zajęła mu niecałe dwa dni.

Mając pasażerkę, na pewno zmniejszy trochę tempo i będzie jechał nieco ostrożniej i wolniej niż zwykle.

Guy się roześmiał.

- Obiecuję.

Helena czuła się jak w potrzasku.

- Proszę się mną nie przejmować, wicehrabio. Naprawdę muszę dotrzeć do ciotki przed końcem tygodnia. Pojadę dylizansem, jak planowałam, a pan - próbowała się roześmiać, choć zabrzmiało to tak, jakby zabrakło jej nagle tchu - pan będzie mógł podróżować tak szybko, jak pan lubi, nie przejmując się pasażerką.

- Mary! - zbeształa ją pani Weir.

- Naprawdę uważa pani, że przyjazd do Londynu przed końcem tygodnia jest sprawą najwyższej wagi? - zapytał wicehrabia, patrząc jej prosto w twarz.

## Ucieczka Heleny

47

Zaczerwieniła się w poczuciu winy.

- Tak, milordzie. Dziękuję za pańską uprzejmą propozycję, rozumie pan jednak, że nie mogę jej przyjąć.

- Doskonale - odrzekł, skinąwszy głową. Odetchnęła z ulgą... Przedwcześnie.

- W takim razie wyjedziemy w poniedziałek rano i odstawię panią do Londynu we wtorek wieczorem, o cały dzień wcześniej niż dyliżans. Nic lepszego nie mogę pani zaproponować. - Na ustach wicehrabiego Varingtona pojawił się czarujący uśmiech.

Annabel klasnęła z radości.

- Och, jakiś ty dobry, Guy! Helena zdrętwiała.

- Prawda, Mary? - zwróciła się do niej pani Weir.

- Rzeczywiście - przyznała słabym głosem, rozglądając się rozpaczliwie dokoła, jakby szukała ucieczki z sytuacji, w jaką zapędziła się sama własnymi kłamstwami. - Nie chciałabym jednak, aby czuł się pan zmuszony do zmiany planów ze względu na mnie. To nie w porządku.

- Do niczego mnie pani nie zmusza, pani McLelland. Pani towarzystwo będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem -zapewnił Tregellas, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - Zresztą, jak mógłbym pozwolić, aby dama podróżowała samotnie? I to dyliżansem!

- Dziękuję. - Helena rozciągnęła usta w wymuszonym uśmiechu. Zdawała sobie sprawę, że już w żaden sposób nie zdoła się wykręcić. Wicehrabia Varington bardzo zręcznie wmanewrował ją w sytuację, z której nie było wyjścia.

Guy wstał, podszedł do ustawionego pod ścianą bufetu i z podgrzewanego półmiska nałożył sobie na talerz szynkę i jajka.

**Margaret McPhee**

- Państwo wybaczą - powiedziała cicho Helena i umknęła na górę. Skryła się w żółtej sypialni, w której miała spędzić jeszcze dwa dni, zanim wyruszy wreszcie do Londynu. Pozostało jej tylko żywić nadzieję, że wicehrabia nie uprze się, by odwiedzić ją pod same drzwi domu jej wymyślonej ciotki.

Aż do następnego popołudnia Guy nie spotkał kobiety, która przedstawiła im się jako Mary McLelland. Dokładnie

0 drugiej zeszła po schodach. Na jej policzkach pojawił się cień rumieńca, kontrastujący pięknie z gładką kremową skórą. Kilka niesfornych loków wymknęło się ze starannie upiętej fryzury, więc przyglądała je nerwowo drżącymi palcami. Wicehrabia z uznaniem zmierzył ją wzrokiem.

- Witam, wicehrabio - szepnęła dziwnie zdyszonym głosem. - Prosił pan w liście, bym przyszła, więc jestem.

Zwrócił uwagę na to, że starała się trzymać ręce za plecami. Poza zasięgiem jego wzroku. I dotyku.

- Pani McLelland. - Oderwał się od marmurowego kominka w holu, o który się opierał, czekając na jej nadejście,

1 wyszedł jej na spotkanie. - Widzę, że przezornie włożyła pani płaszcz. Jest pani wyjątkowo praktyczna, a to rzadka cecha u tak pięknych kobiet.

Całkowicie zignorowała komplement.

- Napisał pan, że odnaleziono jakąś łódź. I że to może być... - Głos ją zawiódł. - Gdzie ona jest?

- Wrak został przetransportowany tutaj i jest teraz w hangarze Weira. To pięć minut od domu, spacerkiem.

Spodziewał się, że dziewczyna zaprotestuje przeciwko pieszej przechadzce, ale kiwnęła tylko głową i bez słowa ruszyła do tylnego wyjścia. Była już niemal przy drzwiach, gdy Guy zawołał cicho:

## Ucieczka Heleny

49

- Heleno!

Odruchowo zareagowała na to imię. Zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

Z uśmiechem obserwował, jak powoli dociera do niej świadomość, że się zdradziła. Gorący rumieniec zalał jej policzki, a na twarzy pojawił się wyraz strachu i gniewu.

- Nazywam się Mary McLelland - powiedziała cicho, nie patrząc mu w oczy.

- Skoro pani tak twierdzi... Mary McLelland - odrzekł i podszedł do niej leniwym krokiem.

Podał jej ramię. Przyjęła je, bo tak nakazywała grzeczność. Razem przeszli przez ogród na tyłach domu i stanęli u szczytu zarośniętej ścieżki schodzącej w dół, na wybrzeże, gdzie znajdował się hangar na łodzie.

Wicehrabia spojrzał pytająco na cieniutkie skórzane buciki Heleny.

- Może panią przeniosę - zaproponował. - Trawa jest jeszcze bardzo mokra po nocnym deszczu, a nie chciałbym, żeby zniszczyła pani buty i suknię. Poza tym - popatrzył jej prosto w oczy - ma pani pokaleczone stopy.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Dziękuję, ale moje stopy już całkowicie wydobrzały - odparła, znowu zarumieniona.

Guy zdawał sobie sprawę, że przypominała sobie, podobnie zresztą jak on, chwile wyjątkowej bliskości, jakie przeżyli w jej pokoju. Uśmiechnął się.

- A może woli pani zawrócić? - Dobre wychowanie nakazywało mu zaczekać na odpowiedź, choć z góry wiedział, jaka ona będzie.

- Jestem absolutnie zdolna do pokonania tej ścieżki, panie wicehrabio.

**Margaret McPhee**

- Skoro pani tak twierdzi... pani McLelland. Ostrzegam jednak, że dróżka jest raczej wyboista.

Udało mu się ją sprowokować, więc mógł teraz spokojnie zaczekać, aż ruszy przodem.

Gałązki rosnących po obu stronach przejścia krzewów dzikich jeżyn wysuwały kolczaste pędy. Na domiar złego trawa pod stopami była wilgotna i poprzerastana parzącymi pokrzywami, a gdzieniegdzie trafiały się ostre kamyki i muszle, a także odchody owiec. Nogi Guya były doskonale chronione przez wysokie buty do jazdy konnej. Nonszalancko pokonywał wszelkie przeszkody na drodze. Nie można było jednak powiedzieć tego samego o bucikach Heleny. Chociaż posuwała się naprzód wyjątkowo ostrożnie, starannie wybierając miejsca, na których stawiała stopy, to bardzo szybko przemoczyła nie tylko buty, ale i obandażowane nogi. Co gorsza, mokry był również cały dół jej spódnicy. Kolczaste jeżyny trzykrotnie wczepiły się w jej suknię, a dwukrotnie w płaszcz pożyczony od Annabel, przy czym jeden raz tak paskudnie, że musiała skorzystać z pomocy swego towarzysza, by się uwolnić. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi, morza i świeżości.

Ścieżka doprowadziła ich wreszcie nad brzeg morza, w pobliże dużej, zrujnowanej szopy. Weir trzymał w niej łodzie. Poszarzałe ze starości deski, z których zbudowany był hangar, nosiły ślady zniszczenia po latach zmagania się z kapryсами nieżyczliwej w tych stronach aury. Guy wyjął z kieszeni klucz i z wyraźnym trudem przekręcił go w zamku. Drzwi ustąpiły ze skrzypieniem pod naciskiem jego ręki. Znaleźli się w środku.

To była szopa na łodzie, ale bez łodzi. Stare, przysypane wilgotnym piaskiem deski podłogi zatrzeszczały pod ich stopami. W jednym narożniku znajdowały się porządnie ułożo-

## Ucieczka Heleny

51

ne skrzynki i wiadra na homary, w drugim zwoje lin i sieci oraz kilka beczek i baryłek. Na środku zaś leżała sterta jakichś śmieci przykryta płachtą.

- A gdzie jest ta łódź wiosłowa? - zapytała Helena, rozglądając się dookoła.

Tregellas spostrzegł, że mocniej owinęła się płaszczem. Pamiętał doskonale, że w liście nie wspomniał o tym, jakiego rodzaju była odnaleziona łódź. Wystarczył mu jeden rzut oka na mapę, by nabrał pewności, że żaden szanujący się przewoźnik nie podjąłby się przetransportowania pasażerki z wyspy Islay na stały ląd w tak małej łupince, jakiej szczątki leżały teraz w hangarze Weira.

- Tutaj. - Wskazał przykrytą kupkę.

- Ale... - Słowa zamarły na ustach Heleny, gdy odrzuciła płachtę i odsłoniła stertę połamanych desek.

Guy wpatrywał się uważnie w jej twarz, by nie przeoczyć reakcji.

- Myślałam...

- Powinienem być panią uprzedzić, że została kompletnie roztrzaskana. - Przykucnął i zaczął wyciągać ze stosu elementy konstrukcyjne łodzi. Ostrożnie rozkładał je na podłodze. - Część dziobowa pozostała nietknięta. - Położył ją tuż pod stopami Heleny.

Uklękła obok niego, nie bacząc na twardą podłogę pod kolanami ani na mokry piasek przylepiający się do wełnianego płaszcza. Pieszczotliwie pogładziła to, co niegdyś stanowiło dziób niewielkiej łódki.

- Sama nie wiem. Nie jestem pewna, czy to ta sama. - Potrząsnęła głową, najwyraźniej sfrustrowana, i jej czoło przecięła zmarszczka.

- Jest jeszcze to - powiedział cicho, odsłaniając fragment



**Margaret McPhee**

połamanej deski, na której widniały wypisane jaskrawą farbą litery.

Wyczuł, że klęcząca obok niego dziewczyna zeszywniała. Wstrzymała oddech, pochyliła się do przodu i wyjęła mu z ręki deskę z napisem.

- „Bonnie Lass”. - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Znieruchomiała, nie wypuszczając z rąk kawałka drewna, i zamknęła oczy. Klęcząc na podłodze, wyglądała na pogrążoną w modlitwie. Krew odpłynęła z jej twarzy, nawet wargi zbieleły.

- Pani McLellad - odezwał się Guy, delikatnie wyjmując jej z rąk deskę i odkładając ją na ziemię. -  
Rozpoznaje pani pozostałości swojej łodzi?

Nic nie wskazywało na to, że jego słowa do niej dotarły.

Słyszał tylko urywany oddech i dostrzegł mocno zaciśnięte usta, jakby z najwyższym wysiłkiem starała się zapanować nad wzburzonymi emocjami.

- Heleno - powiedział cicho i położył jej rękę na ramieniu. Nawet teraz nie otworzyła oczu, nie drgnęła, lecz pozostała sztywno wyprostowana i spięta.

Przyciągnął ją do siebie, nie podnosząc się z klęczek, i zaczął uspokajająco gładzić po plecach. Ale i teraz nie zareagowała.

Wsunął palce w jej włosy, nie przejmując się tym, że kilka spinek wypadło przy tym na ziemię i ugrzęzło w piasku.

- Nie powinni byli zginąć - wyszeptała głosem nabrzmiałym rozpaczą. - To moja wina. Chcieli mi pomóc. A teraz nie żyją. - Pomimo potwornego cierpienia nie płakała.

Guy spojrzał jej prosto w twarz.

- Jak to: pani wina? - zapytał. - To był wypadek, tylko okropny wypadek. Mała łódka roztrzaskana przez potężny sztorm.

## Ucieczka Heleny

53

- Pan nie rozumie.

- To proszę mi wytłumaczyć - poprosił łagodnie. Powoli uniosła powieki i popatrzyła mu w oczy. Przez chwilę wydawało się, że zaraz zacznie mówić. Jej twarz wydawała się bezbronna, zniknęły z niej wszelkie ślady oporu. Teraz, kiedy przestała uważać, nie udawała, zapomniała o ostrożności, wyglądała bardzo młodo i bezradnie... i była autentycznie przerażona. -Ja...

Nagle dostrzegł zmianę w wyrazie jej oczu, znów pojawiła się w nich czujność.

- Muszę już wracać. Pani Weir zacznie się zastanawiać, gdzie się podziewam. - Zaczęła zbierać z piasku swoje spinki do włosów.

- Annabel doskonale wie, gdzie pani jest - stwierdził z lekkim rozdrażnieniem Guy.

Helena starannie zebrała z zapiaszczonej podłogi wszystkie spinki, po czym wstała i odwróciła się do wyjścia.

- Proszę zaczekać! - zawołał i złapał ją z tyłu za rękę. - Czy jest pani pewna, że właśnie tą łodzią pani płynęła?

Kiwnęła głową tak energicznie, aż podskoczyły jej lśniące loki. -Tak.

- Z kim pani płynęła?

Spostrzegł w jej oczach nagły ból i lekkie skrzywienie ust, ale bardzo szybko przywołała się do porządku.

- Z wioślarem, który zobowiązał się przewieźć mnie na stały ląd.

-1 z kim jeszcze?

- Z nikim więcej - odparła, nie patrząc na niego.

- Nawet bez służącej?

**Margaret McPhee**

Usłyszał, że głośno westchnęła, i puścił jej nadgarstek. Splotła ręce tak mocno, że kostki jej palców zbieleły.

- Opowiedziałam już panu swoją historię.

Jednym palcem uniósł jej brodę, zmuszając, by spojrzała mu w oczy.

- Właśnie to mi pani powiedziała, Heleno, prawda? Historię, a właściwie historyjkę.

Zachwiała się i uwolniła brodę, odwracając głowę.

- Kiedy znalazłem panią na plaży, mówiła pani o Agnes, która była z panią na łodzi. Dzisiaj również, będąc pod silnym wrażeniem, powiedziała pani „oni”, a nie „on”. Dlaczego nie wyjawi mi pani, co się stało?

Potrząsnęła głową i cofnęła się chwiejnym krokiem, by zwiększyć dzielącą ich odległość.

Tregellas objął ją w talii ramieniem i przyciągnął do siebie tak blisko, że jej piersi otarły się o jego tors, a suknia o uda. Pochylił nisko twarz. Widział cętki na zielonych tęczęwkach jej oczu, otoczonych długimi rudymi rzęsami pod delikatnymi łukami brwi. Poczł dziwne mrowienie na wargach, które znajdowały się tak blisko jej ust, że ich oddechy niemal się połączyły.

- Prawda ma wyjątkową skłonność do wychodzenia na jaw, kochanie. Czy na pewno nie wolałaby pani, żebym usłyszał ją z pani ust? - Jeszcze chwila, a Guy uległby podszeptom instynktu i pocałował Helenę tak mocno i głęboko, jak o tym marzył.

Napięcie między nimi narastało.

- Proszę, lordzie Varingtonie - szepnęła.

To wystarczyło, by wrócił do rzeczywistości. Powoli ją puścił. Przez chwilę obserwował, jak zręcznie upinała loki w schludny kok. Potem ułożył resztki łodzi w porządną ster-

## Ucieczka Heleny

55

tę i przykrył znowu płachtą, a kiedy podniósł wzrok, Helena zdążyła uporządkować fryzurę.

- Powinniśmy wracać do domu - powiedziała spokojnie i wygładziła pogniecioną suknię.

Poprawiła płaszcz obojętnym ruchem, jakby nie odkryła przed chwilą szczątków łodzi, która posłała na dno jej współpasażerów i omal nie pozbawiła życia jej samej. Jakby nie było w niej rozpacz i przerażenia. Jakby zapomniała o tym, że przed chwilą Guy Varington przyciągnął ją do siebie tak blisko, iż wyczuwał kształty jej ciała, a ich usta o mało nie złączyły się w pocałunku. On jednak wiedział, że wewnątrz była rozdygotana i z trudem panowała nad emocjami. Bez wątpienia kobieta, którą miał przed sobą, była mistrzynią w ukrywaniu swoich uczuć. Zdążył zajrzeć pod okrywającą jej twarz maskę i dostrzegł pod nią ogromnie kuszący obraz. Co jeszcze przed nim ukrywała? I dlaczego? Był z każdą chwilą bardziej zdeterminowany, by rozwikłać tajemnicę tej rudowłosej piękności.

## Rozdział czwarty

Kilka godzin później Varington siedział z Weirem w przytulnej zbrojowni Seamill Hall i wspólnie opróżniali butelkę whisky.

- Myślisz, że mogła skłamać w sprawie łodzi? - John nalał kolejną porcję alkoholu do szklaneczki Guya i uzupełnił odrobiną wody. - A może widziała ją po raz pierwszy w życiu? Zaczynam się zastanawiać, czy całe to przedstawienie z wyrzuconą na brzeg topielicą nie było wyłącznie farszą odegraną na nasz użytek.

- Jej reakcja na widok wraku wydała mi się całkiem szczerą. Musiałaby być piekielnie dobrą aktorką, żeby to tak odegrać. - Wicehrabia z podziękowaniem przyjął szklaneczkę whisky.

- Może właśnie jest piekielnie dobrą aktorką.

- Może. Niewątpliwie nie nazywa się Mary McLelland, nie płynęła z wyspy Islay i nie była na łódce jedynie z wiosłarzem. Niezależnie od tego, kim jest i do czego zmierza, moim zdaniem naprawdę rozpoznała wrak „Bonnie Lass”.

Weir grzał się przy ogniu buzującym w kominku.

- Co nie musi automatycznie oznaczać - wtrącił - że znajdowała się na pokładzie, kiedy „Bonnie Lass” poszła na dno.

## Ucieczka Heleny

57

- Może i nie - przyznał Guy.
- Nie wydaje ci się niewiarygodne, by ktokolwiek, a szczególnie kobieta, przeżył katastrofę morską w takich warunkach atmosferycznych?
- Owszem, niewiarygodne, ale możliwe.
- Mogła ułożyć się na brzegu w taki sposób, żeby w oczach przypadkowego znalazcy wyglądać jak niedoszła topielica.
- Daj spokój, Weir. Widziałeś, w jakim była stanie, kiedy ją tu przyniosłem. Gdybym nie natknął się na nią z samego rana, najpewniej nie przeżyłaby. A nikt nie mógł przecież przewidzieć, że wybiorę się na spacer brzegiem morza akurat o tej porze. To nie należy do moich zwyczajów.
- To prawda. Gdybyś jednak nie wyszedł wtedy na przechadzkę, znalazłby ją ktoś inny. Sztorm zawsze wyrzuca na brzeg różne przedmioty. Wieśniacy na pewno przyszliby na plażę w nadziei znalezienia przynajmniej drewna na opał, jeśli nie skarbu hiszpańskiej armady.
- Drewna na opał było pod dostatkiem, ale skarbu niestety nie zauważyłem. - Guy się roześmiał. - Chyba że zaliczymy do tej kategorii naszą podtopioną piękność. Zresztą, jeśli nawet przyjmiemy założenie, że zainscenizowała to wszystko celowo, żeby dostać się do tego domu - ciągnął - to dlaczego za wszelką cenę starała się stąd uciec zaraz po odzyskaniu przytomności? To nie pasuje.
- Nawet jeśli ta kobieta rzeczywiście jest rozbitkiem, to jej pojawienie się nie wróży nic dobrego - skwitował John.
- Nie martw się, stary. Jutro rano zdejmę ci kłopot z głowy. Wywiozę ją spod twojego dachu.
- Uparłeś się, żeby towarzyszyć jej w drodze do Londynu. Muszę wyznać, że choć z ulgą zamknę drzwi za „panią McLel-

**Margaret McPhee**

land", to wolałbym, abyś zachował w kontaktach z nią daleko posuniętą ostrożność.

Guy znów wybuchnął śmiechem.

- A jak sądzisz, co ona może mi zrobić?

- Bóg jeden wie - odparł z westchnieniem Weir. - Ale uważaj, o to tylko cię proszę. Nie chcę, by stało ci się coś złego. Tregellas by mnie zabił!

- A ja się łudziłem, że darzysz mnie czymś w rodzaju przyjaźni! Tymczasem okazuje się, że twoja troska o mnie wnika wyłącznie z lęku przed moim bratem.

- Wszyscy boją się twojego brata! - wykrzyknął John i pociągnął solidny łyk whisky.

Wicehrabia z uśmiechem napelniał ponownie obie szklaneczki.

- Nadal czujesz zapowiedź nadciągającego nieszczęścia? - zakpił z przyjaciela.

- Przestań ironizować! Jakaś piekielna gula utkwiała mi w gardle i ani myśli zniknąć. Mówię serio, Varrington, bądź ostrożny w kontaktach z tą kobietą.

- Nie ma powodu do obaw, Weir. Przez całą drogę nie spuszczę z oka pani McLelland.

Kompan popatrzył na niego podejrzliwie.

- Coś mi się tu nie podoba. Do czego zmierzasz?

- Chcielibyśmy poznać prawdę o kobiecie, która jest obecnie twoim gościem, prawda? - podsumował wicehrabia. - Zapewniam cię, że zanim dotrzemy do Londynu, będę ją znał.

Weir rozparł się wygodnie w fotelu i westchnął z rezygnacją.

- A w jaki sposób chcesz tego dokonać? Poczęstuje cię po prostu kolejnym stekiem kłamstw. Szkoda, że nie pozwoliłeś mi wezwać konstabla.

## Ucieczka Heleny

59

- Wcale nie szkoda, mój drogi przyjacielu. Widzisz, to bardzo proste. - Guy uśmiechnął się urzekająco. - Zamierzam ją uwieść, by wydobyć z niej prawdę.
  - Błagam, przemyśl to jeszcze raz - odrzekł z troską John. - Po powrocie do Londynu możesz mieć kobiet na pęczki. W razie potrzeby w przydrożnych zajazdach też znajdzie się jedna czy druga, choć Bóg mi świadkiem, że odradzam ci korzystanie z ich usług.
  - Niestety, przyjacielu, mam wyjątkową słabość do rudowłosych wdów. - Na ustach wicehrabiego pojawił się pogodny uśmiech. - Zresztą to taki znakomity, a przy tym nad wyraz przyjemny sposób uatrakcyjnienia podróży. Zanim dotrzemy do domu, wydobędę z niej prawdę i będę mógł ze spokojnym sumieniem powiedzieć jej „do widzenia” i odesłać w dalszą drogę. - Rozluźnił krawat pod szyją i wygodniej rozsiadł się w fotelu.
  - Mam złe przeczucia.
  - Uspokój się, Weir. Moja praktyka w sztuce uwodzenia sprawi, że pani McLelland wyśpiewa mi swoje sekrety w połowie drogi do stolicy.
  - Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Varington. Guy uniósł szklaneczkę whisky i wznosił toast:
  - Za Mary McLelland.
  - Za Mary McLelland - powtórzył John - i za szczęśliwe zakończenie tej niepokojącej historii.
- Następnego dnia o wpół do ósmej rano, kiedy świt rozjaśnił nieco poszarzałe niebo, a od strony morza zaczął dolatywać krzyk mew, na dziedzińcu słychać już było stukot końskich kopyt i turkot kół powozu. Helena odetchnęła głęboko, wciągnęła w nozdrza woń nadmorskiego powietrza, jakby



**Margaret McPhee**

chciała zachować ją w pamięci. Sól, wodorosty i mokry piasek. Ten czysty zapach towarzyszył jej przez całe życie. Nie wiadomo kiedy - jeśli w ogóle kiedykolwiek - poczuje go znowu. Na szczęście aura okazała się tego dnia nieco łaskawsza. Lekki wiatr od morza zaplątał się we wstążki pożyczonego czepek i nadał świeżą barwę policzkom Heleny. Pomimo wczesnej pory pani Weir także wstała i zeszła na dół, owinięta wielkim, grubym szalem.

- Przecież nie mogłam pozwolić pani odjechać bez pożegnania, droga Mary! - Annabel położyła rękę na ramieniu gościa. - Napisze pani do mnie, prawda?

- Naturalnie, że tak! - Helena się uśmiechnęła, choć w sercu czuła smutek. Kiedy pani Weir pozna prawdę, nie będzie chciała czytać jej listów, nie zechce mieć nic wspólnego z „Mary McLelland”.

Tymczasem odciągnęła ją na stronę i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu:

- Mary, muszę coś pani powiedzieć przed wyjazdem. - Pogłaskała ją po ręce. - Niech pani nie robi takiej zaniepokojonej miny, nie ma powodu. Chodzi po prostu o to... - Przygryzła wargę. - Proszę mi obiecać, że po przyjeździe do Londynu nie będzie pani dawała wiary żadnym plotkom na temat Guya

Varingtona czy jego brata.

- Plotkom? - W oczach Heleny malowało się zaskoczenie i zdziwienie.

- Proszę obiecać - powtórzyła z determinacją Annabel. - Guy to dobry człowiek.

- Nigdy nie dopuszczam, by plotki miały wpływ na moją opinię o ludziach.

- Musi pani wkrótce przyjechać do mnie z wizytą - dodała gospodyni Seamill Hall głośniejszym głosem i uśmiechnęła się serdecznie.

## Ucieczka Heleny

61

- Londyn jest tak daleko, a John nie lubi opuszczać swej posiadłości! Inaczej sami byśmy panią odwiedzili. Weir nie zdołał przywołać na twarz uśmiechu.

- Chodź, Annabel, pozwól wreszcie Guyowi i pani McLelland wyruszyć w drogę. Mają dziś do pokonania spory dystans - powiedział i wziął żonę za rękę w taki sposób, jakby chciał ją odciągnąć. Helena złożyła nienaganny ukłon, podziękowała obojgu za ich dobroć i wreszcie pozwoliła sobie rozejrzeć się za wicehrabią Varingtonem.

Obserwował ją, gładząc chrapy jednego z czterech siwków zaprzężonych do karety.

- Pani McLelland, pozwoli pani, że jej pomogę. - Podeszedł, ujął jej dłoń i pomógł wejść do powozu.

Uprzejmie skłoniła głowę. Starła się nie myśleć o wrażeniu, jakie robiła na niej jego bliskość, i wyrzucić z serca niepokój, jaki ją ogarniał na myśl o spędzeniu z nim dwóch dni w ciasnym wnętrzu pojazdu.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała dość oficjalnie.

Kiedy pasażerka została wygodnie usadowiona w powozie, a jego lordowska mość osobiście okrył pledem jej kolana i z demonstracyjną troskliwością wsunął pod stopy gorącą cegłę, pojazd był gotowy do drogi. Guy Varington obdarzył Helenę najpiękniejszym z uśmiechów i uderzył laską w 4ach, dając znak stangretowi, że można ruszać.

Nagle ogarnęła ją panika i gdyby pled nie krępował swobody jej ruchów, pewnie wyskoczyłaby na dziedziniec. Ale w tym momencie powóz szarpnął i ruszył z miejsca, a końskie kopyta zadudniły na podjeździe. Przez otwarte okno Helena usłyszała jeszcze wołanie pani Weir:

- Do widzenia, Mary! Proszę dbać o siebie!

**Margaret McPhee**

- Nie, chwileczkę! - szepnęła.

- Czyżby zmieniła pani zdanie w kwestii odwiedzin u ciotki, pani McLelland? - zapytał Guy z uśmiechem. - Może wolałaby pani pozostać tutaj, w Seamill Hall? Mam zatrzymać powóz?

Popatrzyła w jego chłodne jak lód, niebieskie oczy. Ciekawe, czy rzeczywiście gotów byłby to zrobić, pomyślała. Czy zgodziłby się zostawić ją w tym domu, by zaczekała na następny dyliżans pocztowy i przejechała przez pół kraju etapami, przez cały czas oglądając się w panice za siebie, czy Stephen jej nie ściga. Nie, nie będzie idiotką! Nie pozwoli, by pokonał ją nieuzasadniony lęk! Guy Yarrington może i wie, że nie jest szczerą, ale przecież nie zna prawdy! To oczywiste, bo gdyby ją znał, nie siedziałaby teraz przy nim w powozie. Mógł sobie być kobieciarzem, uwodzicielem, mistrzem flirtu, jak również zdradzać zbytnią ciekawość i zadawać zbyt wiele dociekliwych pytań, sprawiając, że nie czuła się przy nim swobodnie, ale Helena McGregor nie była przecież niewinną panienką, która nie potrafi sobie poradzić z mężczyznami. W wieku dwudziestu siedmiu lat wiedziała więcej o ciemnej stronie życia, niż większość kobiet potrafiłaby znieść. Jednak przetrwała, ponieważ jest silna.

Guy Yarrington może stawiać pytania, ale to nie znaczy, że musi otrzymać na nie odpowiedzi. Świadomie odcięła się od targających nią emocji i przywdziała maskę spokojnej równowagi, która, jak wiedziała z doświadczenia, chroniła ją bardzo skutecznie i... uniemożliwiała wszelkie próby zbliżenia się do prawdziwej Heleny. Jej jedynym celem była ucieczka przed Stephenem. Nic innego nie miało znaczenia. Zrobi więc wszystko, żeby zrealizować swój cel, absolutnie wszystko. Jak zawsze. Zdoła znieść każdą próbę, na jaką jej towarzysz podróży mógłby ją wystawić.

## Ucieczka Heleny

63

- Pani McLelland? - zwrócił się do niej wicehrabia, wyrywając z zamyślenia.

- Dziękuję, milordzie - odparła spokojnie. - To nie będzie potrzebne. - Odwróciła się do okna i pomachała na pożegnanie pani Weir. Machała, dopóki kareta nie dojechała do końca alei i nie skręciła na drogę i dopóki para stojąca przed wejściem do dużego domu nie zniknęła jej z oczu. Powóz potoczył się szybciej po chwilami kamienistej, a niekiedy błotnistej drodze, końskie kopyta wybijały miarowy rytm.

Helena siedziała sztywno wyprostowana, zwrócona twarzą w kierunku jazdy, z rękoma złożonymi na kolanach. Wicehrabia rozparł się wygodnie naprzeciw niej. Oparł głowę o poduszki wyściełające wnętrze powozu, a skrzyżowane w kostkach nogi wyciągnął przed siebie. Jego długie buty znajdowały się niepokojąco blisko rąbka sukni Heleny. Odsunęła się nieco.

Zauważył to i uśmiechnął się.

- Proszę usiąść wygodniej, pani McLelland. To będzie długi dzień. Na tyle długi i ciężki, by dać sobie spokój z konwenansami.

Sir Stephen Tayburn stał na szczycie północno-wschodniej wieży zamku Dunleish, wzniesionego na wyspie St Vey, i oparty o blanki spoglądał w morze. Niebo miało odcień jasnej szarości, na której tu i ówdzie pojawiały się groźne czarne chmury, ale miejscami było lekko zaróżowione. Morze wyglądało na spokojne - chwilowo. Ten spokój nie potrwa jednak długo. Stephen doskonale o tym wiedział. Ale czego innego można się było spodziewać? Był listopad i zbliżała się zima, dni stawały się krótsze, a noce dłuższe,, ciemność zyskiwała przewagę - tak jak lubił. Wiatr zaplą-

**Margaret McPhee**

tał się w jego obszerną pelerynę, unosił ją i opuszczał jak skrzydła wielkiego czarnego ptaka. Tayburn miał czarne ubranie i oczy. Natomiast włosy białe jak śnieg. Pociągnął łyk cierpkiego wina z trzymanego w ręku pucharu. Za jego plecami skrzypaneły drzwi. Jakaś postać zatrzymała się niepewnie, z czapką w ręku. -Sir.

Nie odwrócił się, nie przestawał kontemplować rozciągającego się przed jego oczami krajobrazu. Rozległo się ciche szuranie stóp i dyskretne kasznięcie.

- Masz dla mnie jakieś nowiny, Crauford?

Władczy, wyniosły ton ledwo skrywał pogardę. Tayburn nadal stał zwrócony twarzą do morza, nawet nie spojrzawszy na przybyłego.

- Tak, sir. Przeprowadziłem rozeznanie. Dyskretnie, jak pan kazał. Węszyłem w tawernach i wiejskich gospodach na stałym lądzie.

-1? - Tayburn wreszcie się poruszył, skierował spojrzenie swych przerażających czarnych oczu na człowieka o haczykowatym nosie, który cierpliwie stał z boku.

- Wśród wieśniaków chodzą słuchy o kobiecie, którą sztorm wyrzucił na brzeg koło Portincross. Została zabrana do domu pana Weira i podobno wezwano do niej lekarza.

Twarz Stephena nie zdradzała żadnych emocji.

- Więc żyła?

- Tak, sir, żyła. Zatrzymali ją w domu, bo była nieprzytomna.

- Dobrze się składa. Masz jakiś opis tej kobiety? Czy któryś z twoich informatorów ją widział?

- Jasne, sir. - Rab Crauford zbliżył się nieco do swego pana. - Mój informator ma kompana, którego dziewczyna pra-

## Ucieczka Heleny

65

cuje w Seamill Hall. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Kobieta wyrzucona na brzeg ma czerwone włosy! Oczy Tayburna się zwęziły, a usta zacisnęły w cienką linię.

- Doprawdy? - Wbił spojrzenie w stojącego przed nim wysokiego chudzielca. - Każ McKenziemu szykować łódź. Zamierzam wybrać się dzisiaj na stały ląd. Może do Kilbride...

- Dobrze, sir - odrzekł Crauford. - Zaraz to załatwię.

Stephen nie czekał, aż służący zniknie, tylko od razu odwrócił się do niego plecami i kontynuował obserwowanie fal przetaczających się u stóp zamku. Dopił wino i czknął głośno. Dopiero kiedy usłyszał, że za sługą zamknęły się drzwi i jego spieszne kroki zadudniły na kamiennych, kręconych schodach wieży, rzekł do siebie:

- Znalazłem cię wreszcie, moja Heleno. Czeka cię w domu zupełnie wyjątkowe powitanie, najdroższa. Wykrzywił wargi w okrutnym uśmiechu. Nawet huk fal i wycie wichru nie zdołały zagłuszyć trzasku miażdżonego w dłoni pięknego pucharu.

Helena czuła narastający ból pleców i drętwienie prawej ręki, uczeptionej kurczowo rzemiennego uchwytu zabezpieczającego przed utratą równowagi. Kołysanie i podskoki powozu na wybojach przyprawiały ją o mdłości. Już dawno zamknęła oczy, żeby nie widzieć migającego za oknem krajobrazu, który przy tej prędkości wydawał jej się mieszaniną rozmazanych zielonych i brązowych plam. Ani razu nie zatrzymali się na odpoczynek, jeśli nie liczyć szybkiej zmiany koni. Zaciskała zęby, zastanawiając się, jak długo zdoła jeszcze wytrzymać. Nagle usłyszała stukanie w dach i powóz zaczął zwalniać.

**Margaret McPhee**

Kiedy wreszcie znieruchomiał; uniosła powieki i odetchnęła z ulgą. Lord Varington otworzył drzwi, wychylił się i zawołał coś do stangreta.

- Czy stało się coś złego, milordzie? - zapytała, kiedy wicehrabia zamknął najpierw drzwi, potem okno i znów wygodnie usadowił się na kanapie. Miała nadzieję, że w jej głosie dało się słyszeć tylko ton uprzejmego zainteresowania. Wyplątała wreszcie zdrętwiałą rękę z rzemiennej pętli.

- Coś złego, pani McLelland? - odpowiedział pytaniem.

- Karetą się zatrzymała. Dotarliśmy do zajazdu? - Starła się nie zdradzić radosnej nadziei. Jednak gdy tylko przebrzmiały jej słowa, powóz ruszył, choć tym razem z umiarkowaną prędkością. Palce Heleny znowu zacisnęły się na uchwycie.

- Jeszcze nie. - Kącik ust Guya uniósł się leciutko, jakby wicehrabia doskonale wiedział, jak rozpaczliwie pragnęła, by jej przypuszczenie okazało się prawdziwe. - Po prostu doszedłem do wniosku, że zapewne wolałaby pani, abyśmy przez pewien czas jechali nieco wolniej. - Przeniósł spojrzenie z jej twarzy na kurczowo zaciśnięte na rzemieniu palce, po czym znowu wrócił do twarzy.

Zarumieniła się i natychmiast puściła uchwyt.

- Proszę nie zmieniać planów ze względu na mnie. Jeżeli chce pan podróżować szybciej, nie mam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, będę zadowolona.

Popatrzył na nią tak, jakby bez trudu ją przejrzał.

- Na razie mam ochotę jechać wolniej.

- Dobrze, milordzie. - Ukradkiem rozcierała palce, żeby pobudzić krążenie krwi również w opuszkach. Z jednej strony cieszyła się z tej chwili wytchnienia, z drugiej niepokoiła się stratą czasu.

## Ucieczka Heleny

67

Varington zdjął rękawiczki i bez uprzedzenia sięgnął po jej prawą dłoń.

- Mam na imię Guy - rzekł cudownie niskim, wibrującym głosem.

- Milordzie! - zawołała lodowatym tonem, próbując wyrwać mu swoją rękę.

Przytrzymał ją stanowczo, choć delikatnie. Nie miał najmniejszego zamiaru jej puścić. Powoli, jeden palec po drugim, zsunął pożyczoną rękawiczkę.

- Obawiam się, że rzemień pozostawił na pani skórze ślady - stwierdził, przesuwając palcem po otarciach.

Helena zadrżała i znowu próbowała wyszarpnąć rękę. Palce wicehrabiego zacisnęły się wokół jej nadgarstka odrobinę mocniej.

- Jaka drobna, mała dłoń - powiedział, przesuwając kciukiem po zewnętrznej stronie jej ręki. - Jakie szczupłe palce - dodał, gładząc jej palec wskazujący od nasady aż po czubek paznokcia.

- Milordzie, może byłby pan łaskaw uwolnić moją rękę - zwróciła się do niego z wyszukaną uprzejmością.

W odpowiedzi odwrócił jej dłoń i zaczął kreślić zmysłowe linie po wewnętrznej, bardziej wrażliwej stronie. Przesuwał kciukiem po skórze początkowo leciutko, potem z większym naciskiem, zataczając kręgi. Pieszczota była zadziwiająco erotyczna. Helena za wszelką cenę próbowała nie reagować.

- Wicehrabio, proszę uwolnić moją rękę - powtórzyła odrobinę rozdygotanym głosem.

Guy nie posłuchał. Dotyk jego kciuków palił ją żywym ogniem. Czuła to nie tylko na skórze dłoni. Żar narastał w dole jej brzucha. Zaczęła mieć problemy z oddychaniem.



**Margaret McPhee**

- Milordzie, muszę zaprotestować!

Patrzył na nią uważnie. Dostrzegła w jego spojrzeniu błysk namiętności. Jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu w oczach mężczyzny. Podniósł jej rękę do ust i nie opuszczając wzroku, powoli, z rozmysłem, musnął wargami wewnątrz jej dłoni. Odczuła to tak, jakby dotknął samego jądra jej kobiecości. Głośno wciągnęła powietrze. Nie mogła oderwać od niego spojrzenia, nie mogła się poruszyć, oddychała z trudem.

- Jest pani piękna - wymamrotał z ustami wtulonymi we wewnątrz jej dłoni. Czuła na skórze każde poruszenie jego warg. - Piękna - powtórzył, opuścił jej dłoń i splótł palce z jej palcami.

Helena siedziała jak zahipnotyzowana i patrzyła, jak głowa wicehrabiego pochyla się ku niej powoli. Blisko, coraz bliżej, aż wreszcie mogła dokładnie dostrzec każdą z długich czarnych rzęs okalających niesamowite, jasne oczy, każdy najmniejszy rys bladej twarzy: gładkie ciemne brwi, mocny zarys szczęki i dołeczek w kwadratowym podbródku. Kosmyk włosów opadł mu na czoło i nagle zapragnęła aż do bólu wyciągnąć rękę i odsunąć go na bok, by nie wpadł do oka. Zdołała się przed tym powstrzymać, ale na nic więcej nie było jej już stać. Zdawała sobie sprawę, że lord Yarrington zamierza ją pocałować, ale nie mogła się zdobyć na żadną reakcję. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Guy wypełnił jej całe pole widzenia. W nozdrzach czuła zapach jego wody koloń-skiej. Jej wargi rozchyliły się, jakby kierowały się własną wolą. Była jak odurzona, nie miała sił, by powstrzymać zbliżanie się ust mężczyzny do jej własnych.

- Heleno - szepnął.

Pomyślała, że jej imię zostało stworzone, by on wypowia-

## Ucieczka Heleny

69

dał je niskim, głębokim głosem. Powieki jej opadły, a usta czekały na przyjęcie jego warg.

Nagle karetą przechyliła się gwałtownie na jedną stronę. Wicehrabia stracił równowagę, a ona w jednej chwili odzyskała poczucie rzeczywistości.

- Co, u li...? - Przełknął cisnące mu się na usta przekleństwo i zanim powóz zdążył się zatrzymać, usiadł na swoim miejscu. Usłyszeli tupot stóp, drzwi zostały otwarte gwałtownym szarpnięciem i pojawiła się w nich zaczerwieniona twarz stangreta.

- Proszę o wybaczenie, milordzie - powiedział. - Owca wbiegła na drogę i musiałem raptownie skrócić, żeby jej nie przejechać. Całe szczęście, że nie jechaliśmy zbyt szybko, bo pewnie wylądowalibyśmy w rowie. - Gniótł kapelusz w rękach. - Mam nadzieję, że ani panu, ani pani nic się nie stało.

- Zupełnie nic, Smith - odparł Guy z lekko ironicznym uśmiechem.

Mamrocząc kolejne przeprosiny, woźnica odszedł i wkrótce ruszyli dalej, jeszcze wolniej niż poprzednio.

- Mam nadzieję, że wybaczy pani mojemu człowiekowi. Zazwyczaj powozi znakomicie. Pracuje u mnie od lat, a jeszcze nigdy nie zdarzył mu się podobny incydent. Inna sprawa, że nie zwykł jeździć po wiejskich bezdrożach. Mam nadzieję, że to nie był dla pani zbyt wielki wstrząs? - Głos wicehrabiego zdradzał autentyczną troskę.

Helena zaciskała kurczowo ręce na skórzanym obiciu kanapy powozu. Lord Varington mimowolnie trafił w sedno. Była do głębi wstrząśnięta i całkowicie porażona, choć nie tym, co zrobił nieszczęsny stangret. W stan pełnego zgrozy niedowierzania wprowadziło ją własne zachowanie,

**Margaret McPhee**

poprzedzające gwałtowne zatrzymanie karety. Była gotowa pozwolić, by Guy ją pocałował! I pocałowałby ją, gdyby jakaś owca nie uznała za stosowne wtargnąć na drogę! Wielki Boże! Mężczyzna pochylił się ku niej.

- Pani McLelland? Bardzo pani pobladła. Źle się pani czuje?

- Dziękuję, milordzie, czuję się całkiem dobrze. - Helena oparła się plecami o skórzane poduchy wyściełające wnętrze powozu, starając się maksymalnie zwiększyć odległość dzielącą ją od współpasażera. Miała kompletny zamęt w głowie. Czuła się okropnie. Przez pięć lat życia ze Stephenem nie doświadczyła czegoś takiego jak przed chwilą. To po prostu śmieszne!

- Wygląda na to, że była pani bez reszty zaabsorbowana czym innym. - Na wargach Guya pojawił się domyślny uśmiezek. - Jest pani lekko zdyszana. Bardzo pani z tym do twarzy.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezbronna. Ta świadomość wzbudziła w niej gniew, który tym razem skierowała nie przeciwko sobie, ale wicehrabiemu.

- Zapewniam, że bardzo się pan myli - odparła lakonicznie.

- Doprawdy, Heleno?

- Nazywam się Mary McLelland. Liczę na to, że przypomni pan sobie wreszcie, sir, iż jest pan dżentelmenem, i zacznie zachowywać się odpowiednio.

Pochylił głowę z fałszywą pokorą.

- Proszę o wybaczenie, jeśli czymś... - Urwał, utkwivszy w jej twarzy spojrzenie swych oszałamiających oczu. - Jeśli czymś panią obraziłem.

## Ucieczka Heleny

71

Uświadomiła sobie z oburzeniem, że w jego przeprosinach nie było ani cienia skruchy.

- Pozwoli pani, że naprawię swój błąd - dodał i wyciągnął do niej rękę.

Helena cofnęła się gwałtownie, niemal wbijając się w oparcie siedzenia.

- Nie ma takiej potrzeby, milordzie - powiedziała z niezbyt grzecznym pośpiechem.

- Będę nalegał.

- Nie!

Varington pochylił się do przodu ze zdumioną miną.

- Najlepiej będzie, milordzie, jeśli zapomnimy o tym incydencie, jeśli całkowicie wyrzucimy go z pamięci.

Przed nami jeszcze długa podróż i... i... - Słowa zamarły jej na ustach. Spojrzała na niego z rumieńcem na policzkach i dostrzegła w jego oczach szczere rozbawienie.

-1 lepiej, żeby nie było między nami żadnych nieporozumień - dokończył za nią. Kiwnęła głową.

- Dobrze, pani McLelland. - Uśmiechnął się i ponownie wyciągnął do niej rękę. - Przypieczętuujmy naszą przyjaźń uściskiem ręki.

Nie miała najmniejszej ochoty na jakikolwiek kontakt fizyczny z lordem Varingtonem, ale nie mogła odmówić. Powściągliwie dotknęła palcami jego dłoni. I to był błąd. W zdenerwowaniu zapomniała o założeniu rękawiczki, podobnie zresztą jak on. Gdy ich dłonie się zetknęły, Helena poczuła dziwne mrowienie skóry, a jej puls wyraźnie przyspieszył. Guy nie zrobił nic niestosownego, nawet nie przytrzymał jej ręki zbyt długo. Wystarczyło, że patrzył na nią z ogniem w oczach.

**Margaret McPhee**

- Za nową przyjaźń - powiedział i zaprezentował najbardziej czarujący ze swych uśmiechów. Nie odpowiedziała, ale nabrała pewności, że podróż do Londynu będzie znacznie większym wyzwaniem, niż przewidywała.

**Rozdział piąty**

Powóz Varingtona wtoczył się wreszcie na dziedziniec gospody Graham Arms w Longtown, położonym pomiędzy Gretna a Carlisle. Nie tam Guy zamierzał zatrzymać się na nocleg, ale postanowił, że dalej już tego dnia nie pojedą. Helena nie zaprotestowała. Niebo zakryły czarne i ciemnoszare chmury, jakby chciały pozbawić ziemię światła księżyca. Przez ostatnie dwie godziny podróży deszcz nieustannie bębnił o dach karety, a wycie wiatru zagłuszało nawet turkot kół i stukot końskich kopyt. Powóz zatrzymał się i w otwartych drzwiach zobaczyli przemokniętego stangreta, który starał się umocować schodki.

- Zostaw to. Zajmij się końmi. Im szybciej schronimy się wszyscy pod dachem, tym lepiej.

Służący bez słowa protestu odszedł spełnić polecenie.

Guy wyskoczył na ziemię, rozbryzgując błoto, w jakie zmieniała się nawierzchnia nasiąkniętego wodą dziedzińca. W padającym z otwartych drzwi gospody świetle krople deszczu na jego granatowym wełnianym surducie mieniły się jak brylanty. Odwrócił się do Heleny i podał jej rękę.

- Proszę się pospieszyć, pani McLelland, jeśli nie chce pani przemoknąć do suchej nitki.

**Margaret McPhee**

Naciągnęła na głowę kaptur i po króciutkim wahaniu podała mu rękę. Miała za sobą najdłuższą podróż w swoim życiu. Była zmordowana, zmarznięta i obolała, więc nie chciało jej się nawet myśleć o kolejnej sprzeczce. Silne ramię objęło ją w pasie i zanim zdążyła się zorientować, została wyniesiona z powozu i postawiona na ziemi. Dobrze przynajmniej, że stopy już się wygoiły, pomyślała smętnie. Yarrington zatrzasnął z hukiem drzwi karety, otoczył ją ramieniem i razem pobiegli do zajazdu.

Helena mrugała powiekami, oślepiona mocnym światłem. Kiedy weszli przez masywne drewniane drzwi do środka, uderzyło ich gorące powietrze. W barze panował tłok. Wokół słychać było śmiechy i szmer rozmów, głęboki gwar męskich głosów przerywał od czasu do czasu piskliwy kobiecy chichot. Z przemoczonych, grubych płaszczy mężczyzn parowała wilgoć. Dwie kobiety miały na sobie tylko nieprzyzwoicie głęboko wycięte sukienki, odsłaniające rowek między piersiami. Na staroświeckim, wielkim palenisku pod przeciwległą ścianą buzował ogień. Ludzie zgromadzili się wokół źródła ciepła, siadali, gdzie się tylko dało. Niektórzy nawet na porządnie poukładanych kłodach drewna przeznaczonego do spalania. W powietrzu wisiał odór mokrej wełny, piwa i tytoniu.

Spojrzenia wszystkich obecnych na sali mężczyzn skierowały się na Helenę. Mocniej owinęła się płaszczem i po raz pierwszy tego dnia pomyślała z zadowoleniem, że podróżuje w towarzystwie wicehrabiego. Gdyby jechała do Londynu etapami, jak pierwotnie planowała, musiałaby na każdym noclegu dopominać się o osobny pokój, w dodatku mając bardzo niewiele pieniędzy w sakiewce. Oberżysta był niewysoki, z wielkim brzuchem. Natych-

## Ucieczka Heleny

75

miast rozpoznał w nowym gościu arystokratę, wytarł więc ręce w fartuch, którym był obwiązany w pasie i pospieszył ku niemu.

- Witam, milordzie. - Pochylił głowę w ukłonie. - Niestety, wszystkie pokoje są dzisiaj zajęte.

- Jest pan całkiem pewien? - Guy wyjął z kieszeni sakiewkę i położył ją na ladzie.

Karczmarz zerknął pożądliwie, bo Varington celowo nie zacisnął troczków, żeby małe oczka gospodarza pochwyciły błysk złota.

Helena nie miała pojęcia, ile złotych monet mogło się znajdować w sakiewce, ale odniosła wrażenie, że sporo.

- Sprawdź, co da się zrobić - oświadczył baryłkowaty człowieczek.

- Potrzebujemy dwóch pokoi - zaznaczył wicehrabia. Gospodarz zniknął. Nie czekali jednak zbyt długo.

Po pięciu minutach oberżysta wrócił z szerokim uśmiechem.

- Ma pan szczęście, milordzie. Właśnie zwolniły się dwa pokoje.

Wicehrabia Varington się uśmiechnął, a tamten płynnym ruchem zabrał z lady sakiewkę, która natychmiast zniknęła pod jego obszernym fartuchem.

Helena spostrzegła, że tusty karczmarz przyglądał do niej bezczelnym spojrzeniem.

- Pokoje znajdują się dokładnie naprzeciw siebie, milordzie.

- Coraz lepiej - powiedział Guy.

Na twarzy tusciocha pojawił się obleśny uśmieszek, wyraźnie wskazujący, w którą stronę pobiegły jego myśli. Helena zaczerwieniła się i jej wdzięczność wobec wicehrabiego zniknęła w jednej chwili.

**Margaret McPhee**

- Z prywatną bawialnią? - Wicehrabia spojrział pytająco na właściciela *zajazdu*. Ten jednak głośno wciągnął powietrze i skrzywił się.

- Wszystko pozajmowane, nawet igły się nie wciśnie. Nawet igły!

Tregellas uniósł znacząco brew.

- Będzie gotowa za dwadzieścia minut - zapewnił tamten.

- Będę wielce zobowiązany. - Wsunął w rękę oberżysty następną monetę, po czym zwrócił się w stronę Heleny i podał jej ramię. - Pójdziemy?

Gospodarz wezwał swoją córkę, by zaprowadziła państwa do pokojów. Pulchniutka, ładna dziewczynka spojrzała najpierw na wicehrabiego, potem na jego towarzyszkę i na jej ustach pojawił się domyślny uśmiezek, zadziwiający u osoby w tak młodym wieku. Poprowadziła ich w stronę niskich drewnianych drzwi.

Helena rzuciła Guyowi lodowate spojrzenie, dumnie uniosła głowę i oparła czubki palców na jego rękawie. Nie chciała urządzić mu sceny w barze pełnym ludzi, żeby nie ściągać na siebie powszechnej uwagi, choć doskonale wiedziała, że wszyscy obecni uznali ją za kochankę towarzyszącego jej dżentelmena.

Varington uśmiechnął się do niej czarująco z taką miną, jakby potrafił czytać w jej myślach, i poprowadził ją, poprzedzany przez służącą, wąską klatką schodową na piętro. Zatrzymali się dopiero pod drzwiami jej pokoju.

Zabrzęczały monety i dziewczę zniknęło z jeszcze szerszym uśmiechem na twarzy niż poprzednio.

- Dwadzieścia minut wystarczy? - zapytał.

- Dwadzieścia minut? - powtórzyła Helena, nie mając pojęcia, o co chodzi Guyowi.



## Ucieczka Heleny

77

- Do obiadu. Niezależnie od tego, co sądzimy o poziomie tego zajazdu, musimy coś zjeść.

Czuła, że głowa jej pęka ze zmęczenia, poza tym nadal była oburzona na wicehrabiego, że nie zrobił nic, by sprostować mylne wnioski, jakie wyciągnął na ich widok oberżysta. A właściwie zdawał się nawet potwierdzać uśmiechem te obrzydliwe podejrzenia.

- Jestem zmęczona, milordzie. Wolałabym od razu położyć się do łóżka.

- Przez cały dzień prawie nic pani nie jadła. Nie skusi się pani na obiad, pani McLelland?

- Nie - odparła, zbyt zmęczona, by pamiętać o grzeczności.

- Rani mnie pani! - Westchnął i teatralnym gestem położył sobie rękę na sercu.

- Przykro mi, milordzie.

- Jako zaniepokojony dżentelmen i przyjaciel ośmielam się zauważyć, że nie potrafiłbym się rozkoszować posiłkiem, mając świadomość, iż pani położyła się spać głodna - powiedział z przekornym błyskiem w oku.

Helena westchnęła. Czuła, że Varington nie zadowoli się wykrętami i nie zrezygnuje z perswazji. Ból pleców doskwierał jej coraz bardziej. Marzyła tylko o tym, żeby znaleźć się w sypialni i wyciągnąć się na łóżku. Sama. W poczuciu bezpieczeństwa.

- Dobrze, milordzie. Zjem lekki posiłek.

- Znakomita decyzja, pani McLelland - stwierdził z zadowoleniem i zanim zdążyła zareagować, podniósł jej rękę do ust, musnął ją wargami i natychmiast puścił. - Za dwadzieścia minut - powiedział z ukłonem.

Natychmiast weszła do swojej sypialni i zamknęła za sobą

**Margaret McPhee**

drzwi, a jednak nadal czuła na sobie spojrzenie jego błękitnych oczu.

Dokładnie w dwadzieścia minut później Guy zapukał do drzwi pokoju Heleny. Zdążył się umyć i przebrać. Nie mógł się doczekać ponownego spotkania z osobą tak starannie strzegącą sekretów, które postanowił jej wydrzeć. Zamierzał bardziej przyłożyć się do realizacji swego celu. Zadanie nie wydawało mu się zbyt trudne. Prawdę mówiąc, flirt z kobietą, która przedstawiła się jako Mary McLelland, sprawiał mu z każdą chwilą większą przyjemność. Była naprawdę piękna, nie kłamał, mówiąc jej o tym w powozie. Aksamitna, kremowa skóra, płomiennie rude włosy i figura, która znalazłaby uznanie w oczach każdego mężczyzny. Nie mijał się również z prawdą, kiedy powiedział Weirowi, że lubi kobiety rudowłose i pełne wigoru wdówki. Helena z pewnością należała do pierwszej kategorii, a być może również do drugiej. Obiad z zielonooką wiedźmą. Uśmiechnął się na tę myśl. Nakłonienie jej okazało się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewał, chociaż rzeczywiście wyglądała na zmęczoną i gotów był w razie potrzeby stać pod jej drzwiami przez całą noc. Stracił z surduta niewidzialny pyłek i uśmiechnął się, kiedy drzwi stanęły otworem.

Miała na sobie tę samą ciemną suknię podróżną, którą nosiła przez cały dzień. Przyczesła jednak włosy i, sądząc po zapachu, skropiła się wodą lawendową.

- Pani McLelland. - Skłonił się na powitanie i podał jej ramię.

Bez słowa wzięła go pod rękę i ruszyła wraz z nim do oddanego do ich wyłącznej dyspozycji saloniku.

## Ucieczka Heleny

79

Światło z ustawionego na środku stołu kandelabru podkreśliło cienie pod oczami Heleny. Błede policzki miały lekki odcień popiołu, a usta wydawały się nieco zaciśnięte. Nie miała już siły trzymać się prosto, z ulgą wspierając się plecami o oparcie krzesła. Wyglądała na wycieńczoną i bardzo bezbronną. Guy poczuł lekkie wyrzuty sumienia.

Pokojówka postawiła na bocznym stoliku świeżo otwartą butelkę czerwonego wina, dwa czyste kieliszki, porcelanową zastawę i sztucce. Lord Varington napełnił winem oba kieliszki.

- Widzę, że podróż bardzo panią zmęczyła.

- Rzeczywiście.

- Nie powinienem do tego dopuścić. Jutro zmniejszymy tempo jazdy. Nie chcę, żeby dotarła pani do ciotki w stanie skrajnego wyczerpania.

- Wyśpię się w nocy i rano będę jak nowa, sir. I tak ze względu na mnie ograniczył pan prędkość. Proszę już bardziej nie zwalniać.

- Bardzo pani dla mnie łaskawa, pani McLelland - zauważył gładko.

- Ależ skąd, milordzie. Po prostu nie mogę się już doczekać spotkania z ciotką - odparowała.

Guy uśmiechnął się. Helena bardzo starała się wyglądać na nieporuszoną, ale dostrzegł nerwowe drżenie jej palców obejmujących kieliszek.

- Czy powinienem się pożegnać z nadzieją zdobycia pani łask?

Widział, jak jej ramiona i piersi uniosły się w głębokim westchnieniu.

- Wydaje mi się, że już wcześniej bardzo jasno przedstawiłam swoją opinię na ten temat, milordzie. - W jej głosie nie było cienia pretensji, najwyżej leciutki ton znużenia.

**Margaret McPhee**

- Jest pani wyjątkowo atrakcyjną kobietą, więc mężczyzna nie traci nadziei. - Wpatrywał się w nią przez stół. Pragnął, by spojrzała mu w oczy, ale ona konsekwentnie odwracała od niego wzrok.

Rozległo się krótkie pukanie do drzwi i do saloniku wkroczył oberżysta w asyście służących z licznymi półmiskami. Dopiero po ich wyjściu wicehrabia odezwał się znowu.

- Czy mogę panią obsłużyć? - Dwuznaczność pytania była wyraźnie zamierzona.

Podniosła na niego oczy tylko na moment, ale dostrzegł, że aż za dobrze rozumiała jego intencję.

- Nie, dziękuję, milordzie.

- Jak pani sobie życzy - odparł i pochylił głowę. Skosztował po trochu z każdego dania.

Helena popijała wino małymi łyчками, ale nie zjadła ani odrobiny.

- Naprawdę nie da się pani skusić? - zapytał, spoglądając znacząco na jej usta. - Kurczak jest całkiem niezły.

Twarz Heleny pozostała nieporuszona.

- Dziękuję, milordzie. Nie jestem głodna. - Znów wypła łyček i odstawiła kieliszek na obrus.

Lord Varington kontynuował posiłek.

- Kapusta nierozgotowana, pani McLelland, a wieprzowina ładnie przyrumieniona.

Burczenie w brzuchu zabrzmiało donośnie w cichym saloniku. Helena zaczerwieniła się lekko.

- Przepraszam - wymamrotała. Kąciki ust Guya uniosły się w uśmiechu.

- Chyba nie była pani ze mną szczerą. - Bez pytania sięgnął po jej talerz i nałożył po trochu z każdego półmiska.

## Ucieczka Heleny

81

Rumieniec na jej policzkach pogłębił się, ale kiedy postawił przed nią posiłek, natychmiast zabrała się do jedzenia.

- Szczerość to taka ważna cecha. A co pani o tym myśli, pani McLelland?

- Ja mało myślę.

- Nie robi pani na mnie wrażenia osoby ograniczonej. Z pewnością ma pani swoje zdanie w tej sprawie - stwierdził i ponownie napełnił jej kieliszek.

- Jestem pewna, że ma pan rację, sir.

- Więc zgadza się pani ze mną, że oszustwo to grzech? -zapytał z przesadnym zdumieniem.

Odłożyła sztucę na talerz i podniosła na niego wzrok.

- W moim przekonaniu w pewnych sytuacjach grzech może być usprawiedliwiony.

- Na przykład?

- Na przykład kiedy człowiek obawia się utracić życie -odparła tak cicho, że musiał się wysilić, by dosłyszeć jej słowa. Przemknęło mu przez myśl, że mógł popełnić wielki błąd w ocenie siedzącej naprzeciw niego kobiety. Serce mu się ścisnęło.

Zapadło milczenie. Po chwili Guy powiedział:

- W takim wypadku osoba ta powinna poprosić o pomoc i z całą pewnością by ją otrzymała. Mogę to zagwarantować, droga pani.

- Bywają sytuacje, w których nikt nie może pomóc.

- Może tak się wydawać komuś znajdującemu się w trudnym położeniu. Jednak zawsze istnieje jakaś możliwość działania.

Spojrzała mu prosto w twarz i Guy wyczuł, że ma oto przed sobą prawdziwą Helenę, która dotychczas ukrywała się pod

**Margaret McPhee**

maską pani McLelland. I nagle pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział tak uderzająco pięknej kobiety.

- Istnieją sytuacje, w których nie ma nadziei.

- Heleno. - Wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń, ale tym razem w jego dotyku nie było nic uwodzicielskiego ani zmysłowego. - Zawsze jest nadzieja. - Zamilkł, po czym dodał: - Niech mi pani pozwoli sobie pomóc.

Dostrzegł w jej oczach tęsknotę, rozpaczliwą potrzebę zrzucenia na kogoś brzemienia straszliwej prawdy, którą od dawna dźwigała samotnie. Nie próbowała też cofnąć dłoni, po raz pierwszy wyczuwał w Helenie ufność i otwartość. Rozchyliła usta, by przemówić i...

Pukanie do drzwi.

- Mogę coś jeszcze przynieść? - zapytała dziewczyna służebna, która wpadła do pokoju jak po ogień.

Helena szybko cofnęła dłoń.

- Nie, dziękuję - odparła tonem chłodniejszym niż zazwyczaj i służąca zniknęła.

Było już jednak za późno. Właściwa chwila przeminęła, a wraz z nią zaufanie siedzącej przy stole kobiety. W jej oczach znowu pojawiła się ostrożna czujność, a usta były zaciśnięte. Guy przeczesał palcami włosy ze źle skrywanym zawodem.

- Heleno... - zaczął. Przerwała mu natychmiast.

- Nazywam się McLelland. Pan wybaczy, milordzie. Jestem zmęczona i chciałabym się położyć. Musimy wyruszyć wczesnym rankiem.

Guy znowu miał przed sobą Mary McLelland.

- Oczywiście - powiedział, wstając z krzesła.

Nie odzywali się do siebie do chwili, gdy stanęła w drzwiach swego pokoju.

## Ucieczka Heleny

83

- Dobranoc, pani McLelland - powiedział cicho.

- Dobranoc, wicehrabio - odparła spokojnie.

Stał jeszcze przez chwilę na korytarzu, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła. Potem odwrócił się powoli i wszedł do swojego pokoju.

Nie tak miał przebiegać ten wieczór!

Wiele czasu minęło, zanim Helena wreszcie zapadła w sen, choć całe ciało bolało ją ze zmęczenia, a głowę miała tak skołowaną, że nie mogła jasno myśleć. Zdjęła pożyczoną sukienkę i włożyła pożyczoną koszulę nocną. Wyjęła pożyczone spinki i pożyczonym grzebieniem rozczesała długie, gęste włosy. A przez cały czas tłukła jej się w mózgu tylko jedna myśl: o mało nie wygadała wszystkiego wicehrabiemu. Jak do tego doszło? W jednej chwili irytowały ją jego uwodzicielskie sztuczki, a w następnej gotowa była otworzyć przed nim serce. Coś się w nim zmieniło. Stało się to podczas tej dwuznacznej wymiany zdań o nieszczerości. Nagle zniknął gdzieś uwodziciel, a na jego miejsce pojawił się mężczyzna, w którego oczach malowało się współczucie i troska, którego dłoń dawała poczucie siły i spokoju, mężczyzna, który obiecał jej pomoc, a ona... ona mu uwierzyła. To była chwila słabości. Gdyby w tamtym momencie nie weszła do pokoju służąca, Helena powiedziałałaby mu całą prawdę. Zadrzała na tę myśl, leżąc w ciemnym pokoju.

Zza ściany dobiegało stłumione chrapanie. Na dworze, w mroku zahukała sowa. Bezlistne gałęzie drzew uderzały lekko o szyby w oknie. Jak łatwo byłoby wyznać mu wszystko... I jak bardzo niebezpiecznie! Gdyby wicehrabia Varington wiedział, kim jest Mary McLelland, jego dobroć wyparowałaby natychmiast. W tej jednej sprawie powiedziała mu prawdę:

**Margaret McPhee**

nikt i nic nie mogło jej pomóc. Stephen dopilnowałby z pewnością, aby każdy, kto starałby się ją ratować, gorzko tego pożałował.

Helena wierciła się na łóżku, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję i wreszcie zasnąć. I jedno, i drugie nie było proste. Tayburn na pewno nie zrezygnuje. Nie łudziła się, że uwierzy, iż ona poszła na dno razem z „Bonnie Lass”. Odczuła głębokie zadowolenie, że podczas pobytu w Sea-mill Hall nie zdradziła swego prawdziwego nazwiska, bo można przecież założyć, że pan Weir utnie sobie pogawędkę z konstabłem. Nazwisko Stephena z pewnością nie było urzędnikowi obce. Helena była wdzięczna Weirom za opiekę i miała nadzieję, że Tayburn nigdy nie trafi na ich ślad -dla ich własnego dobra. Stała jej przed oczami przystojna twarz wicehrabiego Varingtona; przypomniawszy sobie jego szczerą ofertę pomocy. Wystąpił z nią, nie wiedząc, kim ona jest. Gdyby poznał prawdę, z pewnością złożyłby jej całkiem inną propozycję. O dziwo, ta myśl wcale jej nie zaszokowała. Po raz pierwszy zaczęła rozważać, jakby to było, gdyby przyjęła opiekę wicehrabiego. Ta perspektywa wydała jej się nagle nader kusząca... Krew napłynęła jej do policzków na tę myśl. Odepchnęła ją natychmiast, zawstydzona i przerażona tym, co Stephen z niej zrobił. Nawet gdyby jakimś cudem udało jej się przed nim uciec, to od tego nie zdoła uciec już nigdy... Tayburn zniszczył ją. Mówił, że zawsze będzie należała do niego. Wiedziała, co gotów był zrobić każdemu, kto spróbowałby jej pomóc.

Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że akceptując propozycję podróży w towarzystwie wicehrabiego Varingtona, mogła narazić go na niebezpieczeństwo. Czym innym było ryzykować własnym życiem, a czym innym narażać na śmierć



## Ucieczka Heleny

85

innych ludzi. Przekonała się o tym podczas katastrofy „Bonnie Lass”. Agnes i stary Tam zginęli. Przez nią. Po końca życia będzie dźwigała brzemie odpowiedzialności za ich śmierć. Nie chciała mieć na sumieniu kolejnego człowieka. Im szybciej dotrą do Londynu, tym lepiej. Londyn to wielkie, ruchliwe miasto, przez które przetaczają się tłumy; łatwo się wśród nich zgubić. Oczy zapiekły ją od powstrzymywanych łez. Nie mogła sobie pozwolić na żadną słabość, bo wciąż była w niebezpieczeństwie. Zamknęła oczy, przywołując sen. Ale sen nie nadchodził. Zamiast tego nadeszły nieproszone myśli o Guyu.

Następnego dnia kontynuowali podróż w niespiesznym tempie. Varington wydał stangretowi stosowne polecenia. Karetą, zamiast gnać na złamanie karku, toczyła się niemal jak podczas przejażdżki po parku. - Milordzie, jedziemy znacznie wolniej niż wczoraj. - Guy dostrzegł w oczach Heleny cień niepokoju. Tak, potrafiła niezłe ukrywać swe uczucia, jednak nie aż tak dobrze, by uważny obserwator nie był w stanie ich dostrzec.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Przyzna pani, że to tempo jest bardziej odpowiednie dla damy.

- Wczoraj był pan innego zdania - zauważyła.

- Wczoraj starałem się dotrzeć do Catterick.

- Ale nie udało się.

- Nie, nie udało się - przyznał z tym swoim charakterystycznym półśmiechem, w którym unosił jeden kącik ust.

- A dokąd powinniśmy dojechać dzisiaj, milordzie? Popatrzył jej prosto w twarz i odpowiedział dopiero po chwili milczenia.

**Margaret McPhee**

- To się okaże, pani McLelland.

Dostrzegł w jej oczach błysk zrozumienia. Potem odwróciła głowę i zaczęła wyglądać przez okno.

Zapadła cisza, jeśli nie Uczyć rytmicznego stukotu kopyt i głośnego turkotu kół powozu.

- Wolałabym, żebyśmy jechali trochę szybciej - powiedziała wreszcie cicho, nie odrywając wzroku od okna.

- Lubi pani trząść się na wybojach przy dużej prędkości? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie. - Helena nie przyglądała się już mijanym krajobrazom. Szukała oczyma jego spojrzenia. - Ale pilno mi do Londynu.

- Żeby jak najmniej czasu spędzić w moim towarzystwie?

- Nie. - Na jej twarzy odmalowało się zdumienie, ale zniknęło niemal natychmiast. - Chcę się tylko zobaczyć z ciotką.

- W Hendon?

- Tak, w Hendon - potwierdziła.

- Proszę mi opowiedzieć o swojej ciotce. Hendon to niewielka miejscowość, może mój przyjaciel ją zna. Twarz Heleny pozostała nieprzenikniona. Najmniejszym gestem nie zdradziła, że jego pytanie było jej nie na rękę. W rzeczywistości to właśnie ten całkowity spokój uświadomił Guyowi, że przyparł ją do muru. Była cicha i spokojna, ale to, co się działo pod tą niewzruszoną powłoką, to już zupełnie inna bajka. Rozsiadł się wygodnie i czekał, naprawdę zaciekawiony, jaką historyjkę wymyśli na jego użytek. Jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie, a to z kolei następne. Zanim Helena się zorientuje, zamota się w nich... chyba że jest bardzo doświadczoną oszustką. Pomimo całego cynizmu wicehrabia miał nadzieję, że jednak nie.

## Ucieczka Heleny

87

Wreszcie, po bardzo długiej chwili, usłyszał jej głos:

- Moja ciotka jest posuniętą w latach starą panną, spokojną i bezpretensjonalną, obdarzoną skromnym majątkiem. Mało prawdopodobne, by zwróciła na siebie uwagę pańskiego przyjaciela. Jest pan bardzo uprzejmy, milordzie, nie przypuszczam jednak, by moi krewni mogli się znaleźć w orbicie pańskich zainteresowań. - Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech, nie obejmujący oczu. - Pani Weir mówiła, że niemal cały rok spędza pan w Londynie. Pewnie doskonale zna pan miasto, sir. Proszę mi o nim opowiedzieć. Posłucham z prawdziwą przyjemnością.

- A ja z przyjemnością opowiem. Choć sprawiła mi pani przykrość, poddając w wątpliwość moją szczerość. Zapewniam, że pani ciotka interesuje mnie niemal w tym samym stopniu, co pani. - Ani na chwilę nie odwrócił spojrzenia od jej twarzy. - Proszę mi o niej opowiedzieć.

Zielone oczy spojrzały mu prosto w twarz. Wyczuwał w nich napięcie.

- Niewiele mam do powiedzenia - stwierdziła.

- Proszę zacząć od nazwiska. Kolejna pauza.

- Panna Morgan... Panna Jane Morgan.

- Panna Jane Morgan, starsza, niezamężna dama, spokojna i bezpretensjonalna, obdarzona niewielkim majątkiem - podsumował dotychczasowy zasób wiedzy, parodiując lakoniczny ton swej rozmówczyni.

- Tak - potwierdziła, ale umknęła spojrzeniem w bok.

- Nie mogę się doczekać, by ją poznać.

Helena popatrzyła na niego w końcu ze zdumieniem.

- Co pan ma na myśli, milordzie?

- Przy okazji najbliższej wizyty w Hendon zamierzam od-

**Margaret McPhee**

wiedzie panią i pani ciotkę. - Zrobił niewinną minę. - A cóż innego mógłbym mieć na myśli, pani McLelland? - zapytał z udawanym zaskoczeniem.

- Zupełnie nic, sir - odrzekła, ale jej policzki nabrały różowej barwy.

- Muszę koniecznie zapisać dokładny adres pani ciotki, kiedy dotrzemy do Londynu. - Popatrzył na nią pytająco. - Chyba nie zabroni mi pani odwiedzin?

- Nie - powiedziała słabym głosem. - Nie zabronię panu odwiedzin.

- Miło mi to słyszeć, pani McLelland. - Guy oparł się wygodnie o poduszki powozu, wyciągnął przed siebie nogi i uśmiechnął się. - Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym się przespał?

Pokręciła przecząco głową.

- Proszę się zdrzemnąć, milordzie.

Uśmiechnął się jeszcze raz i zamknął oczy. Był zadowolony z wyłomu, jaki uczynił w masce, pod którą kryła się Helena.

- Może pan się czegoś napije, sir Stephenie? - zapytała Annabel mężczyznę, który rozsiadł się w bawialni Seamill Hall z taką miną, jakby był u siebie.

Tayburn odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

- Nie, dziękuję, pani Weir. Nie mam czasu na takie drobiazgi. - Mówił powoli, starannie wymawiając każde słowo. Na dłuższą chwilę przylgnął wzrokiem do kobiety, wreszcie zwrócił oczy na jej męża, który siedział bliżej niego. - O ile się nie mylę, przyjęli państwo w swoim domu pewną damę.

Spojrzenie, jakie wbił w twarz Johna, było dalekie od życzliwości. Ale Weir wiedział to i owo o Tayburnie i nie przejmował się nim.

## Ucieczka Heleny

89

- Mogę zapytać, czemu interesuje się pan naszymi gośćmi, sir?

Mroczne spojrzenie Stephena spotkało się ze wzrokiem młodszego mężczyzny.

- Sądzę, że ta dama jest moją przyjaciółką.

- Przyjaciółką? - Twarz Annabel zalał ciemny rumieniec. - Nie, sir, obawiam się, że jest pan w błędzie.

Kobieta, którą znaleźliśmy na plaży, to biedna wdowa, Mary McLelland.

- Doprawdy? - Gość uniósł w górę czarną brew. - Czy będzie pani tak miła, pani Weir, i opisz mi tę biedną wdowę?

- Średniego wzrostu, rudowłosa, zielonooka... Tak, wydaje mi się, że Mary ma zielone oczy.

- Annabel, zostaw to mnie - poprosił jej mąż ze zmarszczonym czołem.

Usta Annabel zadrżały.

Na twarzy Stephena pojawił się przerażający uśmiech.

- Więc twierdzi pan, że znaleźliście tę biedną wdowę na plaży? - zapytał, kładąc nacisk na słowa „biedną wdowę” z wyraźną złośliwą podłością.

- Właściwie to nie my znaleźliśmy - odparła pani Weir, jakby chciała w ten sposób chronić męża. - To Guy.

- Annabel! - zawołał John, wyraźnie poirytowany.

- Guy? - W ustach Stephena to imię zabrzmiało jak ohydne przekleństwo.

- Zaraz po znalezieniu tej kobiety skontaktowałem się z konstabłem i dowiedziałem się, że w ciągu ostatnich dwóch dni nie otrzymał żadnego zgłoszenia o zaginięciu - stwierdził Weir.

- W zeszłym tygodniu moja przyjaciółka udała się z wizytą do kuzynki. Właśnie tamtej sztormowej nocy. Nie miałem powodów, by się niepokoić, że mogła nie dotrzeć bez-

**Margaret McPhee**

piecznie na miejsce. Aż do dzisiaj. Bo dzisiaj odebrałem list od owej kuzynki z pytaniem, co się z nią dzieje. - Tayburn bez drgnienia powiek wytrzymał pytający wzrok pana domu. - Po otrzymaniu wiadomości niezwłocznie przystąpiłem do działania i przeprowadziłem małe dochodzenie, które doprowadziło mnie do pana domu, sir. Chyba nie muszę dodawać, że opis znalezionej przez was kobiety doskonale pasuje do mojej przyjaciółki.

- Zapomina pan o pewnym szczególe. Ta dama nosi nazwisko McLelland i jest godną szacunku wdową - stwierdził John.

Górna warga Stephena uniosła się w pogardliwym grymasie.

- Możliwe. Jednak z drugiej strony, moja zaginiona przyjaciółka mogła podczas wypadku stracić przytomność. W takim stanie kobiety często doznają pomieszania zmysłów. Czy ta pani McLelland nie była przypadkiem nieprzytomna w chwili, gdy została odnaleziona? - zapytał jakby od niechcienia. Weir nie miał innego wyjścia, jak powiedzieć prawdę, choć wyraźnie nie chciała mu ona przejść przez usta.

- Rzeczywiście, sir.

- A! - stwierdził Tayburn z niekłamaną satysfakcją. - W takim razie nie powinien pan zgłaszać obiekcji wobec mojego spotkania z wzmiankowaną damą. - To było raczej stwierdzenie niż prośba czy pytanie.

- Obawiam się, że to niemożliwe, sir. - John stanął przed kominkiem na rozstawionych nogach, z rękami założonymi do tyłu, w postawie podkreślającej, że jest panem Seamill Hall.

Stephen wstał powoli, podszedł do kominka i stanął tuż przed nim, po czym zrobił krok do przodu.

## Ucieczka Heleny

91

- A to dlaczego, panie Weir? - zapytał cicho, tonem pogrózki.

Napięcie między mężczyznami stało się nieznośne, a mimo to gospodarz nie dał się zbić z tropu.

- Ponieważ pani McLelland nie ma już w tym domu, sir. Oczy Tayburna zwęziły się, zamieniając się w czarne szpary na bladej twarzy.

- Wyjechała do ciotki.

- Doprawdy? A gdzie można znaleźć tę ciotkę pani McLelland, sir? - Ostatnie słowo zabrzmiało jak syk węża.

- Nie wiem.

Tayburn zrobił kolejny krok do przodu, zmuszając Johna do cofnięcia się. Ten zbliżył się niebezpiecznie do paleniska, na którym buzował ogień.

- No, panie Weir, niech pan się skupi.

- Proszę opuścić mój dom, sir Stephenie.

- Najpierw powie mi pan prawdę. Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, dokąd pojechała - odrzekł stanowczo Tayburn, robiąc kolejny krok w stronę Weira.

John spojrzał prosto w czarne źrenice mężczyzny i przemknęło mu przez myśl, że wszystko, co słyszał o tym człowieku, było prawdą. Gdyby odpowiedział na jego pytanie, ten niewątpliwie ruszyłby w pościg za Guyem.

- Mówiła chyba, że jej ciotka mieszka w Northumberland - oznajmił.

Intruz wybuchnął śmiechem, którego brzmienie sprawiło, że John pobladł.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz. Ale tym razem chcę usłyszeć prawdę, jeśli łaska. - Stephen zrobił następny krok i jego rozmówca oparł się plecami o marmurową obudowę kominka. Wkrótce w pokoju rozszedł się swąd palonej

**Margaret McPhee**

welny. Weir zacisnął rękę w pięść i chciał uderzyć prześladowcę, nie był jednak wystarczająco szybki. Tamten błyskawicznie wbił lufę pistoletu w jego pierś na wysokości serca.

- Nie! - krzyknęła z drugiego końca pokoju Annabel. - Niech go pan zostawi!

- Odpowiedz na pytanie, jeśli nie chcesz, żeby twoja żona jeszcze przed końcem dnia została wdową - wycedził Stephen. - Jestem bardzo dobry w pocieszaniu wdów i osieroconych dzieci... - Odciągnął spust. - Szczególnie ładnych blondyneczek.

- Mary McLelland wyjechała stąd wczoraj i jest w drodze do Hendon koło Londynu - wycedził przez zaciśnięte zęby Weir

- Lepiej. - Tayburn się uśmiechnął. - Teraz powiedz mi resztę.

- Nie mam nic więcej do dodania.

Nieproszony gość westchnął i położył palec na spuście.

- On mówi prawdę! - krzyknęła rozpaczliwie Annabel. - Wyjechała wczoraj z Guyem. Nic więcej nie możemy panu powiedzieć.

Stephen opuścił broń i cofnął się. Weir odetchnął z ulgą, która nie trwała jednak długo, ponieważ Tayburn podszedł szybko do Annabel.

- A kim jest właściwie ten Guy?

Błękitne oczy kobiety rozszerzyły się z trwogi.

- To wicehrabia Varington - wyjąkała, odsuwając się od niego pospiesznie.

- Varington wracał właśnie do Londynu, więc zaoferował pani McLelland miejsce w swoim powozie - wyjaśnił Weir, stając przed żoną, by ją ochronić.



## Ucieczka Heleny

93

Usta Stephena zacisnęły się w wąską, twardą linię.

- Varington... Varington... - wyszeptał cicho do siebie i nagle strzelił pytaniem: - Brat Tregellasa?

- Brat Tregellasa - potwierdził John w nadziei, że to pokrewieństwo wpłynie hamująco na rozsierdzonego przybysza.

Tayburn uniósł kącik górnej wargi, odsłaniając pociemniałe zęby.

- Więc ona jest z wicehrabią Yaringtonem, tak? W takim razie muszę sprowadzić swoją najdroższą Helenę z powrotem. Do widzenia, pani Weir. - Obdarzył Annabel mrożącym krew w żyłach uśmiechem, po czym zwrócił się do jej męża. - Panie Weir, jeśli się okaże, że zataił pan przede mną jakąś istotną informację, to może pan być pewien, że odwiedzę was znowu. Was oboje. - Spojrzał Johnowi prosto w oczy. - Ma pan naprawdę uroczą żoneczkę. Nadchodzą ciężkie czasy. Proszę się postarać, żeby nie spotkało jej coś złego.

Zniknął równie szybko, jak się pojawił, zostawiając małżonków samych w bawialni Seamill Hall.

## **Rozdział szósty**

Varrington spał spokojnie. Jego twarz straciła teraz swój zwykły wyraz zblazowanego, wyniosłego światowca i stała się niewinna, wręcz chłopięca.

Helena siedziała sztywno wyprostowana. Choć wpatrzona w okno, nie widziała wysokich wzgórz i głębokich dolin typowych dla północnej Anglii, majestatycznych i wzbudzających respekt.

Wicehrabia poruszył się we śnie, umościł się wygodniej i wyciągnął długie nogi tak, że znalazły się bliżej siedzącej naprzeciw kobiety. Jego poruszenie wyrwało ją z ponurego zamyślenia. Rozluźniła splecione ze sobą zbyt mocno palce, położyła ręce na kanapie i spojrzała na towarzysza podróży. Przyjrzała się ciemnym włosom opadającym na białe czoło, czarnym brwiom i prostemu nosowi, a także zmysłowemu ustom, które nawet we śnie wydawały się lekko uśmiechnięte. Ciekawa twarz, pomyślała. Twarz, która doskonale odzwierciedlała charakter człowieka. Szlachetna i zmysłowa, ale zdradzająca też skrywaną wrażliwość.

Helena uświadomiła sobie, że wpatruje się w usta śpiącego. Były jakby stworzone do pocałunków, ale wolała nie sprawdzać, jak smakują. Przecież wystarczyło muśnięcie jego pal-

## Ucieczka Heleny

95

ców, by rozpalic w niej pożądanie. Co by się stało, gdyby zetknęły się ich wargi? - przemknęło jej przez myśl. Pomimo chłodu panującego we wnętrzu powozu, jej policzki stanęły w ogniu, więc pospiesznie odwróciła wzrok. Na litość boską, przecież uciekała od Stephena! Nie szukała następnego mężczyzny gotowego zaproponować jej opiekę, która z rzeczywistą opieką nie miała nic wspólnego! Odetchnęła głęboko i postanowiła wyrzucić z głowy wszelkie niestosowne myśli.

Kontemplowanie twarzy Guya Varingtona zakłóciło jej dziwne zdarzenie.

Najpierw usłyszała trzask pękającego drewna, a zaraz potem huk tak potężny, że zadrżała. Powóz przechylił się mocno na jedną stronę, ale się nie zatrzymał. Helena złapała się mocno rzemiennego uchwytu i w tym momencie poczuła, że karetka szoruje bokiem o ziemię. Stało się to tak błyskawicznie, że nie zdążyła nawet krzyknąć, ale od tego momentu czas zaczął płynąć w zwolnionym tempie. Pojazd nadal się poruszał, jednak nie jechał do przodu, lecz w bok. Konie rżały, stangret wrzeszczał; zarówno w głosach zwierząt, jak i człowieka było słychać przerażenie. Potem krzyk przybrał na sile i świat wywrócił się do góry nogami. Helena odnosiła wrażenie, że powóz spada, płynie w powietrzu. Varington! Chciała się odezwać, zawołać go, krzyknąć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Mimo panującego chaosu jej umysł pozostał jednak dziwnie spokojny. Beznamiętnie pomyślała: umrzemy, jakby to była najzwyczajniejsza, codzienna sprawa. Wiedziała o tym z absolutną pewnością. Czuła się tak, jakby stała z boku i obojętnie obserwowała katastrofę. Bez lęku, bez protestu, bez emocji. Chciało jej się nawet śmiać z powodu absurdalności sytuacji.

Ból ramienia niemal wyrwanego ze stawu przywrócił ją

**Margaret McPhee**

rzeczywistości. Rzemienny uchwyt zaczął powoli wysuwać się z jej zdętwiałych palców. Pomyślała, że wisi jak poćnięte mięso na haku i nie utrzyma się już długo. Druga jej ręka zwisała bezużytecznie z boku. Pod plecami miała to, co do niedawna było dachem karety. Obserwowała staranne, równe ściegi na skórzanej tapicerce, niewiarygodnie wręcz drobne. Przyglądała się stercie ciemnobrązowych poduszek. Próbowwała złapać rzemień drugą ręką, ale na próżno. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie: krzyk mężczyzny, rżenie koni, upadek powozu, rzemień wyślizgujący się jej pomiędzy palców... potem wszystko ucichło. Helena wstrzymała oddech i czekała. Rozległ się potężny, ogłuszający trzask, jakby cały las poszedł w drzazgi. To było jak wybuch, jak eksplozja. Pojazd uderzył o Ziemię i znieruchomiał. Siła uderzenia rzuciła ciało dziewczyny w dół. Zabolalo jak smagnięcie batem. Bezgłośny krzyk. Mimowolne zaciśnięcie oczu. Szeroko rozrzucone ramiona.

- Pani McLelland! - zawołał ktoś tuż przed twardym lądowaniem. Leżała jak sparalizowana, wreszcie w bezruchu. Słyszała tylko szum wiatru i skrzypienie drewna. Jakby trafiła do jakiejś oazy spokoju, gdzie nie ma ruchu, dźwięku, tylko cisza i trwanie. A potem znów rozległo się rżenie koni i ludzki krzyk, a powóz lekko się poruszył.

-Pani McLelland! - zabrzmiało głośniejszym głosem i tym razem uświadomiła sobie, że głos należy do wicehrabiego, a ta pani McLelland to ona.

Otworzyła oczy, ale jej pole widzenia zostało znacznie ograniczone przez szary czepek, który zsunął się jej na twarz, kiedy powóz koziółkował. Ale to, czego nie była w stanie zobaczyć, mogła wyczuć. Leżała skulona na boku z uniesionymi w górę nogami, a cały ciężar jej ciała spoczywał na lewym barku. Pod palcami prawej ręki miała poła-

## Ucieczka Heleny

97

mane kawałki drewna, wilgotną ziemię i szorstką, sprężystą trawę. Czuła ucisk na lewym ramieniu, a jej głowa spoczywała na czymś silnym, ciepłym i żywym. Na wicehrabim Varingtonie! Próbowwała usiąść.

Głos Guya dobiegał z bardzo niewielkiej odległości.

- Proszę się nie ruszać, pani McLelland. Niech pani pozostanie na miejscu. Każdy gwałtowny ruch może powiększyć uszkodzenie powozu. - Jego palce ścisnęły jej dłoń. - Jest pani ranna?

Prawdę mówiąc, nie wiedziała.

- Chyba nie - odparła. Nie czuła bólu. Była odrętwiała i wstrząśnięta.

- Dzięki Bogu - odetchnął z ulgą.

- Przeżyliśmy - powiedziała takim tonem, jakby nie mogła w to uwierzyć. - Co się stało?

- Wygląda na to, że straciliśmy koło i wypadliśmy z drogi. Konie zarżały głośniejsze, powóz zaskrzypiał i znów się poruszył.

- Boże, miej nas w swojej opiece - wyszeptała Helena i palce Guya mocniej ścisnęły jej dłoń. Rzenie zmieniło się w kwik, rozpaczliwy, mrozący krew w żyłach kwik, który zaczął się oddalać i wreszcie ucichł. Pojazd nawet nie drgnął.

- Milordzie! Milordzie! Czy państwo żyją?! - krzyczał stangret.

- Chyba żyjemy, Smith.

- Proszę się nie ruszać, milordzie. Błagam, nie ruszajcie się, na litość boską!

Helena słyszała w głosie tego człowieka przerażenie.

- Gdzie jesteśmy, Smith?

- Zjechaliśmy z drogi na strome urwisko nad głęboką doliną, milordzie. Nie mogłem zatrzymać zaprzęgu. Widziałem,

**Margaret McPhee**

co się dzieje, ale nic nie mogłem poradzić. Konie oszalały ze strachu. Spłoszyły się. Myślałem, że już po nas.

- Gdzie zatrzymał się powóz?

- Na krawędzi - odparł stangret schrypniętym głosem. - Na cholernej, rdzawej półce skalnej jakieś dziesięć stóp poniżej drogi. Konie o mało nie ściągnęły nas w przepaść. Musiałem je odciąć, milordzie. Straciliśmy wszystkie.

- Zrobiłeś to, co konieczne, Smith, i jestem ci za to wdzięczny. Możesz otworzyć górne drzwi?

Stangret odpowiedział po dłuższej chwili.

- Milordzie, powóz balansuje na samej krawędzi. Obawiam się, że gdybym na nią wszedł, to straci równowagę i runie w przepaść.

Helenie zrobiło się słabo. Znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, w pułapce, z której jedynym wyjściem była śmiertelna otchłań.

Poczuła lekki uścisk palców towarzysza niedoli. Nadal nic nie widziała przez czepek, który zasłonił jej oczy.

- Smith, czy jest w pobliżu coś, co mogłoby posłużyć za kotwicę? - Yarrington mówił głośno, ale nie krzyczał.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza, najwyraźniej służący rozglądał się dokoła.

- Tak, milordzie. W miejscu, gdzie półka skalna styka się ze zboczem, rośnie drzewo. Ale małe, nie utrzyma ciężaru karety.

- Nie musi - odpowiedział Guy. - Weź sznur i przywiąż jeden koniec do drzewa, Smith. Powiedz, kiedy się z tym uporasz.

- Dobrze, milordzie.

Usłyszeli, jak stangret poruszał się na zewnątrz.

- Wicehrabio. - Helena czuła pod policzkiem równe, mia

## Ucieczka Heleny

99

rowe uderzenia serca, wiedziała więc, że jej głowa spoczywa na jego piersi.

Palce Varingtona wsunęły się pod jej brodę i rozwiązały wstążki czepka. Potem Guy ściągnął go jej ostrożnie z głowy i wreszcie mogła na własne oczy ocenić sytuację, w jakiej się znajdowali. Powóz leżał na boku, a zwinięta w kłębek Helena spoczywała na resztkach drzwi. Głowę opierała na piersi wicehrabiego, przygniatając jego lewą rękę barkiem. On sam leżał tam, gdzie rzuciła go siła bezwładności podczas wypadku: z głową przy strzaskanym oknie. Wyglądał przez dziurę po wybitej szybie.

- Pani McLelland - powiedział, by zwrócić na siebie jej uwagę.

Spojrzała na niego.

Miał twarz białą jak śnieg, przez co włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze, przejrzyste niebieskie oczy jeszcze czystsze, a pokrywająca jego czoło, policzek i brodę krew bardziej czerwona.

- Jest pan ranny - wyszeptała z przerażeniem.

- To tylko zadrapania - zapewnił. - Niech pani nie wpada w panikę na widok krwi.

Helena zdawała sobie jednak sprawę, że powierzchowne zadrapania nie mogły spowodować takiego upływu krwi.

- Co zrobimy?

- Wynajmiemy inny powóz. Ten jest w nie najlepszym stanie. - Na poranionej twarzy Guya pojawił się przekorny, łobuzerski uśmiech.

Jak mógł żartować w takiej sytuacji? Może nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia? Spojrzenie Heleny pobiegło znowu ku znajdującej się nad jego głową dziury w miejscu, gdzie dawniej było okno. Przez dolną jej część zobaczyła wilgotną zie-



**Margaret McPhee**

mię i trawę, ale w połowie wysokości otworu grunt się urywał i dalej widać było tylko strome zbocze opadające w głęboką dolinę. Na wyjątkowo soczystej i zielonej jak na tę porę roku trawie pasły się owce, podobne z daleka do małych białych kłębuszków. Dostrzegła jednak również brunatne plamy - ciała leżących w kałużach krwi, roztrzaskanych koni. Zrozumiała teraz ich rozdzierający kwik, po którym zapadła cisza. Zrobiło jej się niedobrze.

- Niech pani na to nie patrzy.

Kątem oka widziała, jak wiatr rozwiewał włosy wicehrabiego Varingtona.

- Zginiemy, prawda? - Nie potrafiła oderwać wzroku od straszliwego widoku na dole.

- Proszę na mnie spojrzeć - poprosił. Wreszcie popatrzyła na niego.

- Wyciągnę nas z tego. Proszę mi zaufać. Zaufanie? Tego jednego nie mogła mu okazać.

- Proszę mi zaufać - powtórzył.

Ich oczy się spotkały i Helena odniosła dziwne wrażenie, jakby zajrzała w głąb jego duszy. Dostrzegła uczciwość. Słyszała spokojne, dodające otuchy bicie jego serca. I zaufała mu.

Leciuteńko kiwnęła głową, ocierając się policzkiem o jego wełniany surdut.

- Zrobione, milordzie! - krzyknął Smith.

- Doskonale. - Yarington nie odrywał spojrzenia od twarzy Heleny. - Zdołamy stąd uciec - powiedział cicho, tylko do niej.

Uciec. Tak, wszystko sprowadzało się tylko do tego.

- Albo zginiemy przy próbie ucieczki - odparła szorstkim głosem.

- Milordzie?! - zawołał znowu stangret.

## Ucieczka Heleny

101

- Cofnij się, Smith. Kiedy otworzą się drzwi, jak najszybciej wrzuć do środka linę. Pani McLelland będzie się wspinać pierwsza. Czuwaj nad jej bezpieczeństwem.

- Tak, milordzie.

Guy puścił dłoń Heleny i pogładził leciutko jej policzek.

- Niech pani postara się wstać szybkim, płynnym ruchem. Proszę przenieść ciężar ciała na tylną część powozu, jak najdalej od skraju urwiska. I żadnych gwałtownych poruszeń. Powoli i spokojnie.

- Ale kiedy wyjdę pierwsza, powóz straci równowagę.

- Niekoniecznie.

- Ale to niewykluczone, prawda?

- Tak. - Wicehrabia uśmiechnął się. - Istnieje taka możliwość.

Nie dała się zwieść jego lekkim tonem. Wiedziała, że gotów był oddać życie, by ją ratować. Już dwie osoby zginęły, pomagając jej uciec od Stephena. Nie zamierzała dopuścić, by poświęciła się dla niej kolejna.

- Wolę, żeby pan poszedł pierwszy, milordzie.

- Udawało mi się wykaraskać z większych opałów. Ale ujęła mnie pani troska - stwierdził z błyskiem przekory w oczach. - Proszę się o mnie nie martwić. - Delikatnie pogładził kciukiem jej policzek. - Niech pani wydostanie się z powozu, ja pójdę zaraz za panią.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie zostawię pana na pewną śmierć - oświadczyła tonem pełnym determinacji. - Pan musi iść pierwszy.

- Doprawdy? - zapytał niskim, zmysłowym głosem. Jego oczy zamglily się nagle, a na ustach pojawił się zagadkowy uśmiech. - Nie wiedziałem, że tak pani na mnie zależy, moja droga.

**Margaret McPhee**

Patrzyła na niego bez słowa. Uśmiechnął się szerzej.

- Wreszcie zrozumiałem. Była pani zbyt nieśmiała, by otwarcie wyznać mi swoje uczucia. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Jesteśmy tutaj sami, nikt nie będzie świadkiem naszych słów i czynów, pani McLelland... A może powinienem raczej zwrócić się do pani: Heleno?

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Nie, nie powinien pan - prychnęła gniewnie. - Zapomniał pan, w jakiej jesteśmy sytuacji? Siedzimy uwięzieni w powozie, który w każdej chwili może runąć w przepaść.

- Dlaczego taka drobnostka miałaby nas powstrzymać, Heleno? - Jego miękki głos wręcz emanował zmysłowością.

- Nie mam na imię Helena.

- Naprawdę? Szkoda, bo to imię doskonale do pani pasuje. - Jego kciuk delikatnie obrysowywał owal jej twarzy. - Pochodzi z greki. *Helenos* oznacza: jasny. - Dotyk stał się lekki jak muśnięcie wiatru. -1 pani powołaniem jest rozjaśnić moje dni. - Cofnął dłoń.

- Czy pan oszalał, Varrington? - Serce mocno waliło w jej piersi. - Chyba nie próbuje pan wykorzystać sytuacji? Przecież to niemożliwe!

- Jak mógłbym coś podobnego zrobić? - rzekł z rozbawieniem i przesłał jej w powietrzu pocałunek. To była kropla, która przepęłniła czarę!

- Chciał pan, żebym poszła pierwsza. Doskonale, jestem gotowa, sir. - Zanim zdążyła zmienić zdanie, odwróciła od niego wzrok i powoli wstała.

Guy nie odezwał się ani słowem.

Bardzo spokojnie położyła rękę na klamce drzwi. Nawet

## Ucieczka Heleny

103

nie drgnęły. Spróbowała znowu przekreślić gałkę, nieco bardziej energicznie. Znowu nic.

- Drzwi się zacięły. - Odwróciła się i spojrzała na Va-ringtona. - Milordzie...

- Proszę spróbować jeszcze raz.

Skinęła głową i ponowiła próbę, używając całej siły. Skóra na jej palcach poczerwieniała, ręce rozbolały, ale drzwi nie ustąpiły. Usłyszała za plecami jakieś poruszenie, potem ostrzegawcze skrzypienie drewna i klamkę objęły palce mężczyzny. Wysięk sprawił, że świeża fala krwi zalała jego twarz. Helena usłyszała szcęk ustępującego zamka i drzwi zaczęły się otwierać. Varington stał za nią, opierając się o jej ciało i próbując siłą wyciągniętych rąk uporać się z drzwiami. Najpierw wypchnął je do góry, a potem ostrożnie odchylił i położył na korpusie karety. Był tak blisko, że czuła jego ciepło, siłę, jego znany już sobie zapach. Powóz zaskrzypiał ostrzegawczo, ale drzwi leżały na boku.

- Sznur, Smith!

W otwartych drzwiach pojawił się zwój liny i zaczął powoli opuszczać się ku nim. Varington złapał koniec sznura i szybko obwiązał nim talię Heleny.

Usłyszała jego szept tuż przy uchu.

- Uniosę panią do drzwi. Proszę wspiąć się na bok karety i zeskoczyć z niego jak najszybciej. Smith pani pomoże. - Jego głos był spokojny i poważny, pozbawiony żartobliwego czy zmysłowego tonu.

Wreszcie zrozumiała. Odwróciła głowę, by spojrzeć w twarz stojącego tuż za nią mężczyzny.

-Wicehrabio, pan wcale nie zamierzał mnie uwodzić. Chciał mnie pan tylko sprowokować, żebym wyszła z powozu pierwsza.

**Margaret McPhee**

Dostrzegła jego uśmiech.

- Rozczarowana?

Parsknęła śmiechem, choć cały czas zdawała sobie sprawę, że stoją o krok od śmierci. Odwróciła głowę jeszcze mocniej, żeby jak najlepiej widzieć jego twarz.

- Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił... co pan nadal dla mnie robi. Dziękuję - powtórzyła.

Ciszę zakłócały tylko ich oddechy. Guy powoli pochylił głowę i musnął wargami jej brew. To był leciutki, delikatny pocałunek, jakby w ten sposób przyjmował jej podziękowania. Kiedy cofnął wargi, wiedziała, że nadszedł czas. Objął ją mocno rękami w talii i podniósł. Helena bardziej upadła, niż wydzwignęła się na bok powozu, który zatrzeszczał ostrzegawczo pod jej ciężarem. Potem przesunęła się pospiesznie w stronę kół i zeskoczyła na ziemię. Smith natychmiast złapał ją za ramiona i odciągnął w bezpieczne miejsce. Pospiesznie odwiązał opasującą ją linę i ponownie wrzucił ją do karety. Helena usłyszała trzask łamanego drewna, rozdzieranych rzemieni i brzęk szkła.

- Nie! - wyrwał jej się z gardła krzyk. Zerwała się na równe nogi, odpychając przytrzymującego ją za ramiona stangreta. Spojrzała w stronę, gdzie powinien leżeć wrak powozu. Ale na tym miejscu zobaczyła tylko zgniecioną i poszarpaną darni, na której leżała lina.

- Nie! - krzyknęła znowu.

Z dołu dobiegł trzask łamanego drewna. Pojazd roztrzaskał się w kawałki. Helena stała w miejscu jak skamieniała, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, sparaliżowana grozą. Ciągle jeszcze **miała przed oczami** widok martwych koni. Nie chciała **zobaczyć powozu ani tego, co zostało z uwięzionego w jej wnętrzu człowieka.**

## Ucieczka Heleny

105

- Varington - jej cichy szept porwał wiatr.

- Pani McLelland! - zawołał stangret, ale ona ledwo słyszała jego głos. - Proszę spojrzeć, proszę spojrzeć! Smith podbiegł do skraju urwiska, gdzie przed chwilą zniknął powóz. Helena nie mogła przez chwilę zrozumieć, po co. Potem spostrzegła wyłaniającą się stamtąd zakrwawioną rękę, zaciśniętą wokół liny. Dopiero teraz zauważyła to, co dotychczas umknęło jej uwagi: lina była naprężona i cały czas poruszała się, jakby utrzymywała ciężar wspinającego się po niej człowieka. W następnej chwili Smith pomógł swemu panu wdrapać się na skraj urwiska.

Guy Varington usiadł, próbując złapać oddech. Wysokie do kolan buty i ubranie miał kompletnie zabłocone, a płaszcz podarty. Siedział z pochyloną głowę, jego ciemne włosy rozwiewał wiatr.

Helena szła ku niemu, poruszając się niemal bezwiednie.

- Wicehrabio - szepnęła z ogromną ulgą. - Myślałam... - Pobiegnęła spojrzeniem ku krawędzi urwiska i szybko zwróciła je na jego twarz. Opadła na kolana, nie zważając na błoto i okruchy rozbitego szkła. Nie umiała powiedzieć, jak znalazła się w jego ramionach. Objęły ją mocno i przyciągnęły bliżej.

- Jesteśmy już bezpieczni, Heleno. Przytuliła się do niego.

Drżenie jej ciała zaczęło się w okolicy kostek nóg i przesuwało się w górę, wzdłuż nóg, do brzucha, klatki piersiowej, a nawet gardła, wreszcie trzęsła się cała. Starła się ukryć oznaki słabości, ale nie potrafiła. Chciała się odsunąć, żeby Varington nie wyczuł tego haniebnego dygotu, ale on tylko objął ją mocniej ramionami. Otworzyła usta, żeby wydukać jakieś wyjaśnienia, ale nie zdobyła się na spokojne, uprzejme

**Margaret McPhee**

słowa, na szlachetną równowagę. Maską, pod którą nauczyła się ukrywać twarz przez te wszystkie lata spędzone ze Stephenem, roztrzaskała się teraz w drobny mak. Z jej ust wyrwał się szloch. A po nim następny i jeszcze jeden, aż wreszcie Helena stwierdziła ze zgrozą, że zanosi się płaczem. Płakała, bo Va-rington tylko o włos uniknął śmierci, bo zginęła Agnes i stary Tam. Płakała za wszystkim, co przez ostatnie lata straciła. Siedziała w strugach deszczu i zalewała się łzami.

- Ciii - uspakajał ją. - Trzymam cię. Jesteś bezpieczna. - Tulił ją do siebie, ale ani w jego głosie, ani w delikatnym dotyku rąk nie było śladu erotyzmu wytrawnego uwodziciela. - Jesteś bezpieczna - szeptał raz za razem, dopóki nie ucichły jej łkania i nie ustało drżenie.

Helena przytuliła policzek do jego piersi i uczyła się nowego doznania: jak się czuje kobieta w ramionach dobrego mężczyzny. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła się naprawdę bezpieczna. Rozluźniła się i wsparła o mocne ciało Guya, wdychając zapach jego wody kolońskiej i chłonąc promieniujące z niego ciepło. Ten człowiek, który zachowywał się jak niepoprawny uwodziciel, najpierw uratował jej życie na plaży, potem zmienił swoje plany, by móc ją odwiedzić do Londynu, ponieważ nie chciał, żeby podróżowała samotnie, a wreszcie o mało nie zginął, ratując ją z roztrzaskanego powozu. A co dała mu w zamian? Nieszczerość. Nieufność. Podejrzliwość. Odgięła głowę do tyłu, by na niego spojrzeć. Znowu uderzył ją widok jego zalanej krwią twarzy.

- Jest pan ranny. Musimy poszukać pomocy.

- To tylko zadrapanie, ale ma pani rację, rzeczywiście musimy poszukać pomocy. Przede wszystkim powinniśmy wspiąć się na drogę.

Deszcz rozpadał się na dobre i niebo było szare jak

## Ucieczka Heleny

107

o zmierzchu, choć dzień dopiero się rozpoczął. Varington obwiązał się w pasie liną i zaczął się wspinać po stromym zboczu. Mokra trawa była bardzo śliska i nie dawała oparcia stopom. Helena obserwowała każdy jego krok, wstrzymując oddech, dopóki nie zniknął jej z oczu na górze i nie stanął na drodze. Umocował sznur i rzucił stangretowi drugi koniec. Smith obwiązał nim w pasie Helenę, która na poły wspinając się, a na poły wciągana wkrótce stanęła na drodze obok Guya. Rozwiązała linę i rzuciła ją Smithowi. Stangret jeszcze gramolił się na górę, gdy z oddali dobiegł ich turkot kół jakiegoś powozu. Pojazd wyłonił się zza zakrętu, jechał powoli ze względu na złe warunki atmosferyczne i zaczął zwalniać, zanim wicehrabia machnął ręką, by go zatrzymać.

Helena i Varington stali ramię w ramię, czekając, aż wehikuł stanie.

- Muszę panu coś powiedzieć, milordzie - szepnęła.

Jej serce szybciej zabiło. Trzeba zasłużyć sobie na zaufanie, zabrzmiał w jej głowie jakiś cichy głos. Czuła, że musi wyznać Guyowi całą prawdę, choć jednocześnie uznawała to za szaleństwo. Ale przynajmniej tyle była mu winna.

- Wiem - odparł.

- Nie sędzę, żeby pan wiedział - odparła cicho. Zdawała sobie sprawę, że kiedy pozna prawdę, wszystko będzie musiało ulec zmianie. - Od samego początku pana okłamywałam.

- Nie od samego początku - zaproponował.

Pojazd zatrzymał się i Tregellas podszedł, by zamienić kilka słów z człowiekiem, którego twarz pojawiła się w oknie. Po chwili drzwi zostały otwarte i opuszczono schodki.

Helena usiadła obok Guya, naprzeciwko podróżującego powozem dżentelmena. Smith wdrapał się na kozioł i usado



**Margaret McPhee**

wił obok stangreta. Pojazd potoczył się drogą w stronę Appleby, w błocie i ulewnym deszczu. Prawda musiała jeszcze poczekać...

**Rozdział siódmy**

Helena stała w niewielkim pokoju w gospodzie całkiem naga, jeśli nie liczyć ręcznika, którym się owinęła. Jej ubrania zostały rozwieszane na krześle i na osłonie kominka, którą postawiła bardzo blisko paleniska. Nawet przez płótno ręcznika czuła żar płomieni, ale nie odsuwała się. Miała nadzieję, że w ten sposób szybciej wysuszy włosy. Ciężkie, wilgotne kosmyki opadały na jej nagie ramiona, zmieniając się powoli w burzę loków i fal. Jasna skóra zaróżowiła się od gorąca, ale buzujący w kominku ogień nie zdołał wygnać z jej serca chłodu, który zagościł tam od czasu wypadku powozu. Helena zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, żeby lepiej wysuszyć włosy na czubku i próbowała w ogóle nie myśleć.

Pukanie do drzwi.

- Pani McLelland.

Podskoczyła na dźwięk głosu Varingtona, czując przyspieszone bicie serca.

- Nie jestem ubrana - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to, jakby była całkowicie spokojna i opanowana.

- Prowokuje mnie pani, żebym zapomniał, po co przyszedłem. - Dosłyszała w jego głosie lekkie rozbawienie. - Gospodyni zajazdu przysyła za moim pośrednictwem trochę swoich

**Margaret McPhee**

rzeczy, żeby miała pani co na siebie włożyć do czasu, aż wyschną pani ubrania.

- Dziękuję, milordzie - odrzekła zaskoczona. Podeszła do drzwi i odezwała się przez grube drewniane deski: - Proszę położyć pod drzwiami, zaraz je wezmę.

- Dobrze - odpowiedział. - Kiedy będzie pani gotowa, proszę zejść na dół. Oddano nam do użytku niewielki salonik, gdzie podadzą nam coś gorącego do jedzenia.

Kiedy zostaną sami, Helena nie będzie miała już żadnych wymówek. Musi powiedzieć mu prawdę. Zrobiło jej się słabo ze strachu. Bała się, że nie sprosta temu zadaniu. Nie dzisiaj. Rano będzie miała więcej siły. Wtedy mu powie, nie dzisiaj.

- Nie jestem głodna, tylko zmęczona. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to wolałabym się położyć, milordzie.

Za drzwiami panowała cisza. Przyłożyła do nich ucho. Nic.

- Milordzie?

- Jak pani sobie życzy, pani McLelland - powiedział po dłuższej chwili zmęczonym głosem. Nie próbował jej namawiać, jak poprzedniego wieczora. Nie czekał nawet na odpowiedź. Usłyszała odgłos oddalających się kroków.

Poczuła ulgę pomieszaną z... rozczarowaniem. Westchnęła, sprawdziła, czy prześcieradło kąpielowe dokładnie okrywa jej ciało i przekręciła klucz w zamku, po czym uchyliła lekko drzwi. Torba z ubraniami leżała na progu. Wyjrzała ostrożnie na korytarz. Był pusty. Pochyliła się i wysunęła rękę przez szparę. Trafiała na torbę i przyciągnęła ją do siebie. Kiedy uchyliła drzwi nieco szerzej, by wciągnąć ją do pokoju, między drzwi a futrynę wsunęła się stopa w wysokim bucie. Helena głośno wciągnęła powietrze, puściła torbę i próbowała zatrzasnąć drzwi.

## Ucieczka Heleny

111

- Pani pozwoli - powiedział Guy i wniósł torbę do środka.

- Co pan wyprawia, milordzie! - zawołała.

-Wnoszę pani bagaże - padła natychmiastowa odpowiedź.

Zaniemówiła na chwilę z oburzenia i wytrzeszczyła oczy na bezczelnego intruza. Jedną ręką zacisnęła ręcznik na piersi, żeby upewnić się, że jest porządnie osłonięta, a drugą przytrzymała drzwi.

- Proszę natychmiast stąd wyjść.

Wicehrabia przeszedł przez pokój i postawił torbę na podłodze pod oknem. Zachowywał się tak, jakby nie słyszał słów dziewczyny.

-Lordzie Varingtonie. - W jej głosie były oburzenie i obraza.

- Niech pani zamknie drzwi, Heleno. Przeziębci się pani, stojąc w przeciągu.

Patrzyła na niego, jakby nie wierzyła własnym uszom.

- Musimy sobie dzisiaj wyjaśnić parę spraw, a skoro nie chce pani zejść do saloniku, to porozmawiamy tu i teraz.

- Jestem nieubrana!

Przez chwilę wpatrywał się z lubością w jej twarz o nieskazitelnych rysach i podziwiał gęste, jeszcze wilgotne włosy opadające czerwoną, jedwabistą kurtyną na cudownie kremowe ramiona. Pod osłaniającym jej ciało prześcieradłem kąpielowym widział zarys piersi i bez trudu wyobraził sobie to, co znajdowało się poniżej. To wystarczyło, by spowodować natychmiastową reakcję jego ciała, chociaż był zmarznięty i zmęczony. Mocno zacisnął zęby i opuścił wzrok. Ręcznik kończył się poniżej kolan dziewczyny. Wystawały spod niego jasne, zgrabne nogi zakończone bosymi stopami.

**Margaret McPhee**

- Zauważyłem - mruknął i zmusił się do odwrócenia oczu. Podeszedł do kominka i poruszył węgle pogrzebaczem.

Od strony schodów dobiegły jakieś głosy, kobiecy śmiech i tupot nóg.

Helena pospiesznie zamknęła drzwi i podeszła do paleniska, przy którym przykucnął wicehrabia.

- Jak pan mógł, milordzie? - zapytała zniżonym głosem. - Pana zachowanie woła o pomstę do nieba! Głowa pękała mu z bólu, noga również dawała mu się we znaki. Zmęczone mięśnie domagały się odpoczynku, a głód ścisnął mu trzewia. Wyprostował się i spojrzał na nią.

- Zejdzie pani do saloniku? - zapytał cicho. - To był długi dzień i nie mam ochoty tracić czasu na sterczenie na korytarzu i namawianie pani

Zamrugnęła powiekami i wbiła w niego te czarodziejskie, zielone oczy. Patrzyła tak, jakby przez niego straciła wiatr w żaglach.

- Nie możemy poczekać do rana?

- Nie. - Ściągnął brwi i uśmiechnął się smutno. - Do rana mogłaby pani zmienić zdanie, a chciałbym wreszcie poznać tożsamość kobiety, z którą podróżuję do Londynu. - Minął ją i podeszedł do drzwi.

- Ale kareta... Nadal jedziemy do Londynu? - pytała pani McLelland, nie Helena. Guy wyłowił jednak w jej głosie ślad nadziei i determinacji.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię.

- Będziemy musieli poczekać dzień czy dwa na możliwość wynajęcia jakiegoś powozu. Nasz przyjazd do stolicy nieco się opóźni, ale tak, nadal jesteśmy w drodze do Londynu.

Wyraźnie pobladła.

- Nigdzie nie można wynająć powozu szybciej?

## Ucieczka Heleny

113

- Niestety nie. Dowiadywałem się we wszystkich okolicznych wioskach. Nie mają żadnego do dyspozycji.

Przez twarz Heleny przemknął wyraz paniki, ale zaraz zniknął.

- Muszą coś mieć - rzekła z uporem. Pokręcił głową.

Odwróciła spojrzenie i w zamyśleniu zmarszczyła czoło.

- W takim razie pojedę dyliżansem... albo karetkę pocztową. - Nagle jakby przypomniała sobie, że lord Varington nadal jest w pokoju i przeniosła na niego wzrok. - Czy ta gospoda znajduje się na trasie poczty? Jeśli tak, to wsiałę do najbliższej karetki. Oberżysta powinien wiedzieć. Muszę go zaraz zapytać.

- Guy spostrzegł napięcie jej mięśni i wysoki ton głosu. Uklęka nad torbą z ubraniami i próbowała niezdarnie otworzyć ją jedną ręką, gdyż drugą nadal kurczowo zaciskała na piersi ręcznik, którym była owinięta.

Nie poruszył się.

- Opuści mnie pani bez chwili wahania, Heleno? - zapytał cicho.

Znieruchomiała na chwilę. Podniosła na niego zielone oczy. Ze zdumieniem dostrzegł w nich ból.

- Muszę - wyszeptała. - Nie mam wyboru.

- Oboje wiemy, że to nieprawda - powiedział. Przygryzła dolną wargę, opuściła głowę i wróciła do zmagania się z torbą.

- Nie zna pan mojej sytuacji. - Ton jej głosu wskazywał, że toczyła wewnętrzną walkę. - Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił, milordzie, ale nie mogę tutaj zostać. Muszę wyjechać.

- Przed kim pani ucieka?

**Margaret McPhee**

Głośno westchnęła i spojrzała na niego z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Przed nikim! - zaprzeczyła zbyt gwałtownie, zbyt odruchowo.
- Obiecała mi pani prawdę. Odwróciła udęzione spojrzenie.
- Proszę mnie nie pytać, nie teraz...
- Zaoferowałem pani swoją pomoc. Mówiłem poważnie. -Podszedł i stanął obok niej.

Zesztywniała.

- Proszę pozwolić sobie pomóc - szepnął.

Helena wyprostowała się powoli i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Nie proponowałby mi pan pomocy, gdyby znał pan prawdę, sir.

Guy zajrzał w jej oczy w nadziei, że zdoła z nich coś wyczytać, ale zobaczył tylko ból, strach i zdradzoną niewinność. Niezależnie od tego, co zrobiła ta kobieta, nie wyobrażał sobie, by mógł wycofać swą propozycję.

- Wolałbym sam to ocenić.
- Pomagając mi, narazi się pan na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie mogę do tego dopuścić.
- Już za późno - zauważył. - Już pani pomogłem. - Zamilkł na chwilę, by ta prawda dotarła do jej świadomości.

Na kominku zasyczał ogień. Z dołu, z baru, dobiegał stłumiony gwar. Kiwnęła głową.

- Ma pan rację. - Zamknęła oczy, jakby zbierała siły, a kiedy je otworzyła, zrozumiał, że dowie się tego, co pragnął wiedzieć.

Zacząła spokojnym, czystym głosem.

## Ucieczka Heleny

115

- Muszę prosić o wybaczenie za to, że nie byłam z panem szczerą, milordzie. Nie chciałam nikogo wciągać w tę sprawę.

Nie odezwał się, pozwolił jej opowiadać w tempie, które jej odpowiadało.

- Nazywam się Helena McGregor. Jestem najstarszą córką Jamesa McGregora z Ayr i... - Zawahała się, nabrała głęboko powietrza i nie patrząc mu w oczy dodała: - I kochanką sir Stephena Tayburna.

Tayburna! Och, dobry Boże! Dreszcz przebiegł Guyowi po kręgosłupie.

- Próbuję od niego uciec. Udało mi się wyrwać z zamku dzięki pomocy pokojówki i starego sługi mojego ojca, który przyjechał wraz ze mną do Dunleish. Nie mogłam ich zostawić, bo Stephen dokonałby na nich zemsty za moją zbrodnię. To, co opowiadałam panu o łodzi i sztormie, było zgodne z prawdą, tyle że płynęliśmy z wyspy St Vey, a nie Islay.

- To tłumaczy, dlaczego została pani wyrzucona na brzeg koło Portincross.

Potaknęła lekkim skinieniem głowy.

- Czy słyszał pan o sir Stephenie? Wie pan, jakim jest człowiekiem? - Podniosła na niego wzrok, wydawała się teraz całkowicie bezbronna, maska, pod którą dotychczas tak starannie skrywała uczucia, zniknęła bez śladu.

- Wątpię, czy ktokolwiek w tym kraju o nim nie słyszał - odparł Guy, ale na widok wyrazu twarzy Heleny natychmiast tego pożałował. - Trzymał panią na zamku? A co z jego żoną? Wydawało mi się, że jest żonaty z córką Harrisa.

- Bo jest - odrzekła cicho. - Ona również mieszka w Dunleish - dodała, ciągle nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Mieszkaliście wszyscy razem? - Brew wicehrabiego uniosła się, jakby była obdarzona własnym życiem.

**Margaret McPhee**

Kolejne lekkie skinienie głową.

- Nie chciałam tego. Nie zdawałam sobie sprawy, kiedy się zgodziłam...

- Kiedy zgodziła się pani zostać jego kochanką - dokończył za nią. Nie zdołał ukryć niesmaku. Jak, u licha, jakakolwiek kobieta mogła się zgodzić na coś podobnego? Szczególnie ta, która stała teraz przed nim, przyjmując postawę obronną! Przecież ten człowiek to diabeł wcielony!

Nie doczekał się potwierdzenia.

- Mój Boże, co takiego pani ofiarował, że zdecydowała się pani dzielić z nim łożę? Trudno mi sobie wyobrazić, by Tay-burn był znakomitym kochankiem.

Skrzywiła się na te słowa.

Guy nie mógł się powstrzymać. Pomyśleć, że dobrowolnie oddała się takiej bestii!

- Jak długo pani z nim była?

- Pięć lat.

- Została pani z nim przez pięć lat? Do licha, czy pani postradała zmysły, Heleno? Tak straszliwie potrzebowała pani pieniędzy, że musiała się sprzedać komuś takiemu jak on?

Cofnęła się, jej pobladła twarz skamieniała.

- Dlaczego? - pytał. - Nie wiedziała pani, co to za człowiek? Nie wiedziała pani, do czego jest zdolny? A może nic to pani nie obchodziło? O to chodzi?

Potrząsnęła przecząco głową, nie przestając się przed nim cofać.

Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Czuł pod palcami jej gładką, chłodną skórę. Zamglone, zielone oczy Heleny pociemniały. Sięgała mu zaledwie do brody. Stali tak blisko, że palce jej bosych stóp dotykały czubków jego wysokich butów.



Trzymał ją mocno, zbyt mocno. Przeżył szok, gdy padło nazwisko Tayburna. Po chwili rozluźnił uchwyt. Zrobiła ruch, jakby chciała się odsunąć.

- Nie. - Jego głos był bardziej stanowczy i zdecydowany niż dotyk. - Najpierw chcę usłyszeć wszystko. Proszę dalej.

Zrezygnowała z oporu. Guy czuł jej zapach. Wystarczyło pochylić głowę, by dotknąć wargami jej ust. Patrzyła na niego tak, jakby ją uderzył, wzrokiem zranionej sarny. Musiał sam sobie przypomnieć, czego się właśnie od niej dowiedział. Była dziwką Tayburna, na litość boską!

- Resztę już pan zna. Widział pan wrak łodzi. Musiałam przyjąć, że Agnes i stary Tam utonęli. - Odwróciła wzrok, żeby ukryć napływające do oczu łzy. - Kiedy się ocknęłam w nieznanym sobie miejscu, moją pierwszą myślą była ucieczka. Chciałam uciekać, zanim zostanę odnaleziona. Ale pan mnie zatrzymał i... - Słowa zamarły jej na ustach. - Zrozumiałam, że nie pozwoli mi pan odejść niepostrzeżenie. Nie mogłam wyznać wszystkim, kim jestem. Pan Weir bez namysłu odesłałby mnie z powrotem do Stephena, konstabl również. I tak zostałam owdowiałą Mary McLelland. Liczyłam na to, że pod przybranym nazwiskiem zdołam przed nim uciec. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie, prosząc o odrobinę zrozumienia. - Musiałam opuścić Seamill Hall. Gdyby Tayburn dowiedział się, gdzie jestem, państwo Weir znaleźliby się w niebezpieczeństwie.

- Są w niebezpieczeństwie, przez panią. - I przeze mnie, pomyślał. To przecież on przyniósł ją do ich domu. I to on wyśmiewał się potem ze złych przeczuć Johna.

- Nie chciałam, żeby tak się stało. Ale co miałam robić? Nie mogłam powiedzieć państwu Weir prawdy!  
- Ale przyjęła pani od nich ubranie i pieniądze.

**Margaret McPhee**

- Zamierzam zwrócić im dług co do pensa. Potrzęsnał głową i ironicznie wykrzywił usta.

- W jaki sposób? Pieniędzmi nieistniejącej ciotki z Hendon?

Helena była tak blada, że Guy zaczął się obawiać, iż zemdleje. Nie zasłabła jednak, lecz wpatrywała się w niego swymi cudownymi zielonymi oczami. Nic dziwnego, że usidliła Tayburna! Z taką urodą!

Uwiodłaby każdego mężczyznę! Lord Varington doszedł do wniosku, że chyba jeszcze nigdy nie widział kobiety tak szczerze obdarzonej przez naturę. Była idealnie piękna, doskonała. Fizycznie. Bo Helena McGregor musiała być bez serca, skoro została kochanką takiego człowieka. Skoro mogła się oddać bestii. Krew zastygła mu w żyłach i żołądek ścisnął się w supeł na wspomnienie pewnego człowieka podobnego do Tayburna. Groza tych wspomnień zwiększyła jeszcze jego oburzenie.

- Nie. Ja... Przerwał jej.

- A może zamierzała się pani sprzedawać, żeby zdobyć pieniądze? Jaka jest pani cena, Heleno?

- To nie tak! Nie rozumie pan!

Guy Tregellas niełatwo wpadał we wściekłość, ale kiedy już budził się w nim szatan, jego gniew był gorący i straszliwy.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Ile? No, proszę, bez ceregieli. Jeśli cena będzie odpowiednia, może zostanę pani następnym klientem.

Gniew zapłonął w jej oczach. Uniosła zaciśniętą pięść, żeby uderzyć go w twarz, ale zdążył złapać ją za nadgarstek. Wykręcił jej rękę do tyłu i unieruchomił wraz z drugą za plecami.

- A może nie znajduję uznania w pani oczach. Cóż, trudno mnie porównywać z Tayburnem, prawda?

## Ucieczka Heleny

119

Oddychała szybko, spazmatycznie.

- Znam takich mężczyzn jak on, Heleno, wiem, jak lubią to robić.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie i zaczęła mu się wyrywać.

Przytrzymał ją z bezlitosną determinacją, starając się nie zwracać uwagi na dotyk jej miękkiego ciała i słodki, kobiecy zapach.

Nagle prześcieradło kąpielowe się poruszyło. Musiała poczuć, że koniec ręcznika, który tak starannie wcisnęła pod skraj materiału, wysunął się, bo nagle zaprzestała walki i znieruchomiała. Ręcznik zsunął się niżej i brodawki jej piersi zalśniły złociście w blasku ognia płonącego na kominku.

Guy spojrzał na jasne wzgórki. Tylko dzięki temu, że ich ciała były mocno do siebie przyciśnięte, ręcznik nie opadł na podłogę. Mężczyzna poczuł znajomy ogień w lędźwiach, zapłonął pożądaniem. Zmęczenie i głód natychmiast poszły w zapomnienie. Oblizał wargi i podniósł wzrok na twarz kobiety.

Wpatrywała się w niego jak złapany w sidła królik, zdrętwiała z przerażenia.

- Błagam, milordzie... - Z gardła wyrwał jej się szloch. Ile razy zwracała się w taki sposób do Tayburna?

Niech go

piekło pochłonie, jeśli weźmie ją wbrew jej woli! Guy powoli rozluźnił zaciśnięte wokół jej nadgarstków palce i cofnął się

o krok. Natychmiast złapała ręcznik, ale nie dość szybko, by nie dostrzegł kryjącego się pod płótnem ciała.

Nie był w stanie ukrywać dłużej podniecenia. Odwrócił się i wyszedł z pokoju, dopóki mógł to jeszcze zrobić. W duchu przeklinał Helenę za to, że była dziwką Tayburna, a siebie sa-

**Margaret McPhee**

mego jeszcze bardziej za to, że nawet świadomość tego nie sprawiła, by przestał jej pragnąć. Drzwi zatrzasnęły się głośno za lordem Varingtonem, ale Helena nawet nie drgnęła. Stała bez ruchu, nie odrywając od nich oczu. A jakiej innej reakcji mogła się spodziewać? Zrozumienia? Dobroci? Współczucia? Była idiotką, po stokroć, po tysiąckroć idiotką! Brzydził się nią. Budziła w nim wstręt. Teraz, kiedy poznał prawdę, nie będzie już chciał jej pomóc. Wiedziała, że nikt jej nie pomoże. Cisza aż dzwoniła w uszach. Nadgarstki, wokół których zaciskały się palce Guya, paliły żywym ogniem. Ale przynajmniej skończyły się już kłamstwa. Przypomniała sobie wyraz obrzydzenia, który odmalował się na jego twarzy, gdy usłyszał prawdę. Zamknęła oczy, jakby chciała usunąć z pamięci ten obraz. Wreszcie koniec udawania. Ta świadomość przyniosła Helenie ulgę, pomimo rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znalazła. Była kobietą zepsutą, upadłą. I nic tego nie zmieni. Ale zdołała przeżyć to wszystko, co Stephen jej zrobił. Przeżyje zatem również to, co przyniesie jej przyszłość. Otworzyła oczy. Nie zatrzyma się, nie może. Jej bagaż zginął podczas katastrofy, ale nie straciła przynajmniej sakiewki, którą dała jej pani Weir. Oberża stała przy głównym trakcie do stolicy. Musiała jedynie poczekać na najbliższą karetkę pocztową i wykupić miejsce do Londynu. Tylko tam mogła mieć nadzieję na znalezienie bezpiecznej kryjówki. Podeszła do torby z rzeczami przysłanymi jej przez właścicielkę zajazdu. Powoli zaczęła odbudowywać zniszczony mur obronny, za którym się chroniła przed okrutnym światem. Powiedziała prawdę i zapłaciła za to wysoką cenę. Otworzyła torbę i drżącymi rękami zaczęła wyjmować z niej garderobę.

## Ucieczka Heleny

121

Była już całkowicie ubrana i zdążyła spiąć wilgotne jeszcze włosy w gładki kok z tyłu głowy, gdy rozległo się pukanie. Helena drgnęła i spojrzała podejrzliwie na drzwi.

- Kto tam? - zapytała.

Spodziewała się niskiego głosu lorda Varingtona, ale odpowiedział jej dziewczęcy głosik.

- Rose. Pracuję tutaj i przyniosłam pani obiad. Nawet przez drzwi poczuła zapach jedzenia.

- Nie zamawiałam obiadu. - Nie mogła sobie na to pozwolić. Te kilka monet z sakiewki pani Weir musiało jej wystarczyć na długo.

- Jego lordowska mość kazał przynieść pani jedzenie na tacy.

- Czy jest tam lord Varington?

- Nie, proszę pani - odparła Rose. - On siedzi na dole, w jednym z saloników. Jestem sama.

Helena niemal bezgłośnie przekręciła klucz w zamku. Nie cofnęła jednak ręki, by w razie potrzeby móc natychmiast zamknąć drzwi. Powoli je uchyliła i wyjrzała przez wąziutką szparę.

Zobaczyła dziewczynkę w brązowej sukience i fartuszku, który musiał niegdyś być biały. Jej włosy, w tym samym odcieniu co sukienka, zostały wepchnięte pod wielki czepek przypięty na czubku głowy.

Wyglądała najwyżej na piętnaście lat. Helena odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi szerzej, żeby wziąć tacę.

Służąca popatrzyła na nią dziwnie, jakby nie wiedziała, jak się w tej sytuacji zachować.

- Może postawię tacę na stole?

- Tak, dziękuję.

Taca została ustawiona na niewielkim stoliku przy łóżku.

**Margaret McPhee**

- Niech pani uważa na palce. Talerze są bardzo gorące, prosto z pieca.

- Dziękuję - powiedziała Helena. Gdy Rose była już niemal przy drzwiach, zapytała ją: - Czy jego lordowska mość nic więcej nie mówił?

- Nie, proszę pani - usłyszała w odpowiedzi. - Nic. Mam mu przekazać jakąś wiadomość?

- Nie, dziękuję. Ale bądź tak dobra i dowiedz się, czy zatrzymuje się tutaj kareta pocztowa.

Lekkie kroki służebnej ucichły w głębi korytarza. Klucz został lekko przekręcony w drzwiach. Naczynia z jedzeniem i winem przyciągały jak magnes. Helena poczuła głód. Usiadła na łóżku i postawiła sobie tacę na kolanach.

Dwie godziny później położyła się w ubraniu i nakryła kołdrą. Ogień na palenisku już przygasł, zostały tylko rozżarzone węgle. Opróżniona taca stała tam, gdzie postawiła ją Rose, na niewielkim stoliku przy łóżku. Dobiegający z dołu gwar przycichł, ale nie ustał. Noc była paskudna. Deszcz bębnił w szyby, wiatr wył żałośnie. Helena umościła się wygodnie pod przykryciem, zadowolona, że ma dach nad głową. Następną noc spędzi już w Londynie. Nie chciała jednak o tym myśleć. Nie teraz. Na razie jeszcze nie musiała. Teraz powinna zasnąć, gdyż kareta pocztowa przyjeżdżała bardzo wczesnie rano i na nikogo nie czekała. Nie mogła zasnąć, choć bardzo chciała. Wciąż miała przed oczami obraz męskiej twarzy, który nie dawał jej spokoju. Na próżno zaciskała powieki. Nie znikał, jakby na zawsze wrył się w jej pamięć. Ale nie była to twarz człowieka, który ją zmusił, by została jego kochanką, który ją dręczył. To była twarz mężczyzny, który patrzył na nią ze wstrętem, ale

## Ucieczka Heleny

123

i z pożądaniem. Twarz, z której uśmiech zniknął, gdy wyjawiała prawdę. Twarz lorda Yarringtona. Od strony drzwi dobiegł jakiś hałas. Helena przestała się wiercić w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji i nadstawiła uszu. Usłyszała ciche stuknięcie i klucz, który zostawiła w zamku, wypadł na podłogę. Coś zazgrzytało. Usiadła gwałtownie i z przerażeniem wpatrywała się w drzwi. Zaszło jej w gardle, a serce waliło jak oszalałe. Dobry Boże! Rozejrzała się dokoła, szukając rozpaczliwie czegoś, co mogłoby posłużyć jej za broń. Nie znalazła niczego poza świecznikiem z ogar-kiem świecy. Zaciśnęła mocno palce wokół chłodnego metalu. Skrzypnięcie. W szparze drzwi, które powoli zaczęły się uchylać, pojawiła się smuga światła.

Stephen! Gardło zaciśnęło jej się tak, że nie mogła oddychać. Mocniej ścisnęła w rękę świecznik. Przygotowała się wewnątrz na śmiertelną groźbę, jaka bez wątpienia będzie się malowała na jego twarzy. Drzwi otwarły się szerzej. Zmobilizowała wszystkie siły. Czuła gwałtowny skurcz żołądka, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Do jej pokoju wsunął się po cichu jakiś człowiek niosący przed sobą lichtarz z zapaloną świecą. Helena otworzyła usta, aby krzyknąć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Stephen! Jej wargi wymówiły to znienawidzone, przerażające imię, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Stephen! - Tym razem w ciszy pokoju rozległ się jej zdławiony szept. W tym krótkim słowie zawarła obłądne przerażenie.

- Heleno. - Mężczyzna odsunął na bok świecę, by jej światło padło na jego twarz i ruszył w stronę skulonej na łóżku postaci.

Wpatrywała się w niego z mocno bijącym sercem. Włosy

**Margaret McPhee**

zbliżającego się do niej człowieka nie były białe jak śnieg. Ten, który wtargnął do jej sypialni, był czarny jak kruk, a jego oczy nawet w słabym blasku świecy były jasne.

- Nie jestem Tayburnem. Nie musisz się bać.

- Lord Varington? - Co za ulga. - Myślałam... myślałam, że mnie znalazł.

Guy zatrzymał się w nogach łóżka.

- Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. - Patrzył na nią bez uśmiechu, ale również bez odrazy, która wcześniej malowała się na jego twarzy. - Powinienem był zapukać, ale po tym, co dzisiaj pani nagadałem, byłem pewien, że mnie pani nie wpuści. Proszę o wybaczenie zarówno mojego wtargnięcia do pani pokoju, jak i mojego wcześniejszego zachowania. Byłem nieco... zaskoczony... gdy z pani ust padło nazwisko Tayburna.

Jej ulga zniknęła w jednej chwili.

- Jak pan tu wszedł? Zamknęłam drzwi na klucz. Wyjął z kieszeni klucz i uniósł go do światła.

- Za odpowiednią cenę oberżysta zgodził się rozstać ze swoim zapasowym kluczem.

Helena zadrżała.

- Czego pan chce, milordzie? - Jakby musiała o to pytać. Czego może chcieć mężczyzna, który wchodzi nocą do pokoju kobiety?

- Porozmawiać - odparł po lekkim wahaniu.

- Wydawało mi się, że miał pan już dość tego, co pan ode mnie usłyszał.

Zignorował tę uwagę.

- Słyszałem, że zamierza pani wyjechać jutro kareta pocztową o szóstej rano.

- Służąca panu powiedziała?



## Ucieczka Heleny

125

Nie odpowiedział.

- Proszę nie zawracać sobie mną głowy - oznajmiła z godnością, nie podnosząc głosu.

- Nie zdoła pani przed nim uciec, Heleno - w jego głosie brzmiało zmęczenie.

- Muszę spróbować. - Usiadła na brzegu łóżka i opuściła nogi na podłogę. Odstawiła lichterz na miejsce.

- On prędzej czy później trafi do Weirów i dowie się, dokąd pani pojechała. I z kim. To tylko kwestia czasu.

- O Boże! Tak mi przykro! Nie zamierzałam wciągać w to ani ich, ani pana.

- Wiem - odparł. Popatrzyła mu prosto w twarz.

- Gdyby pana znalazł, proszę mu powiedzieć o wypadku karety i że pojechałam do Londynu sama. Może wtedy zostawi pana w spokoju i ruszy w pościg za mną.

- Przecież pani sama w to nie wierzy, prawda? - Podszedł bliżej i przysiadł na brzegu łóżka. W świetle świecy cienie zmęczenia wyraźnie rysowały się pod jego oczami.

- Modłę się, by nie znalazł żadnego z nas.

Mruknął coś z niedowierzaniem i na jego ustach pojawił się cyniczny uśmiech.

- Nie musi pan przecież wracać do Londynu. Może pan wyjechać na pewien czas za granicę, dopóki sprawa nie pójdzie w zapomnienie.

- Nie zamierzam chować się przed Tayburnem - oświadczył stanowczo.

- Błagam pana... - szepnęła. - Zapytał pan, czy wiem, do czego ten człowiek jest zdolny... A ja odpowiedziałam, że go znam. I dlatego, wicehrabio, jeżeli ceni pan sobie życie, proszę zrobić wszystko, co w pana mocy, by pana nie znalazł. Wystar-

**Margaret McPhee**

czająco dużo już mam na sumieniu. Proszę go jeszcze bardziej nie obciążać.

- Niech pani się nie martwi, Heleno. Nie boję się Tay-burna.

- W takim razie albo jest pan niemądry, albo go pan nie zna.

Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się nagle, a w jego oczach pojawił się chłodny blask.

- Nie jestem niemądry i na pewno go nie lekceważę, bo znałem kiedyś człowieka bardzo do niego podobnego. - Mówił cicho, ale słyszała w jego głosie pogroźkę. - Nie zamierzam niczego zmieniać w swoim życiu ze względu na Tay-burna.

Nie było sensu sprzeczać się na ten temat. Wiedziała, że lord Varington nie zmieni zdania.

Nagle, w mgnieniu oka, ponury nastrój Guya minął. Spojrzał na Helenę.

- Co zamierza pani zrobić po przyjeździe do Londynu? Rozumiem, że nie ma pani żadnej ciotki w Hendon.

Potrząsnęła głową. Długi warkocz, w który zaplotła na noc włosy, rozkołysał się za jej plecami.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział, milordzie.

Parsknął śmiechem, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Dla kogo lepiej?

- Dla nas obojga.

- Myli się pani, Heleno. Jeżeli pani ucieknie, Tayburn będzie panią tropił, dopóki pani nie dopadnie.

- Muszę przynajmniej spróbować - odparła. - Dotarłam już tak daleko.

- Czy ma pani chociaż pojęcie, co grozi w Londynie samotnej kobiecie bez grosza?

## Ucieczka Heleny

127

- Znajdę jakieś zatrudnienie. Nie boję się ciężkiej pracy.
- Zatrudnienie? - powtórzył z ironią. - W jakim charakterze...?
- Guwernantki, szwaczki, pokojówki... Jeszcze nie wiem. Przyjmę taką pracę, jaką zdołam znaleźć.
- Nawet najpiękniejsza pokojówka na świecie musi przedstawić referencje od poprzednich pracodawców.

Serce ścisnęło jej się w piersi. Oczywiście miał rację. Uświadomiła sobie, jak straszliwie była naiwna. Skoncentrowała się bez reszty na samej ucieczce od Stephena i nie poświęciła wystarczająco dużo uwagi temu, co zrobi, gdy już zdoła odzyskać wolność. Słowa Guya rozwiały jej marzenia o wynajęciu czystego, słonecznego pokoju i znalezieniu przyzwoitego zajęcia, które pozwoli jej z czasem zaoszczędzić trochę pieniędzy i otworzyć niewielki zakład krawiecki. Choć te plany wydały jej się teraz śmieszne i nierealne, dumnie uniosła głowę i spojrzała na niego z wyrazem uporu w oczach.

- Znajdę sposób.
- Obawiam się, że nie minie nawet pięć minut, a już jakiś łajdak położy na pani łapę. Londyn to nie jest miejsce dla kobiety pozbawionej ochrony, Heleno. Roi się tam od mężczyzn pokroju Tayburna, może nawet gorszych od niego. - Te słowa przywiodły mu na pamięć tak przykre wydarzenia, że nie był w stanie ukryć goryczy.

Zadrzała, ale nie zamierzała dopuścić, by pozbawił ją odwagi. Jeśli chciała przetrwać, nie wolno jej było się zatrzymać.

- Co mi pan proponuje? Powrót do niego? Wolę spróbować szczęścia w Londynie.

- Istnieje inny sposób - odparł cicho.

Inny sposób? Czy to możliwe? Spojrzała na niego.

**Margaret McPhee**

- Sposób, który jak sądzę, będzie korzystny dla nas obojga. Spojrzała mu w oczy i domyśliła się, co chciał jej zaproponować, zanim jeszcze zaczął mówić.

- Moja propozycja...

Helena poczuła, że cała krew odpłynęła jej z twarzy, a żołądek ścisnął się boleśnie.

- Nie - powiedziała tak cicho, że sama nie była pewna, czy to słowo rzeczywiście wydobyło się z jej ust.

- Jest pani piękną kobietą - kontynuował. - Z pewnością pani zauważyła, jak bardzo mnie pociąga.

Przypuszczam, że ja również nie jestem pani obojętny.

Wiedziała, co wicehrabia o niej myślał, co cały świat o niej myślał. Ale po prostu nie chciała tego usłyszeć.

- Proszę przestać, milordzie.

- Taka kobieta jak pani może sobie wybrać protektora. Jeżeli znajdzie się pani pod moją opieką... -

Wymownie uniósł brew. - Zapewniam panią, że będzie to dla pani znacznie korzystniejsze od wszelkich innych możliwości, jakie czekają panią w Londynie.

- Nie. Nie mogę. To... Uniósł dłoń. .

- Proszę wysłuchać, co mam do powiedzenia, zanim udzieli mi pani odpowiedzi. Gdy zostanie pani moją kobietą, Tay-burn nie zdoła pani dosięgnąć. Będzie pani bezpieczna.

- Nigdy nie będę bezpieczna. On po prostu nie pozwoli mi odejść, szczególnie do innego mężczyzny.

- Nie będzie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Może pani wybrać, co pani woli, ma pani carte blanche.

Helena odwróciła od niego twarz i wbiła wzrok w podłogę. Lord Varington chciał ją kupić, podobnie jak kiedyś Stephen. Ale wówczas nie miała wyboru, teraz natomiast...

## Ucieczka Heleny

129

- Będzie pani miała w Londynie swój własny dom i pieniądze na wszystko.

Mocno zacisnęła usta.

- Obronię panią przed nim, Heleno.

Kłębiły się w niej sprzeczne emocje. Przycisnąwszy do ust pięść, milczała.

- Nie musi pani podejmować decyzji już teraz. Proszę to rozważyć. W najlepszym razie zaszyje się pani w jakiejś norze w Londynie. W najgorszym dostarczy pani Tayburnowi emocji polowania, zanim wreszcie panią dopadnie. Jeśli tego pani pragnie, to proszę wsiąść jutro do karety pocztowej. Jeżeli zaś podejmie pani inną decyzję, to poczynimy odpowiednie przygotowania. - Nie musiała na niego patrzeć, by czuć siłę jego spojrzenia. Z trudem oddychała, jakby jakiś pancierz zaciskał się wokół jej klatki piersiowej.

Powoli, wbrew własnej woli, podniosła na niego wzrok.

Przyjrzała się rozcięciu biegnącemu pionowo z boku jego twarzy. Ta twarz w mrocznym pokoju wydawała się złowieszczo piękna. Patrzyli sobie w oczy bardzo długo, wydawało jej się, że całą wieczność, wreszcie lord Varington wstał.

- Śpij dobrze, Heleno.

Wysoka postać podeszła do drzwi i zniknęła. Zazgrzytał przekręcany w zamku klucz i zapadła cisza.

## **Rozdział ósmy**

Ranek wstał równie ponury i zimny, jak noc. Helena drżała, schodząc cicho po schodach za kwadrans szósta. Przez całą noc nie zmrużyła oka, myśląc o tym, co powiedział lord Varington. Wiedziała, że mówił prawdę. Czowała również, że o takim kochanku jak on marzyłaby każda kobieta. Musiała przyznać, że od początku, od chwili, gdy znalazł ją na plaży koło Portincross, istniało między nimi silne wzajemne przyciąganie. Jakiś cichutki głos powtarzał jej w duszy, że powinna skwapliwie przyjąć propozycję, która stanowiłaby rozwiązanie wszystkich jej problemów. Ale serce podpowiadało jej, że potwierdziłaby tym samym słuszność twierdzeń Stephena, iż była tylko zwyczajną dziwką, niczym więcej. Przyjmując propozycję wicehrabiego, upewniłaby o tym również jego, a tego by nie zniosła.

Poprosiła oberżystę o filiżankę kawy. Wysypała na stół monety z sakiewki i starannie je przeliczyła. Siedziała samotnie w niewielkim saloniku i pijąc małymi łydkami gorący, gorzki napój, roztrząsała w myślach ofertę lorda Yaringtona. Nie musiała rozważać wszystkich za i przeciw. Na jego propozycję mogła udzielić tylko jednej odpowiedzi i nie potrzebowała czasu do zastanowienia. Ani opinia Guya na jej temat, ani

## Ucieczka Heleny

131

jej opinia o nim nie miały na to najmniejszego wpływu. Przełknęła ostatki łyk kawy i wstała.

- Ile jestem panu winna za nocleg i wczorajszy posiłek? Mały, grubiański mężczyzna popatrzył na nią najwyraźniej

zdezorientowany.

- Wicehrabia Varington ureguluje rachunki.

- Sama płacę za siebie - odparła ze spokojną determinacją. - Niech pan będzie tak miły i poda mi sumę należności. Podał kwotę, która wydała się jej wygórowana. Nie ujawniła jednak swojego sądu i wsunęła mu do ręki stosik monet. Zniknęły z zadziwiającą prędkością, podobnie zresztą jak sam oberżysta, kiedy spostrzegł człowieka wchodzącego właśnie do pokoju.

Filizanka zadrżała w dłoni Heleny.

Lord Varington nie obdarzył karczmarza nawet jednym spojrzeniem. Podeszedł w milczeniu do dziewczyny, skłonił się i usiadł.

- Dzień dobry, Heleno. - Ani na moment nie odrywał wzroku od jej twarzy. Miał na sobie to samo ubranie co wczoraj, ale uprane, wysuszone i zreperowane.

- Milordzie. - Szybko odstawiła filizankę na stół, żeby ukryć przed nim drżenie rąk.

Spojrzał przelotnie na stojącą na podłodze torbę podróżną i utkwiał wzrok w jej twarzy.

- A więc podjęła pani decyzję.

Nie powiedziała mu, że nie musiała podejmować żadnej decyzji, bo nie miała wyboru.

Zapadło między nimi pełne napięcia milczenie.

- Czy może mi pani zdradzić przed wyjazdem, co zaoferował pani Tayburn, żeby została pani jego kochanką?

Spojrzała mu prosto w oczy.

**Margaret McPhee**

- Życie mojego ojca - powiedziała. Guy patrzył na nią wstrząśnięty.

Na zewnątrz rozległ się turkot kół karety pocztowej. Zapukano do drzwi i w progu stanął oberżysta.

- Powóz wjedzie na dziedziniec za dwie minuty, proszę pani.

- Dziękuję. - Odprawiła karczmarza skinieniem głowy, wstała i sięgnęła po torbę.

- Powinna mi to pani powiedzieć - mruknął wicehrabia przez zaciśnięte zęby.

- Nie pytał pan - odparła i ruszyła do drzwi.

- Proszę zaczekać! - zawołał natarczywie. Zatrzymała się.

- Czy to nie jeszcze jeden powód, by przyjęła pani moją opiekę?

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Żeby przypieczętować to, co Stephen ze mną zrobił? - Potrząsnęła głową. - Nie. Nie po to od niego uciekłam, żeby zostać własnością innego mężczyzny. - Uniosła głowę. - Zamierzam przejść przez życie w sposób uczciwy, honorowy.

- I sądzi pani, że Tayburn będzie spokojnie siedział w swoim zamku i pozwoli pani odejść? Zaślepia panią obsesyjne pragnienie dotarcia do Londynu. Przecież pani wie, jaki to człowiek, Heleno.

- Wiem i dlatego muszę postarać się o to, żeby mnie nie znalazł - stwierdziła z pewnością, jakiej wcale nie miała.

- Oboje zdajemy sobie sprawę, że to niemożliwe. - Guy wstał i powoli podszedł do niej. - Ludzie tacy jak on nigdy nie rezygnują. Znajdzie panią, za tydzień albo za rok, ale znajdzie



na pewno. A pani rodzina? Skąd pewność, że nie będzie się mścił na pani bliskich?

Oddychała urywanie i mocniej zacisnęła palce na torbie.

- Dlatego właśnie jadę do Londynu, a nie do Ayr. Nie odwiedziłam ich, nie napisałam, nie przesłałam im żadnej wiadomości z Seamill Hall. Chyba nie sądzi pan, że za nimi nie tęsknię? Tęsknię bezgranicznie, ale za nic w świecie nie chcę ściągnąć na nich uwagi Stephena. Rodzina nie wie o mojej ucieczce, zresztą nie mieliśmy kontaktu od czasu, gdy mnie zabrał. Oni dotrzyмали zawartej z nim umowy. To ja, a nie oni, naraziłam się na jego gniew.

- Myśli pani, że to będzie miało znaczenie dla człowieka takiego jak Tayburn?

- Skoncentruje się całkowicie na szukaniu mnie. Nie pomyśli o mojej rodzinie.

- Skoro chce pani w to wierzyć, nie będę próbował pozbawić pani tej nadziei.

Lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Nie jestem w stanie zrobić nic, żeby im pomóc... Mogę najwyżej do niego wrócić.

- Na to już za późno, Heleno. Podniosła na niego oczy.

- Powinnam więc była zostać z nim na zawsze? Źle zrobiłam, próbując się od niego uwolnić?

Lord Yarrington wpatrywał się w nią intensywnie.

- Nie.

Z podwórza dobiegł stukot końskich kopyt i nawoływania męskich głosów.

- Muszę już iść - powiedziała Helena, ale wciąż nie mogła oderwać wzroku od oczu mężczyzny. Wreszcie odwróciła

**Margaret McPhee**

się i szybko przeszła przez próg, nie czekając, aż opuszczą ją resztki odwagi.

- Heleno, mogę pomóc pani rodzinie - usłyszała dobiegający z tyłu głos Guya. - Zapewnię im ochronę.

Daję słowo, że nie pozwolę mu ich skrzywdzić.

Te słowa dźwięczały jej w uszach, gdy biegła przez podwórze do czekającej karety pocztowej.

Zastanawiała się gorączkowo: a jeśli lord Varington miał rację i Stephen będzie szukał zemsty na jej rodzinie? Nie była w stanie nic zrobić, aby ich chronić, nawet gdyby teraz wróciła na St Vey. Zło już się stało, a Tayburn był mściwy. Boże, miej ich w swojej opiece! Tak, ona nie mogła ich chronić, ale wicehrabia mógł. Była już w połowie podwórza, gdy nagle zatrzymała się w biegu.

- Pospiesz się, panienko! Nie możemy czekać! - zawołał strażnik, wyciągając ręce po jej bagaż. - Proszę mi podać torbę. - Drzwi powozu zostały otwarte.

Helena spojrzała przez ramię na stojącego przed oberżą Guya. W świetle latarni wydawał się wyjątkowo wysoki i muskularny. Przyglądał się jej z jakimś szczególnym wyrazem twarzy, którego jeszcze nigdy u niego nie widziała. W tej twarzy o mocno zarysowanej linii szczęki, zaciśniętych ustach, prostym, rzeźbionym nosie i jasnych oczach w obramowaniu czarnych rzęs nie było śladu słabości. Przecinające ją z boku świeżo zasklepione rozcięcie podkreślało jeszcze jej twardość. Był wystarczająco silny, by stawić czoło samemu diabłu. Wystarczająco silny, by bronić tych, których kochał. Strażnik zawołał ponownie.

Ze środka karetki zaskrzeczała jakaś jejmość:

- Cholernie tu zimno! Pospiesz się i wskakuj, złotko!

- Przepraszam - zwróciła się Helena do strażnika. -

## Ucieczka Heleny

135

Obawiam się, że popełniłam błąd. Jednak nie mogę dzisiaj jechać.

- Cholerne baby! - warknął tamten i zatrzasnął drzwi. Końskie kopyta uderzyły o bruk, karetka pocztowa opuściła dziedziniec oberży i pomknęła drogą, a wraz z nią ulotniła się nadzieja Heleny na wyjazd. Nie obejrzała się za siebie. Stała jak wmurowana, odprowadzając wzrokiem oddalający się pojazd. Przyglądała się zawieszonym po bokach latarniom, stercie bagaży na dachu i dwóm siedzącym wysoko na koźle mężczyznom, dopóki ten obraz nie rozmył się w ciemnym błękitcie listopadowego poranka. Została sama na środku dziedzińca oberży Pod Koroną. Trzy minuty po szóstej. Nagle poczuła przy sobie czyjąś obecność i zrobiło jej się cieplej. Wiedziała, że to lord Varington. Wyjął torbę z jej zmarzniętych palców i wsunął sobie pod ramię jej dłoń.

- Chodź, Heleno. Jest zimno. Wejźmy do środka.

Sir Stephen Tayburn oparł głowę o miękki zagłówek powozu i obserwował przesuwany się za oknem szary, ponury krajobraz. Jego karetka jechała drogą prowadzącą do Kilmarnock. Zmierzał do Dumfries, a stamtąd do Gret-na i dalej, do Anglii. Konie w zaprzęgu były wypoczęte, więc posuwali się w szybkim tempie. Tayburn nie zdradzał najmniejszych oznak zdenerwowania; prawdę mówiąc, nie zdradzał żadnych emocji. Na jego twarzy malowała się spokojna obojętność, ale pod tą maską krył się prawdziwy potwór. Tylko ci, którzy go dobrze znali, potrafili dostrzec w jego wąskich czarnych oczach mrok świadczący o potędze jego furii. Siedział bez ruchu, bez słowa, bez wyrazu, a jednak atmosfera wewnątrz powozu była aż ciężka

**Margaret McPhee**

od tłumionego gniewu. Siedząca naprzeciw niego kobieta doskonale ją wyczuwała i wiedziała, że należy w tej sytuacji trzymać język za zębami, chociaż tym razem nie miała powodu do obaw; wściekłość jej męża skierowana była przeciwko Helenie. Lady Tayburn poprawiła koc, który okrywał jej kolana. Tym ruchem ściągnęła na siebie jego uwagę.

Zwrócił na nią ponure spojrzenie i choć zdawała sobie sprawę, że to nie ją pragnął ukarać, poczuła przyływ lęku.

- Zimno ci, moja droga? - zapytał głosem dalekim od autentycznej troski.

- Nie, Stephenie. Jest mi całkiem dobrze, dziękuję. - Wsunęła dłonie pod koc, aby nie mógł dostrzec, jak mocno zaciskała palce.

Spojrzenie czarnych oczu stwardniało.

- To dobrze - powiedział miękko i choć te słowa wydawały się całkiem niewinne, w jego ustach zabrzmiały jak groźba.

Caroline poruszyła się niepewnie na kanapie powozu.

Znowu zapadła cisza. Stephen nie odrywał oczu od żony, choć doskonale wiedział, że jego spojrzenie wprawia ją w zdenerwowanie. Sekundy zmieniały się w minuty. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Czekał i obserwował. W końcu kobieta nie mogła dłużej znieść napięcia.

- Myślisz, że szybko ich dogonimy?

Uśmiechnął się, co nawet po dziesięciu latach małżeństwa sprawiało, że Caroline bladła i odwracała wzrok.

- Wcale nie staram się ich dogonić - odparł, starannie wymawiając każde słowo i uśmiechając się jeszcze szerzej.

Lady Tayburn zaczęła nerwowo poprawiać koc. Zaatakował błyskawicznie, jak wąż, poderwał się i cof-

## Ucieczka Heleny

137

nał w mgnieniu oka. Kiedy znów siadał, koc był w jego rękach.

- Skup się, Caroline. Wiesz, jak bardzo nie lubię braku koncentracji.

- Oczywiście, przepraszam - wymamrotała pokornie. Objęła się mocno ramionami i wbiła wzrok w podłogę.

- Nie zamierzam marnować czasu i zatrzymywać się przy wszystkich nędznych oberżach po drodze. Zresztą po co, skoro doskonale wiem, dokąd on ją zabierze.

Kobieta nie odpowiedziała.

- Do Londynu. - Pochylił się do przodu i wymówił to słowo tak dobitnie, jakby miał do czynienia z osobą niedorozwiniętą. - Dopadnę Tregellasa w Londynie. A tam, gdzie będzie Varington, znajdziemy i Helenę. Z pewnością bardzo ją zainteresują nowiny z Ayrshire.

- Myślałam... - Caroline nie dokończyła zdania.

- Co myślałaś? - warknął Stephen. - Że pojechała z wizytą do ciotki? - Urywany śmiech, który rozległ się w karecie, bardziej przypominał poszczekiwanie. - Ona nie ma żadnej ciotki w Londynie! - wycedził. - Chyba nie podejrzewasz, że gdyby miała, ja mógłbym o tym nie wiedzieć?

Lady Tayburn posłusznie kiwnęła głową.

- Na pewno byś wiedział.

- Oczywiście, że bym wiedział - powtórzył ciszej. - Ciekaw jestem, jaki ona ma plan? - mruknął pod nosem, jakby pytał samego siebie. - Na pewno nie rozmawiała z tobą o swoich zamiarach?

- N-nic nie mówiła, kompletnie nic! Po prostu zniknęła bez słowa, już ci mówiłam. - Cofnęła się przed nim, jakby chciała się wbić w poduchy wyściełające wnętrze karety.

**Margaret McPhee**

- Co ci powiedziała? Hmm? - Wpatrywał się uważnie w paznokcie swej lewej ręki.

Caroline potrząsnęła głową.

- Nie słyszę - warknął.

- N-nic.

- Dokąd pojechała?

- Nie wiem.

- A dokąd ty byś pojechała?

Caroline Tayburn zdawała sobie sprawę, że to niebezpieczne pytanie.

- Przede wszystkim ja bym nie uciekła.

- Dobrze. Helena powinna się od ciebie uczyć, moją drogą. Ale jest znacznie młodsza i głupsza.

Myslałem, że przez lata spędzone u nas czegoś się jednak nauczyła. Najwyraźniej ją przeceniłem. - Na jego ustach pojawił się iście szatański uśmiech. - Jak sądzisz, spodoba jej się niespodzianka, jaka czeka ją w Dunleish?

Lady Tayburn potrząsnęła głową tak energicznie, że loki na jej głowie podskoczyły jak sprężynki.

- A jeżeli Varington ją tknął... - W pociemniałych oczach Stephena zabłysła żądza mordy. - Ona należy do mnie. Jest moja. Moja - powtórzył z głębokim przekonaniem. - Nikt nie ma prawa zabierać mojej własności, nawet jeśli jest bratem Tregellasa.

Dzień był już w pełni, kiedy wynajęty powóz wtoczył się na dziedziniec oberży Pod Koroną w Appleby, a w piętnaście minut później odjechał z Guyem i Heleną. Lord Varington narzucił szybkie tempo jazdy, choć pojazd nie miał ani tak dobrych resorów, ani tak wygodnego wnętrza, jak jego własna karetka.

Dziewczyna nie skarżyła się jednak. Właściwie była

nawet zadowolona, że może skoncentrować się na czym innym niż obecność siedzącego naprzeciwko niej mężczyzny i rola, jaką miał odgrywać w jej życiu. Protektor. Z nazwy, a może nie tylko. Ostatnią noc spędził w swoim pokoju, a ona w swoim, rozdarta pomiędzy ulgą a rozczarowaniem.

- Jest pan pewien, że powrót do Ayrshire to dobry pomysł? -zapytała, uczepiona kurczowo rzemiennej pętli.

- Absolutnie.

- Jeśli pan popełni błąd, milordzie...

- Nie popełnię błędu, Heleno. - Kącik jego ust drgnął lekko, jakby bawiła go własna pewność siebie. - Nie zwracaj się do mnie: milordzie. Mam na imię Guy.

Stała w pąsach jak pensjonarka.

- Guy. - To imię zabrzmiało w jej ustach zbyt familiarnie i przypomniało jej, co obiecała wicehrabiemu w zamian za opiekę.

Uśmiechnął się szerzej i rumieńce na jej policzkach pociemniały.

- Nie spodziewałam się, że zawrócimy do Szkocji.

- Tayburn też się tego nie spodziewa.

Helenie nie pozostało nic innego, jak tylko liczyć na to, że wicehrabia Yarrington ma rację.

- Jaki mamy plan?

- Przetransportować twoją rodzinę w bezpieczne miejsce.

Przyjrzała się siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie i nabrała pewności, że dotrzyma słowa.

Utwierdziła się w przekonaniu, że dokonała właściwego wyboru.

- Dziękuję, mil... - Ugryzła się w język i poprawiła się szybko. - Dziękuję, Guy.

- Proszę bardzo, choć spełniam tylko obietnicę, jaką ci złożyłem - stwierdził.

**Margaret McPhee**

Spuściła oczy, świadoma, jakie zobowiązanie ona sama podjęła w zamian.

- Oboje odetchniemy spokojniej, kiedy Tayburn nie będzie już mógł wykorzystywać twoich bliskich, by manipulować tobą.

- Tak. - Jedno małe słówko, a ileż kryło się w nim emocji! Nadzieja. Ulga. Ale i lekkie niedowierzenie, że władza sir Stephena Tayburna zostanie w tak prosty sposób obalona. -Minęło pięć długich lat od chwili, gdy rozpoczął się ten koszmar. Nie mogę uwierzyć, że wkrótce się skończy.

- Jak udało mu się zatrzymać cię przy sobie przez tak długi okres?

- Najwyraźniej nie znasz St Vey. Na tej wysepce nie ma niczego poza zamkiem Dunleish, w którym Stephen sprawuje władzę absolutną. To było moje więzienie. Przez pierwszy rok trzymał mnie pod kluczem w moim pokoju. Potem otrzymałam pozwolenie wchodzenia do kilku innych pomieszczeń, takich jak salon i jadalnia. A w ostatnich latach mogłam już nawet opuszczać mury zamku, ale zawsze pod strażą, nigdy sama. Tayburn zadbał o to, żebym nie miała szans ucieczki. -Wyjrzała przez okno i dopiero po chwili dodała: -1 na własne oczy widziałam, co spotyka tych, którzy go rozgniewają.

- W jaki sposób udało ci się uciec?

Helena zamknęła oczy, ale nie dość szybko, by ukryć przed jego wzrokiem gwałtowne emocje. Gdy ponownie uniosła powieki, była już całkowicie opanowana.

- Mój ojciec nie miał wyboru, musiał mnie oddać sir Stephenowi. Ale wraz ze mną posłał do Dunleish swojego sługę Tama, żebym miała przy sobie choć jedną przyjazną duszę. Stary Tam znał kogoś, kto potrafił dorobić klucz na podstawie odcisku. I pewnego dnia, otwierając drzwi mojego poko-



## Ucieczka Heleny

141

ju, zrobił odcisk klucza w małym kawałku mydła. Potem wsunął duplikat pod moje drzwi. Zaszyłam go w rąbku spódnicy i czekałam na okazję.

Guy sięgnął do kieszeni i pokazał jej mały srebrny kluczyk.

- Został znaleziony podczas prania i reperowania twojej sukni.

- Dziękuję. - Helena wyjęła kluczyk z jego ręki i wsunęła go do kieszeni.

- Rozumiem, że sposobność nadarzyła się tamtej sztormowej nocy.

Potaknęła kiwnięciem głowy.

- Stephen zajął się zaproszonymi na Halloween gośćmi. Wymarzona okazja. Byliśmy pewni, że zdołamy dotrzeć na ląd, zanim rozpęta się burza. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała ciszej: - Okazało się jednak, że popełniliśmy błąd.

Wicehrabią rozsiadł się wygodnie, jakby ławka w powozie była przepastnym klubowym fotelem. Jakby nie odczuwał gwałtownych wstrząsów na wybojach i przechyłków, kiedy wjeżdżali w zakręt.

Pochylił się do przodu i wziął ją za rękę. Poczwała krzepiący uścisk ciepłej dłoni.

- Jesteś już bezpieczna, Heleno. Tayburn już nigdy cię nie skrzywdzi.

- Obyś miał rację.

Zatrzymali się na nocleg w zajeździe Gretna Hall w Gretna Green. Helena wyspała się jak królowa,

wygodnie, spokojnie i... samotnie. Była ciekawa, kiedy lord Varrington zgłosi się po to, co mu obiecała.

Fakt, że dotychczas tego nie zrobił, utwierdzał ją w przekonaniu, iż różnił się od Stephena diametralnie.

**Margaret McPhee**

Właściwie tych dwóch mężczyzn dzieliło wszystko, stanowili swoje przeciwieństwa. W czasie podróży, choć narzucili bardzo szybkie tempo, było mnóstwo czasu na rozmowę, a wicehrabia po mistrzowsku opanował sztukę konwersacji. Helena, która przywykła trzymać język za zębami i bardzo uważać, by wyrazem twarzy nie zdradzić swoich myśli, uznała tę swobodną rozmowę za doświadczenie niemal wyzwalające. Jak powrót do czasów, zanim Tayburn wkroczył w jej życie. Słuchała opowieści Guya o Londynie, o intrygach pań i panów z towarzystwa, a nawet się śmiała, kiedy opisywał jej słabostki księcia regenta. Odnosiła wrażenie, że jej towarzysz nie brał życia zbyt poważnie. Ani razu nie wspomniał o ich umowie. Nie flirtował z nią nawet tak otwarcie, jak przed wyznaniem przez nią prawdy. Pytał ją natomiast o jej zdanie na temat mody, polowań, ogrodów, a nawet o poglądy na politykę. Po raz pierwszy od lat Helena wyrażała własne opinie. Początkowo z wahaniem, ale z każdą godziną nabierała śmiałości.

Następnego dnia złapała się na tym, że opowiada mu jakąś głupawą historyjkę z dzieciństwa, i zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób siedzący naprzeciw niej mężczyzna zdołał sprawić, by zapomniała o doświadczeniach ostatnich pięciu lat. Nawet gdy zapadł zmrok, wciąż go widziała. Nie musiała nawet na niego patrzeć, bo każdy, najmniejszy rys jego twarzy wrył się dokładnie w jej pamięć. Leniwy, zmysłowy uśmiech i zmarszczki pojawiające się w kącikach oczu, kiedy się śmiał -a zdarzało się to bardzo często w ciągu dwóch dni ich wspólnej podróży. W końcu doszła do niezaprzeczalnego wniosku: lord Yarrington był uderzająco przystojnym mężczyzną.

## Rozdział dziewiąty

Sir Stephen Tayburn obserwował niską, pulchną służącą z zajazdu, która stawiała na stole w saloniku półmisek z pie-czeniem wołową obok innego, z ziemniakami. Przez uchylone drzwi słycać było gwar rozmów dochodzący z sąsiedniej, ogólnodostępnej izby. Dźgnął nożem mięso.

- Przypalone. Zabierz to i przynieś inną porcję. Dziewczyna spojrzała na soczystą, delikatną wołowinę i otworzyła usta, by zaprotestować. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na twarz gościa, by zamknęła usta i natychmiast zabrała półmisek do kuchni.

Lady Tayburn siedziała po drugiej stronie stołu, nie patrząc na męża.

-Czemu się tak przyglądasz, do cholery? - zapytał cicho.

- Wybacz, Stephenie - wymamrotała, odwracając twarz. -Zapomniałam, jaki jesteś rozstrojony zniknięciem Heleny.

- Rozstrojony? - niemal wypluł to słowo. - Nie sądzę, droga żono. To by oznaczało, że żywiłem względem tej kobiety jakieś uczucia. Stanowi moją własność, to wszystko. Było na czym oko zawiesić, przyznaję, a i korzystało się z niej całkiem przyjemnie. Ale ty, Caroline, może się nawet cieszysz

**Margaret McPhee**

z jej zniknięcia? Może byłaś zazdrosna o czas, jaki jej poświęcałem?

Nie odpowiedziała, co nie zniechęciło jej męża, który podjął po chwili:

- Zapomniałem już o przyjemności dzielenia z tobą łoża. Ostatnia noc była... niemal miła.

Caroline nie zdołała powstrzymać dreszczu. To wystarczyło, by na ustach jej męża pojawił się podły uśmieszek.

- Czy to dlatego starałaś się odwieść mnie od tej wyprawy? Te wszystkie ostrzeżenia przed złą pogodą i marnymi drogami to były tylko wymówki. Ty po prostu nie chcesz, żebym sprowadził Helenę z powrotem do Dunleish, bo pragniesz zachować wszystkie moje atencje wyłącznie dla siebie.

- Nie! - zawołała, zanim zdążyła zapanować nad emocjami. - Nie, naprawdę się mylisz. Zawsze bardzo sobie ceniłam jej towarzystwo.

Tym razem sir Stephen parsknął śmiechem, który bardziej przypominał szczeknięcie.

- Doprawdy? Co za wielkoduszność! - Jego usta wykrzywił złośliwy uśmiech. - Szczególnie że masz pełną świadomość, iż jej obecność powstrzymywała mnie od codziennych odwiedzin w twojej sypialni.

Lady Tayburn nie odrywała wzroku od obrusa.

- Pociesz się tym, że im dłużej nie znajdziemy Heleny, tym więcej czasu spędzimy razem. - Wyciągnął rękę ponad stołem i unióś jej brodę do góry, tak że nie miała innego wyjścia, jak podnieść na niego oczy.

- Właściwie zaczynam się zastanawiać, czy nie zwolnić nieco tempa pościgu, byśmy mogli nacieszyć się w pełni swoim towarzystwem.

Twarz kobiety pobladła śmiertelnie.

## Ucieczka Heleny

145

- Może powinienem zostawić tę dziwkę Tregellasowi i zadowolić się tobą., moja droga.

Caroline wyglądała jak ciężko chora. Tayburn przechylił głowę na bok i bacznie obserwował żonę.

- Ale czy porzucenie jej na pastwę losu nie byłoby podłością? Jak sądzisz? Ale nie czas na troski. Dopóki Helena nie wróci pod moje opiekuńcze skrzydła, poszukam ukojenia w twoim towarzystwie. Każdego dnia... i każdej nocy.

Cofnął dłoń i uśmiechnął się, odsłaniając dwa poślizgnięte siekacze.

W miejscu, gdzie palce męża dotykały delikatnej skóry kobiety, zaczynał już powstawać siniak.

Helena i Guy dotarli do gospody Pod Gwiazdą w Ayr późnym popołudniem. Był to modny zajazd, przyjmujący najlepsze towarzystwo. Zapewniał sprawną, dobrze wyszkoloną obsługę i przypominał spokojny, komfortowy londyński klub dla dżentelmenów. Nikt z personelu nie pozwolił sobie na najmniejszy komentarz na temat damy, która z racji skromnego stroju i braku pokojówki nie mogła być panią Varington. Zajazd Pod Gwiazdą zapewniał całkowitą dyskrecję, umieścił nawet jego lordowską mość i jego damę w sąsiadujących pokojach, wprawiając tym Helenę w zażenowanie.

W miarę zbliżania się do Ayr stawała się coraz bardziej milcząca, zamknięta w sobie. Guy wyczuwał jej narastający niepokój, choć siedziała ze złożonymi rękami i nie zdradziła zdenerwowania ani zachowaniem, ani wyrazem twarzy. Przyjazd do gospody nie przegnał troski malującej się w jej oczach. Wicehrabia Yarington odsunął zasłonę w oknie i wyjrzał na ulicę. Pomimo zapadającego zmierzchu w Ayr panował

**Margaret McPhee**

ożywiony ruch. Choć okno było zamknięte, z ulicy dobiegał hałas - turkot kół wozów, stukot końskich kopyt o bruk i gwar ludzkich głosów. Wicehrabia starannie zasunął kotarę, podszedł do drzwi łączących jego pokój z sypialnią Heleny i zatrzymał się. Podniósł głowę i stał bez ruchu, \ nasłuchując. Próbował domyślić się, co robiła. Ale za ;drzwiami panowała absolutna cisza.

Nagle z drugiej strony dobiegło ciche pukanie. Wstrzymał oddech i próbował uspokoić gwałtowne bicie serca. Zawahał się tylko na moment, po czym otworzył.

- Helena - przywitał ją z uśmiechem. - Wejść, proszę. -Cofnął się, by wpuścić ją do środka.

Nie drgnęła. Stała w progu jak skamieniała.

- Wybacz, Guy. - W jej ustach jego niepewnie wymówione imię zabrzmiało wyjątkowo intymnie.

Twarz miała bladą ze zmęczenia, ale na jej policzkach pojawił się leciuteńki cień rumieńca. Przez ułamek sekundy myślał, że przyszła do niego jak kobieta do mężczyzny. Ta myśl wprowadziła go w stan podniecenia, choć niemal natychmiast zrozumiał, że się mylił. Helena była co prawda przez pięć lat czyjąś kochanką, ale miała w sobie czystość, która stała w sprzeczności z jej haniebną przeszłością.

- Nie chciałabym zawracać ci głowy.

- Uspokój się, wcale mi nie przeszkadzasz - zapewnił. -Możesz wejść - dodał, otwierając szerzej drzwi.

Nadal stała bez ruchu. Miała na sobie tę samą ciemną suknię, którą nosiła od kilku dni, choć wicehrabia posłał przodem wiadomość, żeby w zajeździe czekały już na nich świeże ubrania na zmianę. Brzeg jej sukni był sztywny od brudu. Zdjęła tylko płaszcz i starannie uczesała oraz upięła włosy. Guy podziękował w duchu losowi, że jej czepek został znisz-

## Ucieczka Heleny

147

czony podczas wypadku karety, bo Helena miała tak piękne włosy, iż trudno było oderwać od nich wzrok.

- Wiem, że zamierzałeś złożyć wizytę mojej rodzinie jutro rano, ale zastanawiam się, czy nie moglibyśmy wybrać się do nich już dzisiaj - powiedziała.

Widział jej szybko unoszące się piersi i zrozumiał, jak bardzo musiała być zaniepokojona, skoro przyszła do jego pokoju, by go o to poprosić.

- Skoro tak ci na tym zależy, możemy iść do nich zaraz. Zamglone zielone oczy rozszerzyły się i z twarzy Heleny opadła maska.

- Bardzo mi zależy, Guy - przyznała.

- W takim razie włóż płaszcz, a ja powiem, by zaprzęgnięto do powozu świeże konie. - Uśmiechnął się, unosząc w górę kącik ust.

- Nie ma potrzeby. Dom mojego ojca stoi przy Strawthorn Street, zaledwie milę stąd. Szybciej dojdziemy na piechotę.

- Dobrze. - Sięgnął po swą nową laskę ze srebrną rączką, kapelusz i rękawiczki.

Dzień był suchy i mroźny, zapowiadało się, że noc również będzie chłodna. Niebo pod wieczór mieniło się wszystkimi odcieniami bladego błękitu, fioletu i różu. Powietrze było świeże i ożywcze, choć dawało się w nim wyczuć lekki zapach dymu. Lord Varington i Helena szli główną ulicą Ayr.

- Bardzo długo tu nie byłam - westchnęła dziewczyna, a jej oddech zmienił się w mroźnym powietrzu w biały obłoczek. - Myślałam, że już nigdy nie zobaczę tych ulic.

Guy pogłaskał drobną dłoń spoczywającą w zagięciu jego ramienia.

- Przykro mi, że naraziłem cię na rozczarowanie.

**Margaret McPhee**

- Nie, nie jestem rozczarowana - odparła cicho i uśmiechnęła się do niego z dziwną nieśmiałością.

Jakieś ciepło rozlało się w piersi mężczyzny. To szczególne doznanie przytrafiło mu się pierwszy raz w życiu. Nie zdążył się jednak nad tym zastanowić, bo nagle u jego boku pojawiło się dwóch małych obdartusów.

- Nie ma pan przypadkiem zbędnej ćwierćpensówki dla poratowania biedaka, sir? - Łobuziak o chudej buzi wyciągnął szponiastą dłoń. Jego kumpel najwyraźniej nie miał nadziei na datek.

Wicehrabia wrzucił trochę drobnych w nadstawioną rączkę. Najwyraźniej suma była znacznie większa od tego, na co chłopcy liczyli, bo oddalili się pędem z gromkim okrzykiem zachwyty. Guy podniósł wzrok i zauważył, że Helena przygląda mu się z uśmiechem.

Ruszyli dalej. Pokazywała mu po drodze różne budynki i opowiadała o mieście. Wyczuwał jednak jej niecierpliwość, by wreszcie dotrzeć do celu. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie wzgląd na obowiązujące damę zasady, rzuciłaby się biegiem. Wreszcie skręcili z głównej ulicy i dziewczyna poprowadziła go płataniną wąskich zaułków. Domy były tu znacznie niższe i mniej zamożne. Z każdym krokiem tempo ich marszu stawało się szybsze.

- To już tu, zaraz za rogiem - szepnęła bez tchu. Nos zaróżowił jej się z zimna, a oczy błyszczały z oczekiwania, podniecenia i trwogi. Mocniej wczepiła się w jego ramię.

Kiedy skręcili w Strawthorn Street, Guy wyczuł, że Helena zeszywniała. Stała jak wryta. Wydawało się, że przestała oddychać. Wpatrywała się w głąb ulicy rozszerzonymi z niedowierzania oczami.

Pobladła, otworzyła usta jak do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden głos. Varrington spojrzął na



miejsce, w które wpatrywała się z takim przerażeniem. W połowie ulicy, po prawej stronie, pomiędzy dwoma nienaruszonymi domami stała szerniała ruina. Helena puściła jego ramię i pobiegła ile sił w nogach, nie przejmując się już, że takie zachowanie nie przystoi damie. Powiewająca na wietrze spódnica odłoniła szczupłe kostki nóg, a wspaniałe włosy, tak starannie spięte w skromny węzeł, zaczęły wymykać się spod czepka. Pędziła, jakby jej dom nadal stał w płomieniach, a ze środka dochodziły krzyki mieszkańców. Zanim wicehrabia ją dogonił, stała już wśród tego, co zostało z jej rodzinnego domu - sterty osmalonych desek i kamieni.

- Heleno. - Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu. Cofnęła się i strąciła jego rękę.

Lord Yarrington jeszcze nigdy nie widział takiego szoku i cierpienia, jakie malowały się teraz w jej oczach.

- Przyszliśmy za późno - wyszeptła. - O wiele za późno.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może któryś z sąsiadów powie nam, co się tu stało i jaki los spotkał twoją rodzinę.

- Miałeś rację. Zabił ich wszystkich. - Jej cichy, bezbarwny głos wyrażał większą rozpacz, niż gdyby wyła z bólu, zalewając się łzami. - Wszystko na nic.

- Tego nie wiemy - zaprotestował, choć w głębi duszy musiał przyznać, że prawdopodobnie tak właśnie było. Nad zgliszczami ciągle jeszcze unosił się zapach spalenizny.

- Stephen jest bardzo sumienny. To jego robota. Teraz rozumiem, dlaczego mnie jeszcze nie dopadł. Był zajęty... tym. - Wskazała poczerniałe resztki rodzinnego domu. Nagle utkwiała wzrok w czymś, co leżało niemal u jej stóp. Pochyliła się i podniosła z ziemi nadpaloną księgę. Otworzyła ją ostrożnie. Brzegi stronic rozsypały się pod jej palcami w proch. Ale

**Margaret McPhee**

napis na stronie tytułowej był nadal czytelny: Biblia Rodzinna. Na następnej karcie znajdowały się spłowiałe zapiski jej pradziadka, dziadka i ojca. Każde narodziny, ślub i zgon w rodzinie McGregorów zostały tam skrzętnie odnotowane. W milczeniu wodziła palcami po osmalonych literach, pogrążona w niemej rozpacz i rozpamiętywaniu.

Zmrok zapadał szybko, na błękitnolawendowym niebie zaczęły się pojawiać purpurowe smugi.

- Heleno. - Guy delikatnie wyjął z jej rąk księgę, wsunął ją sobie pod pachę i wyprowadził dziewczynę z powrotem na ulicę. Jej twarz była równie blada jak w chwili, gdy znalazł ją leżącą niemal bez życia na plaży. Ale nie płakała, jak po wypadku powozu. Miała suche oczy i nieruchomą twarz. Lord Varington spotykał się z taką reakcją podczas wojny na Półwyspie Iberyjskim, widywał ją u żołnierzy, którzy zetknęli się z jej okropieństwami. Sam doznał wówczas podobnego wstrząsu. Helena jeszcze nie do końca wierzyła w to, co zobaczyła na własne oczy. Wkrótce dotrze do niej prawda i nie chciał, aby stało się to tutaj, na zimnej, ciemnej ulicy. Otoczył ją ramionami i wyczuł, że zaczyna dygotać. Była tak zimna, że jej chłód zdawał się przechodzić na niego.

- Zabieram cię z powrotem do gospody.

Potrząsnęła przecząco głową. Jej długie, wspaniałe włosy rozsypały się na ramionach.

- Nie. Muszę wyjaśnić, co się tutaj wydarzyło. Pan Robertson będzie wiedział. Zapytam go, co się stało... i kiedy.

- Wracamy do gospody - powiedział Guy stanowczo. - Potem przyjdę tu sam i dowiem się wszystkiego.

- Pan Robertson... - zaczęła, lecz głos jej się załamał. Po chwili spróbowała znowu. - On nie znał prawdy... dokąd wyjechałam i kim byłam przez ostatnie lata.

## Ucieczka Heleny

151

- Możesz być spokojna, Heleno. Ode mnie niczego się nie dowie. - Nie wspomniał, że od chwili, gdy skręcili w tę uliczkę, zasłony we wszystkich oknach zaczęły się poruszać. - Chodź - poprosił znowu i naciągnął jej kaptur na głowę, by schować pod czarną wełną jedwabiste bogactwo jej włosów. - Jest zimno, nie chcę, żebyś się przeziębiła.

Poprowadził ją tymi samymi uliczkami, które przemierzali nie tak dawno przepelnieni nadzieją.

Guy nie odszedł, dopóki Helena, po wypiciu zaordynowanej przez niego whisky, nie położyła się do łóżka. Oparł się pokusie, by wyciągnąć się przy niej, objąć ją i starać się pocieszyć. Narzucił obszerny płaszcz z kapturem i wyszedł w ciemną noc, by zdobyć informację o tym, co się wydarzyło w domu przy Strawthorn Street. Musiał się dowiedzieć, czy rodzina McGregorów żyje, czy zginęła. Zagwarantował przecież Helenie, że zapewni im bezpieczeństwo. Zaczął się zastanawiać nad zobowiązaniem, jakie przyjął na siebie wraz z rudowłosą pięknoscią, która leżała teraz na piętrze w gospodzie.

- To była okropna noc, sir. - Stary człowiek z przekonaniem pokiwał głową. Kiedyś musiał być wysokim mężczyzną, ale skurczył się z wiekiem i przygarbił. Był tak chudy, że niemal wynędzniały, a na głowie miał szopę kręconych siwych włosów. Jego policzki pokrywała sieć zmarszczek, ale niebieskie oczy zachowały przenikliwe spojrzenie. Ubranie, które miał na sobie, wyszło z mody jakieś dwadzieścia lat temu. Jego domek był mały, cichy i zimny. W pierwszej chwili służąca nie chciała wpuścić Guya, ale pan Robertson dał się w końcu przekonać pięciofuntowym banknotem i otworzył drzwi.

Lord Yarrington zrobił wszystko, co należy, by skłonić sta-

**Margaret McPhee**

ruszka do mówienia. Kiedy sąsiad McGregorów odważył się wreszcie otworzyć usta, miał wiele do powiedzenia.

- To się stało w nocy, tydzień temu. Poczułem dym, tak, ale to była Bonfire Night, noc ognisk, więc myślałem, że to dzieciaki latają z pochodniami. - Skrzywił się z obrzydzeniem. - Co roku to samo! Wszędzie ogniska i fajerwerki. Człowiek nie ma chwili spokoju. Cholerna Bonfire Night! - Objął chudymi rękami poręczę starego rozklekotanego fotela. - Kiedy dostrzegłem płomienie, było już za późno. Dom McGregora stał w ogniu.

- A państwo McGregor?

Stary człowiek popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Myślałem, że panią Helena powiedziała panu. Bo przecież to z nią przyszedł pan tu wcześniej, prawda? - Zamilkł i czekał na odpowiedź. Guy potwierdził skinieniem głowy.

- Rzeczywiście, panie Robertson.

- Tak myślałem.

- Miał mi pan powiedzieć, co się stało z rodzicami Heleny - przypomniał wicehrabia.

Starzec rozważał przez chwilę tę kwestię, po czym najwyraźniej podjął decyzję i kontynuował swą opowieść.

- Pani McGregor, matka panią Heleny, umarła przy porodzie, wydając na świat najmłodszą córkę, panią Emmę. Ojciec sam wychowywał dzieci.

- Proszę wybaczyć, nie wiedziałem - szepnął Guy.

- Całą czwórkę, same dziewczyny - ciągnął tamten. - Aż wstyd, ani jednego chłopaka.

Lord Varington z trudem powstrzymał uśmiech.

- Dwie średnie wydał za mąż, jedną w zeszłym roku, drugą dwa lata temu. McGregor dziwnie się nie spieszył z wypusz-

## **Ucieczka Heleny**

153

czeniu ich z rodzinnego domu. Została mu tylko panienska Emma. - Nagle pochylił się do przodu i szepnął konspiracyjnie: - Panie, ja od początku wiedziałem, że to nie była prawda.

- Co nie było prawdą? - zapytał zdumiony wicehrabia. Robertson zniżył głos, jakby ściany miały uszy.

- Historyjka o śmierci panienski Heleny - mruknął konspiracyjnie.

Guy nie zareagował, czekając na dalszy ciąg opowieści.

- Rozpuszczali pogłoski, że umarła na szkarlatynę, ale ja wiedziałem, że to nieprawda. Widziałem tych ludzi, którzy ją zabrali. Wsiadła do karety sir Stephena Tayburna żywa i zdrowa jak ryba.

Lord Varington uniósł brew.

- Może pan się pomylił, panie Robertson - zasugerował.

- Ja się nie mylę - oświadczył jego rozmówca z przekonaniem. - Wyraźnie widziałem na drzwiach karety jego herb: czarnego diabła na czerwonym de. Ale zatrzymałem tę informację dla siebie. Nie jestem plotkarzem. Zresztą wiedziałem to i owo o wcześniejszych wydarzeniach. Widziałem, jak Tay-burn na nią patrzył. A kiedy mężczyzna patrzy w taki sposób na kobietę, to może znaczyć tylko jedno.

Dziewczyna nie miała najmniejszych szans. Szczególnie kiedy tamten dopadł McGregora. - Starzec zacisnął mocno wąskie usta. - Jak on go skatował. Aż dziw, że biedak nie wyzionął ducha, nie przesadzam. Ale już nigdy nie doszedł do siebie. Z najwyższym trudem prowadził swój interes.

- Jakiego rodzaju interes prowadził pan McGregor? - zainteresował się Varington.

- Zakład tkacki. Był właścicielem fabryki w dole rzeki. Tayburn zainwestował w jego firmę, w ten sposób się pozna-

**Margaret McPhee**

li. Kiedy nastąpił zastój w interesach, zażądał zwrotu swoich pieniędzy. Wszystkich.

- A McGregor nie mógł zapłacić.

- To prawda, nie mógł. Został niemal bez grosza. Nie zawsze mieszkał tutaj. W tamtych czasach rodzina miała dom na Wellington Square.

Guy spojrział na niego pytająco.

- Tam są wspaniałe rezydencje - wyjaśnił starzec. - Rezydencje bogatych ludzi.

- Ale kiedy upadła firma McGregora, musieli się stamtąd wyprowadzić - zgadywał wicehrabia.

- Właśnie - potwierdził pan Robertson. - To dobra ulica, ale nie dla ludzi przyzwyczajonych do takich luksusów jak oni. Dla nich to był upadek. Zresztą... - Pociągnął nosem i wytarł go chusteczką. - Tayburn pojawił się tu wkrótce po napaści na McGregora. W tym czasie, po opłaceniu rachunków za doktora i leki, nie mieli nawet pieniędzy na utrzymanie choćby jednego służącego. To Helena prowadziła ojcu dom i to właśnie ją ten łajdak zobaczył, gdy tu przyjechał. Nie trzeba być geniuszem, żeby dośpie-wać sobie resztę. Śliczna dziewczyna znika nagle bez śladu, a zaraz potem interes rozkwita. Nowy inwestor zapobiega bankructwu. Chodziły słuchy, że tym inwestorem był właśnie Tayburn. Mówiono również, że to on stał za napaścią na McGregora. Ale nie mnie o tym sądzić.

- Rozumiem - mruknął Guy.

- Więc ona teraz jest z panem, tak?

Wicehrabia wyjął banknot pięciofuntowy i położył go na stole między nimi.

- Mniej więcej - powiedział. - Co się stało z panem Mc-Gregorem i jego córką?

## Ucieczka Heleny

155

- Następnego dnia na pogorzeliisku znaleziono zwęglone zwłoki mężczyzny.

- A córka, która z nim mieszkała? Pan Robertson znowu wytarł nos.

Guy położył następny banknot na poprzednim.

- Tuż przed wybuchem pożaru McGregor miał gości. Zabrali ze sobą panienkę Emmę.

- Wie pan, kim byli ci goście?

- To ci sami, którzy przyjechali przed laty po panienkę Helenę. Ludzie Tayburna. Robertson nigdy nie zapomina twarzy - zapewnił starzec i podrapał się zgrubiałym paznokciem po nosie. - Miej oczy z tyłu głowy, synu. Tayburn to niebezpieczny człowiek. Zapamiętaj moje słowa. Jeśli cenisz swoje życie, trzymaj się z daleka od Diabła z St Vey.

## **Rozdział dziesiąty**

Helena usłyszała ciche pukanie do drzwi łączących ich pokoje. Nie spała. Ciągle miała przed oczami zgliszcza, w jakie został obrócony jej rodzinny dom. Nic nie mogło wymazać z jej pamięci obrazu pogorzeliska. Nie miała wątpliwości, że jej ojciec i siostry zginęli. Uciekła, więc Stephen zemścił się na niej w sposób, który, jak wiedział, najbardziej ją zaboli. Nie doceniła go, znowu go nie doceniła! Jednak rozum mówił jej co innego, niż podpowiadało serce. Bo w głębi serca Helena nie mogła uwierzyć, że jej najbliżsi nie żyją. To niemożliwe, żeby zginęli po tym wszystkim, co przeszła, by ich ratować. Starła się myśleć racjonalnie, ale bolesny supeł w żołądku nie ustępował. Leżała sztywno wyprostowana na wygodnym, miękkim łóżku. Sama. Pełna niedowierzania. Przerazona.

Pukanie się powtórzyło. Tym razem lord Varington nie czekał na zaproszenie. Przekreślił gałkę w drzwiach i wszedł do pokoju. Przyniósł ze sobą zapach mroźnego, nocnego powietrza, emanował z niego chłód. Helena zerwała się z łóżka i stanęła przed nim, starając się przygotować na przyjęcie tego, co miał jej do powiedzenia.

- Rozmawiałem z panem Robertsonem, sąsiadem twojego ojca.



## Ucieczka Heleny

157

-Tak? - Nawet nie próbowała ukryć niecierpliwości. Chciała krzyknąć: „Powiedz wreszcie, miejmy to już za sobą!”, ale powstrzymał ją wyraz oczu Guya. Obawiała się najgorszego, ale nie straciła jeszcze nadziei.

- Wieści nie są dobre. Twój ojciec zginął w pożarze. - Niewątpliwie McGregor został skatowany przed podpaleniem i pozostawiony na pewną śmierć, ale tego nie musiała wiedzieć. Wiadomość była wystarczająco potworna i bez drastycznych szczegółów.

Dziewczyna głośno wciągnęła powietrze i przycisnęła pięść do ust, jakby chciała powstrzymać emocje, by nie wyrwały się spod kontroli.

- Przykro mi, Heleno.

Zamknęła na chwilę oczy, a kiedy znów je otworzyła, nie było w nich śladu hysterii. Zastąpił ją niemal nieludzki spokój.

- A siostry? Milczał.

Maska spokoju opadła z jej twarzy. Pobladła tak bardzo, jakby była bliska zemdlenia.

- Nie, to nie tak, jak myślisz! - Podbiegł i mocno zacisnął dłonie na jej ramionach, jakby chciał w ten sposób zapobiec jej osunięciu się na podłogę. - Dwie z twoich sióstr wyszły za mąż, więc nie mieszkały już przy Strawthorn Street. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że są bezpieczne. Natomiast najmłodsza...

Helena zeszywniała w jego ramionach.

- Emma - szepnęła i wstrzymując oddech, czekała na jego słowa.

Delikatnie posadził ją na łóżku.

- Wszystko wskazuje na to, że Tayburn ją porwał.

**Margaret McPhee**

Po tych słowach zapadła cisza brzemienna najpotworniejszymi wyobrażeniami.

- Stephen - wyszeptała Helena i samo brzmienie tego imienia sprawiło, że w pokoju zawisła groźba.

Świece zamigotały, jakby pod wpływem nagłego przeciągu, w sypialni powiało chłodem. - Co ja zrobiłam?! - krzyknęła rozdzierająco. - Dobry Boże, co ja zrobiłam?!

Guy usiadł obok niej i bardzo delikatnie ujął jej dłoń. - Nie zrobiłaś nic złego, Heleno. To nie ty ponosisz winę.

Z ust dziewczyny wyrwał się rozpaczliwy szloch.

- Uciekłam, więc zabił mojego ojca i zabrał Emmę zamiast mnie.

- Nie - stwierdził przekonująco.

- Ona tego nie wytrzyma - jęknęła. - To ją zabije.

- Nie - znów to mocne, pełne determinacji zaprzeczenie. Guy zmusił ją, by na niego spojrzała. - Wziął ją jako zakładniczkę, żeby cię zmusić do powrotu. Należy sądzić, że jest na razie bezpieczna.

Wpatrywała się w siedzącego obok niej mężczyznę, pragnąc mu uwierzyć, choć w jej oczach malował się strach, szok i poczucie winy.

- Heleno.

- W takim razie muszę do niego wrócić - powiedziała nienaturalnie spokojnym głosem, wpatrując się martwym wzrokiem w kominek.

Na myśl o powrocie Heleny do tego potwora lord Va-rington poczuł mdłości. Wiedział już z grubsza, co tamten jej zrobił: szantażem zmusił, by została jego kochanką i prowadziła życie, o którym Guy wolał nawet nie myśleć. Niech go piekło pochłonie, jeśli pozwoli, by za sprawą Tayburna spadł

jej choćby jeden włos z głowy! Wiedział, co ten diabeł zamierzał z nią zrobić, podobnie zresztą jak ona sama. Musiał więc sprawić, by spojrzała prawdzie w oczy, bez względu na to jak okrutna miałyby się okazać.

- Żeby Tayburn miał was obie? - zapytał.

- Żeby wypuścił Emmę - odrzekła.

Wicehrabia wziął ją za rękę. Rozumiał jej tęsknotę i poczucie winy; zdawało mu się, że to echo jego własnych koszmarów.

- Heleno, przecież wiesz, że jej nie wypuści.

- Więc wszystko stracone - powiedziała z rozpaczą. Guy czuł, jak jej puls zwalnia i słabnie, jakby cierpienie było ponad jej siły.

- Nie - zapewnił z ponurą miną, ale stanowczo, mając pełną świadomość, że jego siła musi teraz wystarczyć dla nich dwojga.

Spojrzała, mu w oczy. Dostrzegł w jej wzroku nieśmiałą iskierkę nadziei.

Z uśmiechem odsunął niesforny lok z jej czoła.

- Wyzwę go na pojedynek.

Helena parsknęła gorzkim śmiechem.

- Chyba nie mówisz poważnie - rzekła z niedowierzaniem.

- Zapewniam cię, że jak najbardziej poważnie - oświadczył z tak radosnym uśmiechem, jakby wyzywanie Tayburna na pojedynek stanowiło jego ulubioną i często praktykowaną rozrywkę. Uznał, że dobrze jej to robi, gdy usłyszy w jego głosie pewność siebie, siłę, może nawet arogancję. Leniwy uśmiech skrywał kłębiące się w nim emocje.

- Guy, mówimy o sir Stephenie Tayburnie. On cię zabije, zanim zdążysz dotrzeć na miejsce pojedynku.

**Margaret McPhee**

- Dziękuję za zaufanie w moje możliwości - odparł, unosząc brew.

- Nie o to chodzi. Stephen to człowiek bez honoru. Nie przejmuje się regułami i nie respektuje umów.

Jeżeli chce, żebyś zginął, to zginiesz, choćbyś był najlepszym strzelcem na świecie.

- Mimo wszystko wyzwę go. - Guy poczuł, że chce to zrobić nie tylko ze względu na Helenę.

- To kompletne szaleństwo! Nie możesz mieć najmniejszej nadziei na wygraną.

- Mogę i mam - odpowiedział bez cienia wahania w głosie. Patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, jakby go nie poznawała.

- Dlaczego? - zapytała.

Wzruszył lekko ramionami, bo nie chciał zdradzić się z emocjami, jakie budził w nim Tayburn. Wróciły mroczne wspomnienia sprzed lat, kiedy spotkał człowieka bardzo podobnego do sir Stephena, których nie potrafił wymazać z pamięci. Zepchnięty w najciemniejsze zakamarki duszy dawny ból nagle ożył i dał o sobie znać.

- Dlaczego miałbyś wyzywać go na pojedynek? Z powodu uprowadzenia mojej siostry? Nie znasz jej przecież. Ona nic dla ciebie nie znaczy.

- Ale ty znasz - odrzekł. - Nawet gdyby twój ojciec i siostra byli bezpieczni, to i tak rzuciłbym mu wyzwanie.

To była prawda. Wiedział doskonale, jakich spustoszeń potrafi dokonać taki człowiek jak Tayburn, i wystarczyło, by spojrzał w twarz Heleny i dostrzegł głębię jej cierpienia, by natychmiast podjął decyzję, że musi go powstrzymać.

Patrzyli sobie w oczy z bezmierną czułością, w końcu to ona odwróciła wzrok.

## Ucieczka Heleny

161

- Czy chcesz do końca życia oglądać się za siebie w obawie, **ie** on znów cię dopadnie? Teraz jesteś ze mną i postaram się, **by** Tayburn się o tym dowiedział. Jeżeli ma jakiegokolwiek pretensje, będzie je musiał rozstrzygnąć w pojedynku. - Na twarzy Guya malowała się determinacja. Stało się jasne, że nic nie zdoła go odwieść od raz podjętej decyzji.

- Zaryzykujesz życie dla mojej siostry i dla mnie? Przecież nie jesteś nam nic winien.

- Czyżbyś już zapomniała o mojej propozycji, Heleno? Zaoferowałem opiekę tobie i twojej rodzinie. W migoczącym świetle ustawionych na stole świec jej oczy wydawały się bardzo ciemne i aksamitne.

- Pamiętam. - Przygryzła wargę. - Ale nie sądziłam...

Spoglądali na siebie w milczeniu przez kilka chwil, wreszcie dziewczyna pochyliła się ku niemu, a jej policzki zalał rumieniec.

- Heleno - odezwał się nieco ochrypłym głosem. Pożyczona nocna koszula rozchyliła się lekko i odsłoniła kremową skórę. Czuł słodki, cudowny zapach jej ciała. Pragnął jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Chciał dać jej ulgę i pocieszenie, których sam tak często szukał w fizycznym zbliżeniu. Zdawał sobie jednak sprawę, że to nie w porządku. Wziął w karby pożądanie. Przeczesał włosy palcami. Helena zgodziła się zostać jego kochanką, ale przecież była przez lata tyranizowana przez potwora i dopiero co dowiedziała się o śmierci ojca i uprowadzeniu siostry. Musiałby być barbarzyńcą, żeby wziąć ją w tej sytuacji do łóżka. Z trudem oderwał od niej spojrzenie i wstał.

- Guy. - Położyła rękę na jego rękawie. Dostrzegł w jej oczach wdzięczność.

Wyciągnął rękę i pogładził kciukiem jej policzek. Odczu-

**Margaret McPhee**

wal ogromną pokusę, by ją pocałować, dotknąć, pokazać jej, jak może być między mężczyzną a kobietą. Ale to nie była odpowiednia chwila. Pragnął jej, ale nie chciał, by oddała mu się z wdzięczności. Cofnął rękę, dopóki mógł jeszcze nad sobą zapanować.

Objął ją głodnym spojrzeniem. Widziała, że jego twarz wyraża pożądanie, ale dostrzegła również coś więcej. Nie było w nim zwierzęcej żądzy Stephena; oczy Guya były jasne i czyste, podczas gdy w oczach Tayburna widywała wyłącznie mrok i posępność. Helena nie miała wątpliwości, że lord Va-rington jej pragnął, a jednak nie zrobił nic, by ją posiadać. Wyglądało na to, że zamierzał odejść i spędzić tę noc w swoim pokoju. Jakby nadal była kobietą godną szacunku. Jakby mu na niej zależało. Chciał zaryzykować własne życie dla niej i jej siostry. Poczula dziwną czułość, która wypełniła jej serce.

- Dobranoc, Heleno - powiedział, wstając, i uśmiechnął się tak, że zaparło jej dech w piersiach.

Gdy się podniosła, sięgała zaledwie czubkiem głowy do jego podbródka. Wielu osobom mogła spoglądać prosto w oczy, ale nie jemu. Był wysoki, silny i miał poczucie przyzwoitości. Od bardzo, bardzo dawna żaden mężczyzna nie okazał jej tyle dobroci.

- Dziękuję - wyszeptała, po czym uniosła głowę i musnęła wargami jego szczękę.

Miał to być w zamysle pocałunek wdzięczności za wszystko, co dla niej zrobił, pocałunek przyjacielski. Jej wargi dotknęły leciutko skóry mężczyzny, niemal jak oddech dziecka, a jednak w obojgu obudziło to tak gwałtowne pożądanie, że wszystko inne przestało się liczyć. Krew krążąca w jej żyłach zmieniła się w żywy ogień, a w dole brzucha zaczęła narastać namiętność, która groziła wybuchem. Widziała w jego

## Ucieczka Heleny

163

oczach odbicie własnego pragnienia, źrenice Guya rozszerzyły się gwałtownie.

Pochylił głowę i jego długie rzęsy połaskotały policzek Heleny, a oddech musnął szyję. Któreś z nich wydało cichy pomruk. Odchyliła głowę do tyłu, czując, że jej delikatna skóra płonie w oczekiwaniu.

Kiedy wreszcie poczuła dotyk jego ust, westchnęła z ulgą. Wygłodniałe wargi mężczyzny przylgnęły do jej szyi i zaczęły pomału przesuwając się w górę, do ust.

- Guy - szepnęła cichutko.

Uciszyły ją jego wargi. Namiętność narastała. Zapach Guya, ciepło promieniujące z jego ciała, jego bliskość zaprowadziły ją w rejony, których dotychczas nie знаła. Wsunęła palce w czarne, potargane włosy. Całował ją tak, jak nikt dotychczas, jakby chciał wcisnąć się jakąś częścią siebie w głąb jej ciała i pozostać tam na zawsze. Przesuwała palcami po jego twarzy, po szorstkim zarostcie, jakby chciała nauczyć się tych rysów na pamięć. Był dla niej jak świeże powietrze dla człowieka, który się dusi.

Guy gładził jej włosy, pieścił plecy i przytulał do siebie tak mocno, że piersi Heleny przylgnęły do jego torsu. I ani na moment nie przerywał namiętnego pocałunku, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczyła. Zsunął ręce w dół, objął jej krągłe pośladki i uniósł ją do góry tak, że przez ubranie poczuła jego podniecenie. Zarzuciła mu ręce na szyję, jakby chciała, by ich ciała stopiły się w jedno.

W tym momencie zza okna dobiegł huk wystrzałów i odgłosy eksplozji. Guy znieruchomiał, zeszywniał. Obudził się w nim instynkt żołnierza. Postawił ją na podłodze, szybko podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał zza firanki, pozostając niewidocznym dla ewentualnego obserwatora z zewnątrz. Na ciemnym nocnym niebie rozbłysła nagle feeria kolorów.

**Margaret McPhee**

- Fajerwerki. - Leciutko zaciągnął firankę i już był znowu przy Helenie.

Tu, w zacisznym pokoju hotelowym również rozbłyskiwały fajerwerki. Usta dziewczyny były obrzmiałe od namiętnych pocałunków. Stała całkiem skołowana, nie wiedząc, co o tym myśleć. Pragnęła znów znaleźć się w jego ciepłych, silnych ramionach, poszukać zapomnienia w dotyku jego warg, które potrafiły usunąć spod jej powiek obraz spalonego domu i twarze bliskich, ale coś ją powstrzymywało. Stephen wyzywał ją od dziwek, choć przecież tylko biernie pozwalała mu się dotykać. Ale ten mężczyzna był inny. Jednym pocałunkiem zdołał obudzić w niej coś, czego istnienia nawet nie podejrzewała. Obudził w niej jednak również zasianą przez Tayburna trwożę, że jest ladacnicą, bo przecież pragnęła, by Guy nie przestawał. Chciała, by rzucił ją na łóżko i kochał się z nią. Obawa i poczucie winy przyćmiły namiętność. Bez trudu odczytał zmieniający się wyraz twarzy Heleny, zanim zdołała znowu ukryć twarz pod maską. Nie zrobiła najmniejszego ruchu, by go odrzucić. Po prostu stała i czekała. Krew nadal szybko krążyła w żyłach Guya i marzył tylko o tym, by zedrzyć z niej tę obszerną koszulę, ułożyć dziewczynę na łóżku i kochać się z nią. Pragnął jej z taką siłą, że nie przypuszczał nawet, iż może tak straszliwie pożądać kobiety. Pożądał jej aż do bólu. Zaczął nawijać sobie na palce pukiel jedwabistych loków opadających na koszulę i jego dłoń musnęła przez bawełnianą tkaninę twarde pączki jej piersi. Ich spojrzenia się spotkały. Wiedział, że Helena mu nie odmówi. Zawarli przecież umowę. Zgodziła się zostać jego kochanką w zamian za opiekę. Miał pełne prawo do jej ciała. Pragnął jej. Stała nieruchomo, pozwalając, by ją dotykał. Przysunął się. Rozchyliła wargi.



## Ucieczka Heleny

165

Zatrzepotała powiekami, kiedy zbliżył do niej twarz. Z żelazną samokontrolą ograniczył się jednak do złożenia niewinnego pocałunku na jej czole.

- Dobranoc, Heleno.

Natychmiast otworzyła oczy i spojrzała na niego ze zdumieniem. Zmierzał już w stronę drzwi łączących ich pokoje.

- Guy - wyszeptała, a w jej głosie brzmiała ulga połączona z rozczarowaniem.

Odwrócił się i posłał jej najbardziej zabójczy ze swych uśmiechów.

- Śpij dobrze - powiedział i zniknął w swoim pokoju, gdzie czekało na niego własne łóżko... Szybko zamknął za sobą drzwi, zanim postanowienie osłabło. Helena McGregor zgodziła się zostać jego kochanką, ale widział w jej oczach wdzięczność i strach. A on zamierzał ją przekonać, że nie jest Tayburnem, choćby to oznaczało konieczność wyrzeczenia się rozkoszy.

Następnego dnia Helena i lord Varington opuścili gospodę w Ayr bardzo wcześnie i ruszyli na północ drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża. Dzień był pogodny i poranny szron iskrzył się w promieniach słońca. Nasiąkniętą deszczem ziemię ścisnął w nocy mróz, a odcisnięte w błocie ślady stóp i końskich kopyt zastygły w dziwaczną płaskorzeźbę, która miała przetrwać tylko do najbliższej odwilży. Owce, których długa, nie strzyżona wełna była zabrudzona błotem, zdawały się całkiem obojętne na dotkliwe zimno i rytmicznie poruszały pyskami, przeżuując strawę, i popatrywały podejrzliwie owalnymi ślepiami. Głębokie kałuże na drodze zmieniły się w lodowiska, kruszone kołami przejeżdżających wozów. Na polach widniały wypalone kręgi po ogniskach. Poczerniałe trawy przypomi-

**Margaret McPhee**

nały Helenie o zgliszczach jej rodzinnego domu. Przytłaczający ciężar legł na sercu.

Siedziała nieruchomo. Guy dopilnował, by miała pod stopami gorącą cegłę, a na kolanach ciepły pled.

Nie czuła jednak ani mroźnego powietrza, ani ciepła cegły. Uczuciem, które zdominowało wszystkie inne, był potworny ból serca i poczucie straty.

- Daję pensa - głęboki, melodyjny głos męczyzny wyrwał ją z zamyślenia.

Oderwała wzrok od okna i spojrzała niepewnie na swego towarzysza. Nie dotarły do niej jego słowa, a nie chciała się przyznać, że nie słucha, co mówił.

- Pensa za twoje myśli - powtórzył. - Odpłynęłaś ode mnie gdzieś daleko.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła zdradzić mu, o czym myślała: że trzy osoby zginęły, a jedna została porwana tylko dlatego, że ona postanowiła opuścić Stephena. Do tych wszystkich nieszczęść doszło wyłącznie z jej winy. I ta świadomość sprawiała jej ból nie do zniesienia. Miała nadzieję, że jej twarz nie zdradziła dręczących ją refleksji.

- Myślałam o tym, jaka dziś piękna pogoda.

Lord Varington zajrzał jej głęboko w oczy i dziewczyna uświadomiła sobie, że ani trochę nie uwierzył w jej wyjaśnienia. Odwróciła wzrok zmieszana. Niemal rozpaczliwie wbiła spojrzenie w zimowy krajobraz za oknem.

- Heleno - powiedział cicho.

Czuła na sobie jego gorące spojrzenie tak namacalnie, jakby jej dotknął, choć nawet się nie poruszył. W końcu nie mogła już dłużej tego znieść i podniosła na niego wzrok. W ostrych promieniach słońca jego skóra wydawała się świeżo biała, a czarne włosy nabrały niemal błękitnego połysku; wyglądał

## Ucieczka Heleny

167

nierealnie, jak nieziemska zjawia. Okolone czarnymi rzęsami czyste i błękitne jak lód oczy zdawały się zaglądać wprost do jej duszy.

Rumieńce wypłynęły na jej policzki.

- Nic mi nie jest - odparła, modląc się, by wreszcie przestał tak na nią patrzeć!

- Nie wydaje mi się, żeby to była prawda. Przygryzła dolną wargę.

- Odzyskamy twoją siostrę i to niedługo. Kiwnęła tylko głową w obawie, że głos ją zawiedzie.

- A Tayburn zapłaci za wszystko własnym życiem. Bardziej prawdopodobne, że Stephen zniszczy również

i Guya, pomyślała. I nagle przyszło załamanie. Helena nie była już w stanie dłużej walczyć z rozpaczą i trwogą. Po jej policzkach zaczęły się powoli toczyć łzy.

Lord Varington westchnął i przesiadł się na siedzenie obok niej. Przytulił ją do siebie i szeptał kojąco do ucha:

- Nie płacz. Przysięgam, że on cię już nigdy więcej nie skrzywdzi.

- On cię zabije - powiedziała cicho, oddychając urywanie.

- Poczula we włosach rękę Guya, który gładził ją uspokajająco.

- Nie, Heleno, nie zabije mnie. - W jego oczach była tak niewzruszona pewność, że niemal mu uwierzyła, choć tak dobrze знаła Stephena.

- Wszystko przeze mnie - wyszeptała. - Tata, Emma, Agnes, stary Tam... - Zmusiła się, by patrzeć mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku. - Gdybym nie uciekła, oni wszyscy byliby bezpieczni.

- Nie powinnaś się winić, Heleno.

**Margaret McPhee**

- Nawet jeśli jestem winna?

- Nie! - Przytrzymał jej brodę, żeby nie odwróciła się od niego. - Jesteś ofiarą Tayburna, tak jak oni wszyscy. Do licha, przez pięć długich lat byłaś z tym potworem, żeby chronić swoją rodzinę. Nie masz powodu czuć się winna.

Ból był tak straszny, jakby ktoś rozdzierał jej duszę na strzępy.

- Wszystko na nic. Pięć lat ze Stephenem, a potem mój ojciec zostaje zamordowany, a siostra trafia w ręce oprawcy! - Helena rozszlochała się rozpaczliwie.

Guy posadził ją sobie na kolanach i mocno przytulił. Kołysał ją i gładził, jakby była małym dzieckiem.

- Kochanie - szeptał i trzymał ją w ramionach, dopóki nie wypłakała wszystkich łez, dopóki jej oczy nie wyschły. Pocałował ją z ciepłą czułością. Westchnęła i wyrzuciła z siebie myśli

o Stephenie, ojcu i Emmie. Topniała pod delikatnym naciskiem jego ust, zapominała o całym świecie.

Położyła otwarte dłonie na jego piersi i poczuła mocne, spokojne uderzenia serca. Ich wargi wydawały się stworzone dla siebie, pocałunek mógł trwać do końca świata. Liczył się tylko Guy, istniał tylko on.

Mimo mroźnego dnia w karecie zrobiło się niemal gorąco.

Kiedy odsunął się wreszcie i spojrzął na Helenę z czułością, poczuła, że jest stracona.

Podniósł pled podróżny, który zsunął się na podłogę,

1 otulił nim jej kolana, a lewą ręką objął czule ramiona. Jego dotyk był delikatny, a jednak dawał ciepło, ukojenie i poczucie bezpieczeństwa. Ogarnął ją dziwny spokój, ból zelżał.

Przyjechali do hotelu Eglinton Arms w małym miasteczku Ardrossan, oddalonym o jakieś pięć mil od wioski Kilbride.

## Ucieczka Heleny

169

Przedstawiciela angielskiej arystokracji przyjęto w nim bardzo gościnnie. Mimo luksusowo urządzonej wewnątrz i doskonale wyszkolonego personelu Helena poczuła się niekomfortowo, kiedy maitre d'hotel został poinformowany o tym, że nie jest żoną lorda Varingtona i podróżuje bez służącej. Wyjaśnienie, że lokaj wicehrabiego i pokojówka pani McLelland zostali w tyle, skwitował lekkim uniesieniem brwi. Dziewczyna doskonale rozumiała, dlaczego Guy, który niespełna tydzień temu był mile widzianym gościem w Seamill Hall, tym razem wolał zatrzymać się w hotelu. Zapewne zostałby i teraz powitany w domu Weirów z entuzjazmem, nie mógł jednak zjawić się u przyjaciół z kochanką.

Zdecydował, by podano im posiłek w apartamencie. Zauważył, że większość stałych bywalców płci męskiej nie mogła oderwać oczu od Heleny. Nic dziwnego, zważywszy na jej uderzającą urodę. W nowej, zielonej sukni podróżnej, obramowanym futrem płaszczu z mufką, które wicehrabia Varington sprawił jej w Ayr, bardzo rzucała się w oczy. On zaś miał powody, by ich obecność w tych stronach nie nabrała rozgłosu.

Szkocki bulion rozgrzał ich. Helena nie miała apetytu, ale wiedziała, że musi mieć dużo siły, by sprostać temu, co ją czekało. Pomimo wiary Guya we własne siły nie pozbyła się obaw. W przeciwieństwie do niego znała Stephena. Jak nikt inny wiedziała, do czego ten człowiek jest zdolny. I martwiła się, że wicehrabia nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, na co się naraził, oferując jej pomoc.

- Skończ już, Heleno. Potem pojedę odwiedzić Weira i Annabel.

Odwróciła twarz, a na jej policzki wypłynął rumieniec zażenowania.

**Margaret McPhee**

- Heleno. - Przechylił się przez stół i nakrył dłonią jej rękę. - Wiesz, dlaczego nie zabieram cię ze sobą, prawda?

Zmusiła się, by dumnie podnieść głowę i spojrzeć mu prosto w oczy.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Nie spodziewam się, bym była mile widzianym gościem w jakimkolwiek porządnym domu - oświadczyła. - To całkiem zrozumiałe...

- Heleno... - zaczął mówić niskim głosem, ale nie dała sobie przerwać.

- Zresztą nie chciałabym wprawiać państwa Weirów w zakłopotanie.

- Nie zabieram cię ze sobą ze względu na twoje bezpieczeństwo.

- Jak już mówiłam, nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Heleno - powtórzył z lekkim zniecierpliwieniem, ujmując jej obie dłonie. - Tayburn lub jego ludzie mogą znajdować się w Kilbride lub w okolicy. Z tego co wiemy, mógł dowiedzieć się o twoim pobycie w Seamill Hall. I dlatego bezpieczniej będzie, jeśli na razie pozostaniesz w hotelu.

Poblądła i odwróciła wzrok.

- Wybacz, myślałam...

- Nie wstydzę się ciebie. Nigdy tak nie myśl. - Uścisnął jej lekko palce. - Może jednak powinienem zabrać cię ze sobą do Seamill Hall, żeby ci to udowodnić.

Uśmiechnęła się.

- Więc jak? Pojedziesz ze mną?

- Nie - odrzekła, wybuchając śmiechem.

- Dlaczego nie?

- Wiesz dlaczego - odparła. - Droczysz się ze mną.

- Tak? - zapytał z uśmiechem niewiniątka.

## Ucieczka Heleny

171

- Guy!

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Prychnęła z rozdrażnieniem.

- Bo jestem twoją kochanką.

- Szczęściarz ze mnie, prawda? - Pociemniałym oczami popatrzył znacząco na jej wargi. - Prawdziwy szczęściarz.

Nakrycia zostały pospiesznie odstawione na tacę, która wylądowała na podłodze pod drzwiami. Wrócił do niej natychmiast, niemal jednym susem.

Zanim jednak zdążył ją złapać, Helena zerwała się z krzesła i zaczęła się cofać w stronę okna. Serce waliło jej mocno, a w dole brzucha czuła wilgotne ciepło.

- Guy, mamy dużo spraw do omówienia.

Jego uśmiech był teraz zdecydowanie łobuzerski.

- To prawda, dużo. Ale wszystkie mogą poczekać. Wiedziała, że nie powinna mu odmawiać. Był przecież jej

opiekunem w każdym tego słowa znaczeniu. Zbliżył się do niej.

Zrobiła unik w lewo i obróciła się. Teraz to on stał tyłem do okna, a zwrócona twarzą do niego Helena miała za plecami łóżko i drzwi. Przesunął spojrzeniem po jej sylwetce i zaczął się do niej zbliżać zdecydowanym krokiem.

Nie mogło być wątpliwości co do jego intencji. Pisnęła, a że jej drogę odwrotu blokowała z jednej strony potężna sylwetka Guya, a z drugiej masywne, podwójne łożo, błyskawicznie podjęła decyzję i postanowiła uciekać przez miękki mebel. Długa suknia zdecydowanie przeszkadzała jej wskoczyć na sprężysty materac, więc podciągnęła ją do góry, choć to zdecydowanie nie przystoi damie. Była już niemal po drugiej stronie łóżka, gdy coś zacisnęło się wokół jej kostki i została pociągnięta do tyłu.

**Margaret McPhee**

Helena krzyknęła zaskoczona. Po chwili leżała przewrócona na łóżko i przygwożdżona męskim ciałem.

- Prawie ci się udało, ale nie byłaś dość szybka - stwierdził wicehrabia z wyraźnym rozbawieniem.

Zauważyła, że nie leżał na niej całym ciężarem, tylko opierał się na łokciach i kolanach. Nie należała do kruchych kobietek, ale muskularny Guy, pomimo smukłej budowy, byłby dla niej zbyt ciężki. Jego oczy pociemniały z pożądania. Zdawała sobie sprawę, że jeśli ją pocałuje, to nie będzie mowy o oporze, a przecież naprawdę należało ustalić pewne sprawy.

- Guy... - Próbowała odwrócić jego myśli od tego, na czym, jak wiedziała, były skoncentrowane. - Guy, posłuchaj mnie.

- Słucham - mruknął, zbliżając twarz do jej twarzy.

- Będziesz uważał w Kilbride, prawda? Jeśli on się dowiedział, że byłam w Seamill Hall...

Lekki uśmiech zniknął z ust lorda Varingtona. Spojrzenie jasnych oczu rozpałiło w niej ogień namiętności.

- Nie martw się. Ostrzegę Weirów przed Tayburnem. Drgnęła na sam dźwięk tego nazwiska.

- Przyznajesz więc, że to bardzo niebezpieczny człowiek?

- Nigdy tego nie kwestionowałem - mruknął leniwym tonem. - Ale nie tak niebezpieczny jak ja - dodał z uśmiechem i pochylił się, dotykając niemal jej twarzy. Gdy mówił, czuła jego ciepły oddech na policzku i muśnięcia warg na skórze.

Leciutko przesuwając palcami od zagłębienia szyi, wzdłuż dekoltu sukni ku miękkim wypukłościom piersi. Przeszył go dreszcz, gdy rozpinał jej suknię i zsuwał najpierw miękką zieloną wełnę, a potem warstwy delikatnej bielizny. Jeszcze nigdy nie czuł takiego pragnienia, nawet w czasach, gdy był nie



## Ucieczka Heleny

173

doświadczonym żółtodziobem. Wreszcie odstłonił pełne piersi Heleny i wpatrywał się w nie z zachwytem.

- Jesteś piękna - szepnął, obejmując ją ramionami.

Była gładsza niż jedwab, delikatniejsza niż aksamit, rozkoszował się dotykaniem jej ciała. Pod wpływem jego pieczyoty brodawki jej piersi stwardniały, napierając na jego dłoń.

- Kochanie - wymamrotał i zastąpił rękę ustami.

Boże, jakaż była słodka! Pragnął jej, pożył jej tak desperacko, jak jeszcze nigdy żadnej innej kobiety. Zaczął ssać twarde, różowy pączek i usłyszał jej cichutkie westchnienia.

- Heleno... - Podniósł głowę i zajrzał w jej zielone, pociemniałe z namiętności oczy. - Chcę się z tobą kochać.

Nie broniała się.

Muskał palcami jej piersi, unosząc się, by dotknąć wargami ust.

- To twoje prawo - odezwała się. Guy zamarł.

- Moje prawo? - Na myśl, że robiła to z obowiązku, jak przedtem z Tayburnem, zmobilizował wszystkie siły, by wziąć w karby pożądanie. Delikatnie przeciągnął palcem po wrażliwej skórze poniżej jej ucha. -

Czy chcesz, żebym kontynuował?

Nie odpowiedziała.

Palce znieruchomiały, całe ciało mężczyzny stężało.

- Czy naprawdę starałaś się przede mną uciec przez łóżko, Heleno?

Serce jej waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Wiedziała, co powinna odpowiedzieć szanująca się dama. Ale ona nie była już przecież kobietą godną szacunku.

- Zawarliśmy umowę. Nie zamierzam zrywać jej warunków - odrzekła.

**Margaret McPhee**

- Nie o to cię pytałem - powiedział.

Cisnęły jej się na usta słowa „nie przestawaj” ale duma nie pozwoliła jej wypowiedzieć ich na głos, bo stanowiłyby potwierdzenie, iż naprawdę była rozpustnicą.

Cisza aż dzwoniła w uszach. Guy musnął ustami jej wargi w lekkim pocałunku, potem materac zakołysał się pod nim i już go nie było.

- Muszę porozmawiać z maitre d'hotel - rzekł. - Zaraz wracam.

Na jego twarzy nadal malował się leniwy uśmiech, ale Helenie wydawało się, że dostrzegła pod nim coś innego. Zamknęła oczy i leżała bez ruchu, dopóki nie usłyszała, że za lordem Yarringtonem zamykają się drzwi.

## Rozdział jedenasty

Helena nie towarzyszyła Guyowi do Seamill Hall. Zostawił powóz w zajeździe, wolał pojechać konno. W połowie drogi do Kilbride rozejrzał się i zjechał z traktu na plażę, by resztę dystansu pokonać po twardym piasku. Dopiero gdy zbliżył się do hangaru na łodzie w posiadłości Weira, zwolnił i jechał truchtem wzdłuż ściany rozpadającej się budowli, a potem w górę, po obrośniętej po obu stronach jeżynami ścieżce, którą poprzednio szedł z Heleną. Wreszcie podjechał do stajni na tyłach Seamill Hall, zostawił wierzchowca pod opieką zaskoczonych chłopca stajennego i wystraszył pomywaczkę, pojawiając się niespodziewanie w tylnych drzwiach domu. Dotarłszy do salonu, nie musiał długo czekać na gospodarza.

- Varington! - Weir wpadł jak burza i serdecznie uścisnął rękę przyjaciela. - Wszystko w porządku?

Wróciłeś tak szybko. Brown twierdzi, że wszedłeś tylnym wejściem.

- Pokłusowałem sobie konno brzegiem morza, więc bliżej mi było do tylnego wejścia. - Guy uśmiechnął się, unikając odpowiedzi na pytanie.

- Siadaj. Whisky?

**Margaret McPhee**

- Z największą przyjemnością. A co u ciebie i Annabel? Wszystko w porządku?

- Tak, tak - zawołał John z lekkim zniecierpliwieniem. -W idealnym porządku. Ale co się stało? Z pewnością nie wracasz z Londynu, prawda? - Jasnozłoty płyn wypełnił dwie szklaneczki, z których jedna została bezceremonialnie popchnięta w stronę wicehrabiego.

Opróżnił ją jednym haustem, po czym westchnął z głęboką satysfakcją i wyciągnął się w fotelu.

- Ależ to dobre! Nic dziwnego, że wy, Szkoci, nazwaliście ten trunek *uisage bthea* czyli wodą życia.

John wiedział, że nie należy naciskać Guya. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że przyjaciel udzieli wyjaśnień dopiero wtedy, kiedy sam uzna to za stosowne.

- Miałeś może ostatnio jakichś interesujących gości? - Pytanie zostało zadane lekkim tonem, który nie odzwierciedlał prawdziwych uczuć lorda Varingtona.

Weira olśniło.

- O rany! Czyżby Tayburn próbował cię dopaść?

- Więc był tutaj? - zapytał Guy, podsuwając gospodarzowi pustą szklaneczkę do napełnienia.

- Był, a jakże. Przyjechał nazajutrz po waszym wyjeździe... szukał swojej przyjaciółki.

- Bardzo interesujące - w głosie wicehrabiego pojawiła się ostrzejsza nuta.

- A nie mówiłem, że ta kobieta to nic dobrego? Pomyśleć tylko, że pozwoliłem jej mieszkać pod moim dachem, rozmawiać z moją żoną i dziećmi. To kochanka diabła!

- Już nie.

- Wielki Boże! Ty chyba nie... Nie mogłeś... Nawet ty nie możesz być tak zuchwały!

## Ucieczka Heleny

177

Guy siedział z nieprzeniknioną miną. Nie zamierzał zdradzać Weirowi prawdziwego charakteru stosunków łączących go z Heleną. Niech myśli sobie, co chce.

- Owszem, zapowiadałeś, że ją uwiedziesz, ale to było, zanim dowiedzieliśmy się, kim ona jest. Może nie słyszałeś o sir Stephenie Tayburnie, ale zapewniam cię, że w tych stronach cieszy się jak najgorszą sławą.

- Słyszałem o nim. - Lord Varington poczuł wstręt na samą myśl o tym nikczemniku.

- W takim razie zdajesz sobie sprawę, że nie jest to człowiek, z którym należy zadzierać. Boże, to wcielony diabeł! Zupełnie serio ostrzegam cię, że jeśli wzięłaś tę kobietę, to wydałeś na siebie wyrok śmierci.

Wicehrabia uniósł brew.

- Dałeś się ponieść wyobraźni, Weir. Nie powiedziałem, że udało mi się ją uwieść. - Stała mu przed oczami Helena szlochająca w jego ramionach po katastrofie karety. I potem, kiedy stała na pogorzelisku swego domu z twarzą poszarzałą jak popiół. To było dalekie od myśli o uwiedzeniu.

- Ale udało ci się, prawda? Guy roześmiał się z przymusem.

- Żaden dżentelmen nie odpowiedziałby na takie pytanie.

- Powiedziałeś jednak, że ta kobieta nie jest już kochanką Tayburna. Jest więc twoją?

- Przyznaję, że znajduje się pod moją opieką.

- Do licha, powiedz mi wreszcie całą prawdę - poprosił John, pocierając w zdenerwowaniu czoło. - Nie wróciłbyś tutaj i nie siedziałbyś teraz w moim salonie, gdybyś nie miał po temu bardzo poważnych powodów. Podobnie jak... - prychnął wymowne - ..nie zniżyłbyś się do korzystania z tylnego wejścia.

**Margaret McPhee**

- Nie mogłem mieć pewności, czy Tayburn nie kazał obserwować domu.

- Ponieważ wciąż pozostajesz przy życiu, rozumiem, że cię nie dopadł. - Weir uważniej przyjrzał się twarzy Guya i dostrzegł świeżo zagojone rozcięcie z boku twarzy. - A może jednak tak?

- A więc ruszył w ślad za nami? John kiwnął głową.

- Kiedy?

- Następnego dnia po wizycie w Seamill Hall. Sir Stephen jest właścicielem domu w Brigurd Point.

Trzyma tam cztero-konny zaprzęg. Najwidoczniej przywiózł ze sobą z St Vey żonę, bo widziano ich razem w powozie. Pędzili, jakby goniło ich stado diabłów. Od tego czasu nikt go nie widział. Hunter ma posiadłość w Hunterston. Widzi wszystko, co się dzieje w okolicy i nic nie umknie jego uwagi.

Rozmawiałem z nim wczoraj. Łódź Tayburna nadal stoi przycumowana w Brigurd Point, co oznacza, że on sam przebywa na stałym lądzie. Gdyby wrócił na wyspę, łódź byłaby po drugiej stronie przesmyku. Jeśli chodzi o podróżującą z tobą damę, to znał jej tożsamość, choć próbowałem wprowadzić go w błąd.

- Rozprawię się z Tayburnem.

Weir nalał whisky do szklaneczek i jedną z nich wcisnął w dłoń przyjaciela.

- Oby ci się udało.

- Nie ma co do tego dyskusji - rzekł Guy lekkim tonem, choć w jego oczach pojawił się zimny, stalowy błysk.

John popatrzył na niego podejrzliwie i na jego twarzy odmalowała się lekka obawa.

- Nie podobają mi się twoje słowa.

- Nie musisz słuchać - odparł tamten po prostu.

## Ucieczka Heleny

179

- Do licha, Yarrington, nie będę stał z boku i przyglądał się beczynnemu, jak stajesz do walki z Tayburnem z powodu kobiety, z którą sypiasz.

Wicehrabia spojrział Weirowi prosto w oczy.

- On uprowadził z zemsty jej najmłodszą siostrę.

- Dobry Boże!

- Nie pozwolę mu zaszczyć Heleny i nie zostawię jej siostry na jego łasce.

- Czy można wiedzieć, co zamierzasz? - zapytał John, wpatrując się w kompana okrągłymi ze zdumienia oczami.

Guy się uśmiechnął.

- Oczywiście, stary. Zamierzałem wyzwać go na pojedynek. Skoro jednak Tayburn jest w drodze do Londynu, a nie w swojej twierdzy, to otwierają się przede mną całkiem nowe, nader interesujące możliwości.

Weir zacisnął powieki, niemal skulił się z obawy przed tym, co zaraz usłyszy.

- Mam paskudne podejrzenia, że wiem, w jakim kierunku biegną twoje myśli. Błagam, powiedz, że się mylę.

Wicehrabia uśmiechnął się szerzej.

- Jak daleko stąd na wyspę Tayburna?

- Yarrington, chyba nie zamierzasz tego zrobić!

- Zamierzam, Weir. I zrobię. Porozmawiajmy więc o szczegółach wyprawy.

Kiedy wyczerpali temat, John zdążył już osuszyć swoją szklaneczkę whisky i siedział pozieleniały, jakby zaraz miał zwymiotować.

- Boże, żałuję, że spotkałeś na swojej drodze tę okropną kobietę. Pozwól mi sobie towarzyszyć.

- Nie. Przykro mi, że wplątałem w to ciebie i Annabel. Wolałbym, żebyście nie mieli z tą sprawą nic wspólnego. Nie mu-



**Margaret McPhee**

szę ci chyba mówić, że powinienes uważać na siebie i swoją rodzinę, kiedy Tayburn wróci. Weir ponuro kiwnął głową.

- Poza tym muszę cię prosić jeszcze o jedną przysługę. To ci się nie spodoba.
- Lepiej powiedz od razu, o co ci chodzi.
- Chcę zostawić tutaj Helenę, kiedy popłynę na St Vey. Wiem, że zapewnisz jej bezpieczeństwo.
- Miałeś rację, to mi się wcale nie podoba.
- Ale zrobisz to dla mnie, prawda? - zapytał Guy. Przyjaciel kiwnął głową.
- Zaciągasz u mnie dług wdzięczności, Yarrington. Wielki jak góra.
- Nie zapomnę - zapewnił wicehrabia poważnie i dopił swoją whisky.

Helena stała przy oknie swojego pokoju, kiedy Guy wjechał konno na dziedziniec hotelu Eglinton Arms. Był świetnym jeźdźcem, zresztą we wszystkim, co robił, był znakomity. Słońce schowało się za chmury i jego ciemna sylwetka w doskonale skrojonym fraku ostro rysowała się na de jasnoszarego, niemal białego nieba. W eleganckim granatowym ubraniu, cylindrze i modnie zawiązanym krawacie wydawał się nie na miejscu w zapyziałym szkockim miasteczku. Cofnęła się, gdy wjeżdżał w kamienną bramę, jednak nie dość szybko. Uniósł przystojną twarz, spostrzegł ją i skłonił się z uśmiechem. Puls Heleny przyspieszył na ten widok, jakby znów poczuła jego gorący oddech na swej nagiej piersi. Zwróciła twarz ku drzwiom i mocno zacisnęła ręce na oparciu krzesła ustawionego przy kominku. Od strony schodów zbliżały się kroki. Poczuła skurcz żołądka. Próbowwała sobie wmówić, że to

## Ucieczka Heleny

181

ze względu na wieści o Stephenie, jakie Guy bez wątpienia przynosił. Wiedziała jednak, że był to tylko jeden z powodów. Drugim, do którego wołała się nie przyznawać nawet przed sobą, była reakcja jej ciała na samą jego obecność.

- Heleno - usłyszała jego głos poprzedzony pukaniem.

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Odetchnęła głęboko. W progu stanął lord Varington z lekkim uśmiechem na ustach. Z bliska prezentował się jeszcze lepiej niż z oddali. Był wręcz zabójczo piękny i dziewczyna aż drgnęła z wrażenia, tak silnie na nią działał. Boże, przecież prawie nie знаła tego człowieka! Opuściła oczy, żeby nie mógł wyczytać z nich prawdy, i cofnęła się w głąb pokoju, wpuszczając go do środka. Guy starannie zamknął za sobą drzwi. Instykt dyktował mu daleko posuniętą ostrożność, gdyż przez cały czas czuł za sobą złowieszczy cień Stephena.

- Mam nadzieję, że wizyta się udała?

- Całkiem nieźle - odparł. - Zastałem Johna i Annabel w dobrym zdrowiu.

Helena wróciła na poprzednie miejsce. Oparcie krzesła dawało jej złudne poczucie, że istnieje pomiędzy nimi jakaś bariera.

- Bardzo mnie to cieszy.

- Annabel pytała o ciebie.

Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- To ona nie wie? Stephen ich nie odnalazł? Może jednak uwierzył, że utonęłam na „Bonnie Lass”?

Przez twarz Guya przemknął wyraz współczucia. Natychmiast zrozumiała, że jej nadzieje są płonne.

- Niestety, nie. Tayburn wie zarówno o twoim pobycie w Seamill Hall, jak i o tym, że wyjechałaś ze mną.

Mimowolnie zakryła ręką usta w geście trwogi. Opanowała

**Margaret McPhee**

się jednak szybko i cofnęła ją, ale nie zdołała powstrzymać nagłego przyływu mdłości. Z całej siły zaciskała palce na oparciu krzesła. Odetchnęła głęboko i po chwili powiedziała spokojnym głosem:

- W takim razie jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Ojej, co za przykre odkrycie - rzekł Guy ironicznie.

- Jeszcze nie jest za późno, jeszcze możesz się z tego wyplątać. Jeśli teraz odejdziesz, Stephen dowie się tylko, że odwiozłeś mnie do Londynu. I może uzna to za przejaw twojej galanterii wobec kobiety.

- Zapomniałaś już, że przyjechałem tutaj wyzwać go na pojedynek?

- Jak mogłabym zapomnieć? - Popatrzyła na jego piękny profil. - Nie mogę jednak do tego dopuścić. - I dodała, jakby do siebie: - Zdam się na jego łaskę. Powiem mu, że po przyjeździe do Londynu odzyskałam zdrowy rozsądek i wróciłam do niego najszybciej, jak mogłam. Nie musi nic więcej o tobie wiedzieć.

- Tayburn nie wie, co to łaska. Poza tym... - Guy odwrócił twarz od paleniska i podszedł do Heleny - ...zawarliśmy umowę. Chyba że chcesz się wycofać, Heleno? Może moje towarzystwo jest ci wstrętne?

Potrząsnęła głową tak energicznie, że kosmyk włosów opadł jej na policzek.

- Dobrze wiesz, że nie - odparła cicho. - Ale on ma Emmę. - Potarła czoło, czując narastający ból głowy. - Mój ojciec, Agnes i stary Tam stracili życie. Jeśli nic nie zrobię, zginą kolejne osoby. Kilka istnień ludzkich w zamian za moją wolność. To zbyt wysoka cena. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nigdy bym nie uciekła, gdybym przewidziała skutki.

## Ucieczka Heleny

183

- Już to przerabialiśmy, Heleno. Nie zrobiłaś nic złego. Zresztą nie możesz już wrócić. Kości zostały rzucone.

Zmarszczyła czoło.

- Jeżeli do niego wrócę, to przynajmniej zmniejszę jego gniew skierowany przeciw państwu Weirom i...  
tobie.

- Z pewnością wiesz, że to nic nie da. Twoje poświęcenie nie będzie miało żadnego wpływu na plany Tayburna.

Tak mocno zacisnęła palce na oparciu krzesła, że pobieleły jej kłykcie. Ogarnął ją nagle piekielny chłód, a wraz z nim wrócił ból nie do zniesienia.

- Niech Bóg mi wybaczy to, co na was sprowadziłam. Lord Varington podszedł szybko do Heleny, stanął za nią

i nakrył jej zlodowaciałe palce ciepłymi, niosącymi pocieszenie dłońmi.

- Co robić? - Po raz pierwszy od pięciu pełnych koszmaru lat była naprawdę zagubiona. Co innego samemu znosić cierpienie, a co innego biernie patrzeć, jak inni cierpią z twojego powodu. - Co robić? - powtórzyła szeptem. Guy nie odpowiedział. Odwrócił ją tylko powoli ku sobie, nie wypuszczając z objęć, i uniósł jej głowę do góry. Zajrzał w jej pełne nieznośnej udręki oczy i odniosła wrażenie, że doskonale ją zrozumiał, że pojął, przez co przechodziła.

- Wiem, co on z nią robi i nie mogę tego znieść - powiedziała nabrzmiałym od cierpienia głosem.

- Heleno. - Cichy jak tchnienie szept wydał jej się kojący niczym pieszczota. - Niczego nie będziesz musiała znosić, bo powstrzymamy Tayburna. Podniosła wzrok. Dostrzegła w jego oczach całkowitą pewność. - Nic nie możemy zrobić, dopóki ma w rękach Emmę.

- W takim razie trzeba mu ją odebrać.

**Margaret McPhee**

- Jak? - Patrzyła na niego, jakby oszalał. - Trzyma ją w Dunleish.

Guy się uśmiechnął.

- Tayburna nie ma w domu. O ile wiem, zapragnął nagle wybrać się w podróż do Londynu. -

Sugestywnie uniósł w górę brew.

- Do Londynu? - Szerzej otworzyła oczy. - Ściga mnie!

- Sądzi, że ściga nas - poprawił ją. - Przecież wiedzieliśmy oboje, że tak będzie. Tak czy owak, zostawił twoją siostrę w Dunleish. Samą. To nader dla nas dogodne.

- Chyba nie zamierzasz... - Wpatrzyła się w jego twarz z niedowierzaniem. - Nie ośmieliłbyś się...

- To najprostsze rozwiązanie, najdroższa. Jutro będę z powrotem. Miejmy nadzieję, że przyprowadzę ze sobą twoją siostrę.

- Nie! - Złapała go za rękę. - To zbyt niebezpieczne!

- Jestem wzruszony twoją troską - mruknął, wpatrując się uwodzicielsko w jej usta.

- Wydaje ci się, że wejdiesz do Dunleish, zabierzesz Emmę i tak po prostu wyjdiesz?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł, tuląc ją w ramionach.

Zadrżała. Nie wiedziała tylko, czy przyczyną był jego dotyk, czy też świadomość szaleństwa, na które zamierzał się porwać.

- To obłąd.

Zbliżył usta do jej ucha, muskając ciepłym oddechem wrażliwą skórę jej szyi, i szepnął:

- Tayburn nie spodziewa się szaleństwa.

Musiła przyznać mu rację. Nikt zdrowy na umyśle nie wszedłby dobrowolnie do zamku Dunleish.

Przygryzła dolną

## Ucieczka Heleny

185

wargę. Poczła mrowienie skóry w miejscu, gdzie owionął ją delikatny oddech Guya.

- To najlepsza okazja, by ocalić twoją siostrę. Oczywiście miał rację, zakładając, że Emma nadal żyła.

- Nie podoba mi się ten plan, przyznaję jednak, że to lepsze, niż wyzwanie Stephena na pojedynek.

Postanowił nie prostować jej pomyłki. Przesunął koniuszkiem języka po jej szyi.

Helena wydała mimowolnie pomruk rozkoszy, ale była zdecydowana twardo trzymać się tematu rozmowy.

-Kiedy...?

Język Guya powędrował w górę, ku jej szczęce.

- Kiedy zamierzasz tam iść? - spróbowała znowu. Dotknął językiem jej ust i wargi dziewczyny natychmiast

się rozchyliły.

- O brzasku - szepnął.

Zadrzała, słysząc te słowa, ale zaraz objął jej usta wargami - rozkosznymi, głodnymi, gorącymi - i uciszył dalsze pytania.

Ci, którzy znali sir Stephena, twierdzili często, że diabeł potrafi dbać o swoich. Rzeczywiście, Tayburn posiadał niebywałą zdolność wychodzenia z najtrudniejszych tarapatów. Podróż do Londynu w pogoni za Heleną nie stanowiła wyjątku. Przypadkiem bowiem zatrzymał się na nocleg w tym samym zajeździe, w którym przed paroma dniami nocowała uciekinierka i Guy.

Stephen wyekspediował żonę do łóżka, a sam przesiedział wieczór w barze. Zajął dla siebie cały stół, ale nawet żaden z buńczucznych marynarzy nie odważył się na to sarknąć. Pomimo tłoku powstała wokół niego niewidzialna bariera, któ-

**Margaret McPhee**

rej nikt nie próbował naruszyć. Ludzie wyczuwali prawdziwą naturę białowłosego mężczyzny i mieli dość oleju w głowie, by się z nadto do niego nie zbliżać. Tayburn czerpał siłę z lęku, jaki malował się na twarzach otaczających go ludzi. Popijał spokojnie brandy, niespiesznie, by bywalcy baru oswoili się z jego obecnością - podobnie jak wilk, który zakrada się w sam środek stada owiec i usypia ich czujność pozornym spokojem, ukrywając prawdziwe intencje. I rzeczywiście, wkrótce znowu otoczył go gwar rozmów, a on pociągał z kieliszka i nadstawiał uszu. Na razie nie miał nic innego do roboty. Siedział dopóty, dopóki alkohol nie rozwiązał ludziom języków i nie uspił czujności. I wtedy pochwycił interesujące go słowa.

- Ta ruda, co ją miał ze sobą, to był smakowity kąsek, bez dwóch zdań. - Młody mężczyzna stał z brody pianę z piwa i dalej dzielił się z kumplami swoją opinią o jakiejś kobiecie. - Kazał podać jedzenie w prywatnej sali. Jak cholerny kocur, co dobrał się do śmietanki. I nie dziwota! Wolał, żeby tacy jak my nie gapili się na nią. Do licha, oddałbym własną duszę za jedną noc z tą małą.

- To nie była jego żona - wtrącił drugi z biesiadników. - Harry, ten tam... - wskazał na stojącego za barem oberżystę -.. .mówił, że to nie była żadna lady tego lorda.

- Więc to tak! - wrzasnął pierwszy. - Szkoda, że wtedy tego nie wiedziałem! Rzuciłem jej przyjazne spojrzenie, a te jej zielone oczyska prześliznęły się po mnie, jakbym był zerem. Taka wyniosła była, zadzierała nosa. Jakbym wiedział, że to jego kokota, to dałbym jej nauczkę. I to nie raz!

-I podpadłbyś temu arystokracie, co z nią był? Nie sądzę, Frankie. Ty jesteś mocny tylko w gębie. Narobiłbyś w gacie, jakby wycelował w ciebie z pistoletu.

## Ucieczka Heleny

187

- Tak się składa, że i ja mam gnata. I to nie jednego! Nie jestem tchórzem.

Dziewczyna służebna podeszła do ich stolika i postawiła na środku kolejny dzban piwa.

- Z pozdrowieniami od tego dżentelmena w czerni. Trzy pary oczu spojrzały na Tayburna. Ten zaś skinął im

głową i podniósł swój kieliszek.

Mężczyzna zwany Frankiem odpowiedział mu, unosząc kufel.

- Kto to jest, do diabła? - mruknął jego towarzysz.

- Niech mnie licho, jeśli wiem - padła odpowiedź. - Ale piwo za darmochę to piwo za darmochę. Niech ten dureń za nas płaci, jeśli ma ochotę, ja nie będę protestował.

Wybuchnęli śmiechem i skwapliwie przypięli się do dzbana.

Sir Stephen postawił im jeszcze trzy dzbany piwa, zanim dwaj z nich doszli do wniosku, że pora wracać do domów, do żon i dzieci. Frankie nie miał dość rozumu, by pójść w ich ślady. Nie był żonaty, a w wynajmowanym przez niego pokoju panował przenikliwy ziąb. W jego rękę pojawiła się wkrótce szklanka brandy, również z pozdrowieniami od tego samego dżentelmena. Mocny trunek palił w gardle. Młodzieniec nieczęsto miał okazję skosztować francuskiej brandy. Postanowił więc zabawić w barze nieco dłużej. Kiedy Tayburn skinął na niego, podszedł dość chwiejnym krokiem do jego stolika.

Po paru następnych szklaneczkach sir Stephen wiedział już wszystko o rudowłosej piękności i towarzyszącym jej lordzie. Frankie przestał mu być potrzebny. Chłopak zadrżał ze strachu, pomimo zamroczenia alkoholowego, kiedy nieznajomy się do niego uśmiechnął.



**Margaret McPhee**

- Nikt nie będzie nazywać mnie durniem - stwierdził hojny dżentelmen z mrozącym krew w żyłach uśmiechem.

Tayburn odjechał z żoną następnego dnia o świcie. Stajenni dziwili się, że ruszył na północ, czyli w kierunku, skąd poprzedniego dnia przybył, i że wyraźnie bardzo się spieszył. Po godzinie znaleziono ciało Frankiego z poderżniętym gardłem.

**Rozdział dwunasty**

Tej nocy Helena leżała z Guyem w hotelowym łóżu Eg-linton Arms. Drobną, gęstą deszcz miarowo bębnił w szyby wielkiego łukowatego okna ich sypialni. Ogień nadal płonął w kominku, rozjaśniając ciemność pomarańczowym blaskiem. W powietrzu unosił się zapach dymu ze świecy, którą wicehrabia przed chwilą zgasił. Było cicho, jeśli nie usłyszeć szumu deszczu i wody płynącej podwórzowym rynsztokiem.

Helena leżała na wznak i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w przestrzeń. Czekwała, co zrobi Guy. Wiedziała, czego się należy spodziewać, poprzednie noce ujawniły jednak niespodziewane cechy tego mężczyzny. Zdawała sobie sprawę, że jej pożądał. Spostrzegła to od razu przy pierwszym spotkaniu. A jednak nie posiadał jej dotychczas, choć miał do niej pełne prawo, gdyż zgodziła się na rolę jego kochanki. Przypomniała sobie, jak wziął do ust brodawkę jej piersi, i znów zalała ją fala gwałtownego pożądania. Bolesnego wręcz, występnego pragnienia. Potem jednak nagle przestał ją całować, choć przecież widziała wyraźnie, jak bardzo był podniecony. „Czy na serio uciekałaś przede mną przez to łóżko?” - zapytał, jakby jej odpowiedź miała dla niego ogromne znaczenie. Pragnęła go, chciała, by ją dotykał, by się z nią kochał.

**Margaret McPhee**

Na samo wspomnienie tamtej chwili zaczerwieniła się, a jej uda zalał żar. Materac ugiął się, gdy Guy przekreślił się na bok i położył rękę na jej brzuchu. Zadrżała pod dotykiem jego palców i znieruchomiała. Wydawało jej się, że dotykał jej ciepłej skóry, a nie kremowego jedwabiu pięknej koszuli nocnej, którą jej ostatnio kupił. Przesunął rękę wyżej, tuż poniżej piersi. Usłyszał, jak gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Heleno - zabrzmiął w mroku ochryply szept. - Zimno ci?

- Jest mi całkiem ciepło, dziękuję - odparła tonem uprzejmej pogawędki, jakby siedzieli w bawialni przy filiżance herbaty, a nie leżeli półnaczy razem w łóżku.

Pragnął się z nią kochać i zagoić wszelkie rany, jakie mógł jej zadać Tayburn, nie wiedział jednak, jak głęboko została skrzywdzona. Nie ulegało wątpliwości, że Stephen zmusił ją, by dzieliła z nim łożę, i Guy nie chciał występować wobec niej w tej samej roli. Nie zamierzał stosować żadnych sztuczek, by ją uwieść. Gwałtowne pożądanie nie dawało mu spokoju we dnie i w nocy, ale uwiedzenie oznaczałoby nagięcie Heleny do jego woli, choć w sposób znacznie mniej drastyczny, niż zrobił to tamten potwór. On sam nie mógł jej tego zrobić, nie po tym, co przeszła.

- Ty drżysz.

- Nie - zaprzeczyła szybko i stanowczo. - Mylisz się. Przesunął nieco palce i wyczuł to, czego nie była w stanie

ukryć: przyspieszony rytm serca.

- Nie musisz się bać, Heleno. Nie jestem Tayburnem. Nie skrzywdzę cię.

- Nie boję się - zaprzeczyła cichym, ściśniętym głosem, jakby jej wargi były tak samo sztywne jak całe ciało.

Guy westchnął cicho i z lekkim rozbawieniem musnął wargami jej brew.

## Ucieczka Heleny

191

- Nie musisz udawać, moje ty słodkie biedactwo. Nie dopuszczę, by Stephen znów po ciebie sięgnął. Jesteś zupełnie bezpieczna i możesz sobie pozwolić na okazywanie emocji. Zapewniam cię, że damy mają pełne prawo do zmiennych uczuć. - Uśmiechnął się i wtulił usta w jedwabistą miękkość jej włosów.

- Zapomniałeś, że ja nie jestem damą. - Helena nie poruszyła się, nadal wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w sufit.

Ujął ją pod brodę i delikatnie odwrócił jej twarz w swoją stronę. Tłący się w kominku żar pozwalał mu dostrzec zaledwie słaby zarys rysów dziewczyny. Pochylił się nad nią tak, że ich nosy niemal się stykały, i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Byłaś damą, kiedy Tayburn cię wziął, Heleno? Nie odpowiedziała.

- Byłaś? - zapytał powtórnie, z naciskiem.

- Tak - odparła cichym szeptem.

- Wobec tego nadal jesteś damą. I zawsze o tym pamiętaj, cokolwiek by się działo.

Wyczuł, że zamknęła oczy, bo musnęła go rzesami. Instynktownie złożył na jej ustach delikatny, ale zdecydowany pocałunek, niosący ukojenie, ale i podniecający.

Topniała pod pieśczołą jego warg i po chwili odwzajemniła ją.

Jęknął. Jego pulsująca pożądaniem męskość napierała na jej słodkie, miękkie ciało. Wyczuł jej gorącą reakcję, zaproszenie. Wiedział, że jeśli teraz nie przerwie, to już nic nie zdoła go powstrzymać i uczyni Heleną swoją kobietą. Wycofał się więc powoli, odsunął się od ust, których pragnął bardziej niż czegokolwiek na świecie, oddalił swą męskość od dręczącej, cudownej pokusy. Spojrzał w jej oczy o opuchniętych powiekach, pełne pożądania równie mocnego, jak jego własne,

**Margaret McPhee**

i z największym wysiłkiem powstrzymał się, by nie zacząć znowu całować jej ust i nie wedrzeć się w nią na całą długość bolesnie spragnionego członka.

- Słodka Heleno - mruknął, głaszcząc ją lekko po policzku. - Czy ty masz pojęcie, co ze mną wyczyniasz? - Odpowiedziała mu cisza, jeśli nie liczyć szmeru jej oddechu. Westchnął. - Kiedy uwolnimy twoją siostrę, Tayburn nie będzie już trzymał cię w szachu. - Popatrzył z góry na jej twarz. - Teraz powinniśmy się przespać. Jutro czeka nas długi dzień. - I z tymi słowy się odwrócił.

Helena patrzyła na szerokie barki Guya z mieszanymi uczuciami. To prawda, następny dzień miał być naprawdę długi i niebezpieczny. Wbrew buńczucznym zapewnieniom wicehrabiego, istniało realne zagrożenie, że nie wróci z Dun-leish. Spośród wielu ludzi, którzy przybywali na zamek, niewielu wychodziło stamtąd żywych. Lord Yarrington ryzykował dla niej życie. Tak, dla niej, bo przecież nigdy nie widział nawet Emmy, którą zamierzał uwolnić. Zaoferował opiekę Helenie i jej rodzinie, bo zgodziła się zostać jego kochanką. Ale w zamian dostał bardzo niewiele. Tylko deklarację. Wiedziała, że jej pragnął, czuła jego pożądanie równe silne, jak jej własne. To wszystko nie miało sensu! Mógł ją mieć w każdej chwili, kiedy tylko zechciał, wiedział, że nie będzie się opierała.

Współżycie z Guyem z pewnością nie wiązałoby się z bólem, raczej z przyjemnością... Dotyk jego rąk, żarliwe pocałunki... Wciąż czuła wywołane nimi drżenie... bolesną tęsknotę. Pomimo to nadal coś w niej krzychało, żeby nie zachowywała się jak dziwka, żeby nie utwierdzała go w przekonaniu, że była tym, kim była - ladacznicą, nierządnicą. On dotrzymywał swojej części umowy. Honor wymagał chyba, by i ona dotrzymała swojej? I nagle zatrzymała się przy słowie

## Ucieczka Heleny

193

„honor”. Czy w przyjętej przez nią roli w ogóle mogła być mowa o honorze? Uniosła się na łokciu i popatrzyła na leżącego obok mężczyznę. Był odwrócony twarzą do ściany, oddychał równo i powoli, jakby już zasnął. Helena wiedziała jednak, że nie spał.

- Guy? - szepnęła bez zastanowienia. Uniósł głowę znad poduszki i obejrzał się.

- O co chodzi?

- Wiesz, że wybierając się do Dunleish, ryzykujesz życiem? - zapytała po chwili ciszy lekko zdyszczonym głosem.

- Kochanie - mruknął przez ramię. - Powiedziałaś mi już wszystko, co chciałem wiedzieć. Mam mapę i jestem dobrze przygotowany. Śpij. Wszystko będzie dobrze.

- Uważaj, Guy, nie wolno go nie doceniać. Obawiam się, że nie zdajesz sobie sprawy, na co się porywasz. Odwrócił się, przygarnął ją do siebie i pocałował w policzek tuż przy kąciku ust.

- Zdaję sobie sprawę i to lepiej, niż sądzisz.

- Nie znasz go.

Pogładził delikatnie szczyty jej ramion.

- Mężczyźni tacy jak Tayburn są do siebie podobni. Jeśli znasz jednego, znasz wszystkich. - W jego głosie pojawiła się jakaś niezrozumiała dla niej, silna emocja.

Skóra Heleny pod dotykiem jego palców stanęła w płomieniach.

- Żaden człowiek nie jest taki jak Stephen. To prawdziwy diabeł. - Nie zdołała ukryć dreszczu, który przebiegł jej po plecach. - Boję się o twoje życie.

Guy przyciągnął ją do siebie.

- Nie bój się. Nie mam zamiaru rozstać się z życiem, natomiast mam zamiar przywieźć ci jutro Emmę. - Pocałował

**Margaret McPhee**

ją znowu, ale był to lekki, niegroźny całus w czoło. - A teraz spać! -1 zaczął się od niej odsuwać. Powstrzymała go, kładąc rękę na jego umięśnionym torsie.

- Guy.

Czuła, jak stęzał pod jej dotykiem. Znieruchomiał. -Tak?

Helena oblizwała zeschnięte nagle wargi.

- Nie jestem śpiąca - powiedziała i fala gorąca napłynęła jej do twarzy po tym zuchwałym i bezwstydnym stwierdzeniu.

- Czy to znaczy, że mnie pragniesz? - zapytał osłupiały ze zdziwienia.

Wydała ciche chrząknięcie.

- Może.

- Może?

Poczuła jego ciało tuż przy swoim. Musnął oddechem jej policzek. Puls na jej szyi uderzał tak mocno, że wydawało się jej, iż nie będzie zdolna wydobyć z siebie głosu.

- Ja wiem, że chcesz... że chciałbyś... - Głos ją zawiódł. -Nie będę się opierać.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę - mruknął.

Głośno przełknęła ślinę, nie rozumiała go, nie wiedziała, co powiedzieć. Zapadła cisza... cisza... i jeszcze dłuższa cisza.

Jego pierś unosiła się i opadała w miarowym, spokojnym rytmie. Reszta ciała znieruchomiała.

- Zapewniłeś mi opiekę, nie biorąc nic w zamian - szepnęła Helena, by przerwać wreszcie tę dręczącą ciszę.

- A co miałbym wziąć w zamian? - zapytał głosem, w którym pobrzmiwał ton smutku.

- Ja... - Głos znowu ją zawiódł.

## Ucieczka Heleny

195

- Już ci mówiłem, że nie jestem Tayburnem i nie zamierzam ciebie wziąć. - W tych słowach był wyraźny podtekst, którego nie rozumiała. Tym razem nie doczekała się pieszczot i pocałunków na pocieszenie.

Guy odwrócił się na bok i zasnął.

Helena leżała bez ruchu i myślała o tym, co się wydarzyło. A kiedy wreszcie zapadła w sen, to nie Dunleish czy Stephen wypełniali jej marzenia senne i nawet nie Emma, a tajemniczy mężczyzna, który pochrapywał obok niej.

Było jeszcze ciemno, gdy obudził ją plusk wody. Na komodzie paliła się jedna świeca, rzucając słabe światło na pokój. Guy stał tyłem do niej i mył się w białej porcelanowej miednicy. Nawet w tak marnym oświetleniu widziała lśniąca na jego skórze kropelki wody. Jak na człowieka szczycącego się hedonistycznym stylem życia, był zadziwiająco muskularny. Najwyraźniej lord Yarrington, wbrew własnym twierdzeniom, uprawiał jednak jakieś ćwiczenia fizyczne pozwalające utrzymać smukłą, zgrabną i prężną sylwetkę. Helena gapiała się na niego bezwstydnie. Sięgnął po wiszący z boku ręcznik i najpierw wytarł nim twarz, a potem ciało. Dziewczyna czuła, że nie powinna go podglądać, ale nie mogła odwrócić spojrzenia. Podziwiała szerokie ramiona i grę mięśni pod skórą. Wreszcie Guy odwrócił się i spojrzał na nią, jakby wyczuł jej wzrok.

- Witaj, najdroższa.

Miała dość przyzwoitości, by zaczerwienić się po uszy.

- Dzień dobry - powiedziała i szybko odwróciła oczy. Zorientował się, że patrzyła na niego. Świadczył o tym jego

uśmiech. Przesunął ręką po szorstkim zarostku na podbródku i nie zadając sobie trudu, by włożyć koszulę, zaczął szperać w swoim bagażu.

**Margaret McPhee**

- Która godzina? - zapytała Helena.

- Myślę, że parę minut po siódmej.

- Nie musisz patrzeć na zegarek?

- Zawsze się budzę o siódmej. Mój zegarek leży na stole. Możesz sprawdzić, jeśli chcesz. - Wyprostował się, trzymając w ręku brzytwę i niewielkie lustro. - W takich sytuacjach bardzo odczuwam brak Collinsa. - Postawił lustro koło świecy, zwilżył wodą pędzel do golenia i zaczął rozrabiać mydło.

- Mogę ci pomóc, jeśli chcesz - palnęła Helena bez zastanowienia.

Przerwał zajęcie i odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Goliłeś już kiedyś mężczyznę?

- Tak - przyznała, a widząc jego chmurne spojrzenie, dodała pośpiesznie: - Po pobiciu tata stracił władzę w prawej ręce. Nikomu poza mną nie pozwalał się golić.

- W takim razie oddaję się w twoje doświadczone ręce -oznajmił Guy ze śmiechem i zrobił zapraszający gest.

Wygramoliła się z łóżka i stanęła przy nim.

- Uprzedzam, że od dawna nikogo nie goliłam i pewnie trochę wyszłam z wprawy. Ale postaram się.

- Trochę mnie pocieszyłaś.

Ustawił krzesło koło komody, na której stała miska z wodą, i usiadł.

- Proszę. - Podał jej namydlony pędzel i uniósł twarz, gotowy poddać się jej zabiegom.

Helena pożałowała, że nie związała najpierw włosów, które co chwila opadały jej gęstą kurtyną na twarz, ale było już za późno, bo całe ręce miała w mydlinach. Stanęła obok Guya, czując pod bosymi stopami szorstką wełnę dywanu. Omijając wzrokiem świdiste oczy mężczyzny, starannie mydliła pędz-



## Ucieczka Heleny

197

lem ciemny zarost na jego policzkach, brodzie i szyi. Przypadkiem musnęła palcami jego miękkie, delikatne wargi. Oplukała w misce pędzel i swoje ręce, wytarła je ręcznikiem i sięgnęła po brzytwę. Ostrze zalśniło złowieszczo w świetle świecy. Niebezpieczne narzędzie, wystarczył jeden ruch, by wysłać człowieka na tamten świat.

- Jesteś gotów? - zapytała. Podniósł głowę, odsłaniając szyję.

- Mam nadzieję, że ręka ci nie zadrży, Heleno. Jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę.

Pojęła, jak bardzo był teraz bezbronny, i zrozumiała w pełni jego słowa.

- Ufasz mi - stwierdziła.

Na jego wargach znów zaigrał uśmiech.

- Oczywiście.

Poczuła, że kąćki jej ust same się uniosły, i z ostrzem w dłoni pochylili się nad jego szyją.

Dotyk Heleny był bardzo delikatny. Goliła go równie wprawnie jak jego lokaj, ale z czułością, o której doskonale wyszkolony Collins nie miał nawet co marzyć. Lekкими, szybkimi pociągnięciami brzytwy usuwała zarost. Oczyszczyła kolejno szyję, policzki, górną wargę i brodę, pochylając się nisko, aby pomimo słabego oświecenia dobrze widzieć, co robi. Guy czuł jej zapach, a długie, rozpuszczone włosy dziewczyny muskały jego nagi tors i ramiona. Zastanawiał się, czy ta bliskość daje mu przedsmak nieba, czy raczej piekła. Chciał odsunąć ostrze, porwać ją w ramiona i całować do utraty tchu, a potem zanieść na łóżko i kochać się z nią. Ale nie mógł. Zabronił sobie takich fantazji i ograniczył się do obserwowania jej twarzy.

Pomiędzy brwiami Heleny zarysowała się mała zmarsz-

**Margaret McPhee**

czka. Migotliwe światło świecy budziło w jej oczach złote refleksy. Całą uwagę skoncentrowała na przesuwanym się po skórze mężczyzny ostrzu, lekkie pociągnięcie z lewa na prawo, z prawa na lewo, z góry w dół lub z dołu do góry, w zależności od kierunku wzrostu włosów, a po każdym pociągnięciu wycierała brzytwę z mydła. Drobne, powtarzające się ruchy działały na niego uspokajająco, usuwały wszelkie napięcie. A kiedy Helena opłukała jego twarz, starannie ją osuszyła i oznajmiła, że zadanie wykonane, Guy poczuł się dziwnie spokojny i rozluźniony jak na kogoś, kto miał zaraz wyruszyć w niebezpieczną misję.

- Mógłbym się do tego przyzwyczaić - mruknął, wstając. Uśmiechnęli się do siebie.

- A teraz ubieraj się i to szybko - powiedział. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chcesz mnie ze sobą zabrać?

Popatrzył na nią z iskierkami rozbawienia w oczach.

- Tylko do Seamill Hall.

- Co to znaczy?

Wyjął z torby koszulę i wciągnął ją przez głowę.

- Ustaliłem z Weirem, że zostaniesz dzisiaj u nich.

- Nie mogę.

- Pospiesz się, Heleno. Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Jestem... - Zamilkła, zaczerwieniła się, po czym wyrzuciła z siebie: - Na litość boską, Guy, jestem twoją kochanką! Przestał zapinać guziki i uniósł brew.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Uśmiechnął się uwodzicielsko i popatrzył na nią znacząco.

- Nie chcę narażać Annabel na zażenowanie.

- Heleno, będę znacznie spokojniejszy, jeśli pod moją nieobecność znajdziesz się pod opieką Weira.

## Ucieczka Heleny

199

- Ale skoro jesteś pewien, że Stephen pojechał do Londynu...

- Zostawił tutaj lojalnych sobie ludzi.

Zamilkli na chwilę i Guy podjął zapinanie guzików.

- Spełnisz moją prośbę i pojedziesz do Seamill Hall?

- Dobrze - ustąpiła, poruszona wyrazem jego oczu.

- Świetnie. - Wyraźnie poczuł ulgę.

- Masz mapę, którą ci naszkicowałam? - zapytała.

- W kieszeni. A gdybym nie znalazł Emmy w zaznaczonym przez ciebie pokoju, gdzie jeszcze mogła zostać ukryta?

Helena spojrzała na niego. Dostrzegł w jej oczach lęk.

- W lochu. Módlmy się, aby nie posunął się do tego. Są tam takie rzeczy, że Emma mogłaby doznać pomieszania zmysłów.

- Nie bój się, przywiozę ci ją.

Uśmiechnęła się, przezwyciężając obawę, i szybko zaczęła przygotowywać się do podróży. Dokończyli toalety w całkowitym milczeniu. Helena nie odezwała się do czasu, gdy stanęła w drzwiach, okryta płaszczem i gotowa do wyjścia. Bagaze zostały już zapakowane do powozu. Teraz albo nigdy, pomyślała. W Seamill Hall nie będzie raczej miała szansy z nim porozmawiać.

- Będziesz ostrożny, prawda?

- Skąd, zamierzam zachowywać się niefrasobliwie - odparł sarkastycznie.

Pokręciła głową, ale nie zdołała powstrzymać parsknięcia śmiechem.

I wówczas poczuła na ramionach dłonie Guya. Jedną z nich przesunął w górę i kciukiem pogładził ją po policzku. Odniosła wrażenie, że chciał jej powiedzieć coś bardzo, bardzo ważnego. Z ogromną czułością odgarnął jej z policzka kosmyk włosów.

**Margaret McPhee**

- Heleno, z boku mojej torby podróżnej znajdują się sakiewka i list. Gdyby coś poszło nie tak, gdybym nie wrócił z Dunleish do jutrzejszego wieczora, weź pieniądze z sakiewki...

- Nie, nie kończ... - przerwała mu. Otoczył ją ramionami.

- Wysłuchaj mnie, Heleno. Nie mamy zbyt wiele czasu, a to, co mam ci do powiedzenia, jest ważne.

Przełknęła słowa protestu, które cisnęły się jej na usta.

- Weź pieniądze z sakiewki - powtórzył. - Wykorzystaj je na podróż rozstawnymi końmi do Konwalii i odzyskaj mojego brata. Przekaż mu ten Ust do rąk własnych, tylko jemu, nikomu więcej. Jego nazwisko i adres są wypisane na kopercie. Lucien zapewni ci bezpieczeństwo. Daj mi słowo, że to zrobisz.

- Przecież nie zostawię cię w Dunleish! - krzyknęła.

- Obiecuj, Heleno. - Spojrzał na nią z taką determinacją, jakiej nie widziała jeszcze w jego oczach.

Potaknęła głową.

- Powiedz to - nalegał.

Westchnęła i spojrzała na niego z ciężkim sercem.

- Heleno - nie ustępował.

- Dobrze - wydusiła z siebie wreszcie. - Obiecuję. Odetchnął z ulgą. Pochylił twarz i zamknął oczy, zanim dotknął ustami jej warg.

Odsunął się szybko. Zbyt szybko.

- Ruszajmy, zanim Tayburn się zorientuje, że popełnił błąd, i postanowi wracać do domu. - Jeszcze jeden pocałunek i ruszyli do drzwi.

Przekręcał już gałkę w drzwiach, gdy wymówiła jego imię.

## Ucieczka Heleny

201

-Guy.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Dziękuję - powiedziała z całego serca.

Na jego ustach pojawił się uśmiech zrozumienia, a Helenie ścisnęło się serce. Oto mężczyzna wrażliwy, troskliwy i opiekuńczy.

Wyszli z pokoju i ramię przy ramieniu ruszyli po puszystym dywanie wyściełającym korytarz i wygodną klatkę schodową. Było jeszcze wcześniej, więc na dworze panowała nieprzenikniona ciemność. Kiedy Guy zostawiał Helenę w Seamill Hall, niebo przybrało barwę marengo i na wschodzie pojawiła się szarość świtu. Helena wiedziała, że kiedy wstanie dzień, łódź wiosłowa będzie już w zatoce Clyde, w połowie drogi na wyspę St Vey, do Dunleish. Bez przerwy dźwięczały jej w uszach słowa Guya: „... zanim Tayburn się zorientuje, że popełnił błąd, i postanowi wracać do domu”. Złe przeczucie zmroziło jej krew w żyłach.

Wiosła skrzypiały w dulkach, rozgarniając zimną, szarą wodę. Niewielka drewniana łódka przesuwiała się po powierzchni morza tak gładko, jak nóż po maśle, i lord Varington doszedł do wniosku, że zapewne sprzyjają mu prądy morskie. Oceniał wzrokiem dystans dzielący go od wyspy. Wydawała mu się tak bliska, że mógłby dotrzeć do niej wpełzaniem. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na lodowatą wodę, by taki pomysł wyparował mu z głowy. Był zadowolony, że włożył pelerynę z kapturem i rękawice. Niebo na wschodzie się rozjaśniało, mrok ustępował, wstawał dzień. Wiatr targał włosy i smagał policzki Guya. Kolejny już raz zadał sobie pytanie, czy siostra Heleny jeszcze żyła. Mocno zacisnął zęby i stanowczo zabronił sobie spekuła-

**Margaret McPhee**

cji na ten temat. Wolał nawet nie myśleć, jakie znaczenie miałyby śmierć Emmy dla jej siostry. Helena. Przypomnił sobie jej piękną twarz, skoncentrowaną jak wtedy, gdy go goliła. Idealne łuki brwi. Piękne, zamglone, zielone oczy. Mały, prosty nosek. I pełne wargi. W świetle świecy jej kremowa skóra nabrała złocistego połysku, a długie czerwone włosy były splątane jak na portretach prerafaelitów. Posługiwała się brzytwą z wyjątkową delikatnością, a zarazem z wprawą. Jeszcze nigdy żadna kobieta nie goliła Guya. Kiedy uśmiechnęła się do niego, na jej twarzy nie było maski, pod którą zwykle kryła swe uczucia. Pomyślał, że nigdy w życiu nie widział nic piękniejszego od uśmiechu Heleny i nie słyszał wspanialszego dźwięku od jej śmiechu. Na samą myśl o tym zrobiło mu się ciepło na sercu. „Dziękuję”, powiedziała i zawarła w tym jednym słowie całą gamę uczuć. Wydawało mu się, że zniknęły wszelkie dzielące ich bariery i dane mu było zobaczyć prawdziwą Helenę, jakiej Tayburn nigdy nie oglądał. W tamtym momencie coś ich połączyło. Guy nadal to czuł. I gotów był zrobić wszystko, byle uwolnić ją od Stephena. Nad jego głową zawisła w powietrzu mewa. Mocniej przyłożył się do wiosła i łódka pomknęła szybko ku wyspie St Vey.

Helena została powitana w Seamill Hall znacznie lepiej, niż się spodziewała. Pan Weir, jak poprzednio, okazywał jej chłodną uprzejmość. Jego niechęć do niej i brak aprobaty nie wzrosły. Zabolą ją natomiast, i to znacznie bardziej od postawy Johna, nieobecność jego żony. Annabel w ogóle się nie pokazała.

Poranek ciągnął się w nieskończoność, a każda mijająca

## Ucieczka Heleny

203

godzina zwiększała jeszcze niepokój Heleny. Książka, którą przysłała jej pani Weir, leżała otwarta na jej kolanach. Przeczytała po raz drugi tę samą stronę, ale nadal nie rozumiała treści. Westchnęła i przestała udawać, że zajmuje ją lektura. Głośno zamknęła tom. Próbowwała myśleć rozsądnie. Stephen wyjechał z Dunleish. Guy wie, co robi. Ma mapę. Opowiedziała mu o zamku wszystko, co sama wiedziała: gdzie ludzie Stephena pełnią straż, jaki jest zwykły rozkład dnia, kto jest kim w małym królestwie Tayburna; opisała mu nawet wszystkich mieszkańców zamku z wyglądu i podała ich nazwiska. Dlaczego więc nie mogła pozbyć się obaw?

Książka zsunęła się z jej kolan na narzutę przykrywającą łóżko. Helena wstała i podeszła do okna. Tym razem nie została ulokowana w tej samej przytulnej żółtej sypialni, co poprzednio. Ten pokój był większy i chłodny, bo utrzymany w zimnych odcieniach błękitu. Okno nie wychodziło na morze, lecz na ogród przed domem i drogę. Szare chmury przesunęły się po jasnym niebie. Siąpił drobny deszczyk, powiększając kałuże, które zostały po nocnej ulewie. Droga była pusta. Żadnego ruchu. Helena bębniła niecierpliwie palcami o parapet, przygryzając w zdenerwowaniu wargi. Stado wróbli podskakiwało wokół dzikiej jabłonki. Poza tym cały świat zamarł w bezruchu. Znowu westchnęła, porzuciła stanowisko przy oknie i podeszła do kominka.

Bezwiednie wsunęła prawą rękę do kieszeni i natrafiła na srebrny klucz, który schowała tam dziś rano przed opuszczeniem pokoju w Eglinton Arms. Guy z pewnością dotarł już do zamku. Czy znalazł Emmę? Dorzuciła polano do ognia i wróciła na opuszczone przed chwilą miejsce przy oknie. Wzniósła oczy do nieba. Błagam, Boże, uratuj ich oboje, Emmę i Guya. Odwróciła się i jej wzrok padł na ustawione w ro-



**Margaret McPhee**

gu pokoju torby podróżne i walizy. Na samym wierzchu sterty leżała niewielka walizka lorda Varingtona. Należała do zestawu, który kupił ostatnio w Ayr.

Katastrofa „Bonnie Lass” i późniejsza wspólna podróż na południe wydawały się teraz Helenie zamierzchną przeszłością. Czy naprawdę znała Guya od niespełna dwóch tygodni? Miała poczucie, jakby zawsze byli razem. Życie ze Stephenem jawiło jej się jak jakiś koszmarny sen, który prysnął z pierwszym brzaskiem. Pięć lat i nic. Dopiero teraz znów wracała do życia.

- Guy - szepnęła.

To słowo zdawała się ciągle brzmieć w ciszy pokoju. „Gdybym nie wrócił z Dunleish...” Włosy zjeżyły się jej na karku. Błagam, Boże, przyprowadź go bezpiecznie z powrotem. „Z boku małej torby podróżnej znajdują się sakiewka i list”. Nie chciała jego pieniędzy, chciała jego samego!

Zbliżyła się powoli do sterty bagaży z ciemnobrązowej skóry. Sakiewka i Ust. Rzemienie opasujące walizkę nie były zapięte. Dała się otworzyć bez trudu. Helena wsunęła ręce pomiędzy starannie ułożone ubrania. Podniosła do twarzy leżącą na wierzchu koszulę. Zamknęła oczy i wdychała zapach Guya, otarła się policzkiem o miękką bawełnę, a potem wtuliła w nią usta i pocałowała. Pamiętała dotyk jego *rak*. i magiczne działanie ust. Z bólem serca odłożyła koszulę na miejsce. To był jakiś dziwny ból, radosny i smutny zarazem. Zdarzało się jej już go doświadczać w ostatnich dniach. Ale dopiero dzisiaj zrozumiała, czym naprawdę był. I to sprawiło, że wyprawa Guya do Dunleish przyprawiła ją o jeszcze większy niepokój.

Stała bez ruchu i próbowała oswoić się ze swym świeżym odkryciem, czekała, aż wypełni ją całą, aż po ostatni zakamarek jej ciała. Ogarnęło ją uczucie uniesienia, jej serce się roz-

## Ucieczka Heleny

205

śpiewało. Z uśmiechem wsunęła dłoń z boku walizki i natrafiła na sakiewkę i list. Sakiewka zawierała rulon złotych monet i zwitek banknotów. Schowała je z powrotem. List... Uśmiech zniknął z jej twarzy. Szeroko otworzyła oczy i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Pod wpływem szoku poczucie szczęścia prysło jak bańka mydlana. Serce Heleny przestało na chwilę bić. Wstrzymała oddech.

Nie mogła oderwać wzroku od pospiesznie nakreślonych liter. Zdawały się kpić z niej, z jej głupiego zaufania. Dobrze bowiem знаła widniejące na papierze nazwisko. Lord Tregel-las, brat Guya, zwany był Przebiegłym. Słyszała to nazwisko z ust Stephena, który wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem, z podziwem! Zamknęła oczy. Otworzyła je znów i jeszcze raz spojrzała na kopertę. Jakby miała nadzieję, że dzięki temu nakreślone zdecydowanym charakterem pisma nazwisko zmieni się w jakieś inne, łatwiejsze do zaakceptowania. TregeUas. Nadal tam było. „Lucien zapewni ci bezpieczeństwo”, zabrzmiał jej w uszach głos Guya. Helena położyła list na wierzchu, na jego koszuli, i zaczęła się cofać w stronę łóżka. „Znałem człowieka podobnego do Tayburna”, przypomniała sobie jego słowa. Zadrzała i w jej sercu zrodziło się straszUwe podejrzenie, które usunęło wszystko inne w cień.

Droga, jaką miał do pokonania od miejsca, w którym przybił do brzegu St Vey, do zamku Dunleish, wyglądała mniej więcej tak, jak lord Varington się spodziewał. Ukrył łódkę w zaroślach, w niewielkiej piaszczystej zatoczce na południowym skraju wyspy. Zamek Tayburna stał na północnym jej krańcu. Zatoczkę otaczały pionowe skały, więc przybysz musiał iść początkowo brzegiem morza. Nie było to dla niego zaskoczeniem, opisy Heleny okazały się bardzo dokładne. Mo-

**Margaret McPhee**

kry piasek lepił mu się do butów, co zwalniało tempo marszu, ale trasa była bez porównania łatwiejsza i bezpieczniejsza od wspinaczki po stromych skałach.

Po pewnym czasie wszedł pomiędzy wzgórza. Na St Vey wszystko wydawało się surowe, ubogie i szorstkie. Nawet trawa pod jego stopami była krótka i sztywna. Nieliczne drzewa, które zdołały tutaj wyrosnąć, miały pochylone pnie, a ich szare, powykęcane, prawie nagie konary porośnięte były mchem. Kępy kolcolistów wyglądały na poszarpane wichrem, a ich małe cierniste liski wydawały się równie nieprzyjemne, jak wszystko na tej wyspie. Guy przemierzał tę niegościnną ziemię długimi krokami. Kompas wskazywał mu kierunek marszu, a nakreślona przez Helenę mapa informowała o wszystkich szczegółach. Posuwał się naprzód, nie zważając na deszcz, który zmoczył mu twarz, włosy i ubranie, ale przez cały czas rozglądał się czujnie, by nie dać się zaskoczyć niebezpieczeństwu. Wiedział, że wszyscy, którzy żyli na wyspie, mieszkali w zamku, ale ostrożność nigdy nie zawadzi. Nauczył się tego w przeszłości.

W ciągu niespełna godziny dotarł do półki skalnej, która górowała nad wybrzeżem. Położył się płasko na brzuchu i ostrożnie podpełzł do krawędzi. Wychylił się i spojrzał w przepaść.

U jego stóp znajdował się zamek Dunleish, twierdza wyciosana z tego samego czerwonego piaskowca, z którego zbudowane były okoliczne wzgórza. Była to wyniosła budowla o grubych ścianach i wąskich oknach, które wpuszczały do wnętrza niewiele światła. Szczyty murów zwieńczały blanki, jak w starych średniowiecznych zamkach, a w każdym z czterech narożników znajdowała się strzelista wieża. Na jednej

## Ucieczka Heleny

207

z nich wisiała flaga opuszczona do połowy masztu na znak, że pana nie ma w domu. Guy przyjrzał się pozostałym wieżom. Na jednej zauważył człowieka, najwyraźniej był tam posterunek obserwacyjny. Tayburn musiał mieć sporo wrogów, skoro stale trzymał na murach strażników. Wicehrabia rozglądał się jeszcze przez chwilę, po czym odczołgał się w bezpieczne miejsce. Ostatni raz obejrzał się za siebie i skrył się w skalnej jaskini.

Panowała tam nieprzenikniona ciemność, ale Guy był na to przygotowany - przyniósł ze sobą latarenkę oraz pudełko z hubką i krzesiwem. Niosąc przed sobą zapaloną latarnię, przeszedł na sam koniec jaskini i odnalazł wąską wejście do tunelu. Słabe światełko wydobywało z mroku tylko krótki odcinek drogi, ale on wiedział, dokąd tunel prowadzi. Skórzane podeszwy butów wicehrabiego sprawiały, że każdy jego krok odbijał się głośnym echem w zamkniętej przestrzeni. Powietrze było tu zatęchłe, a po wyciosanych w czerwonym kamieniu ścianach cały czas sączyła się woda. Podziemny chodnik skończył się wreszcie i Guy stanął przed dwiema drewnianymi skrzynkami, wykorzystanymi przez Helenę i jej służących w czasie ucieczki. Wyjął z kieszeni płaszcz to, co mogło mu być potrzebne, a samo okrycie zrzucił na ziemię. Potem spojrzął na niewielkie okienko nad głową. Na jego twarzy pojawił się ponury, pełen determinacji uśmiech. Wszedł na pierwszą skrzynkę i zebrał siły, aby wspiąć się do południowo-zachodniej wieży zamku Dunleish.

Helena już chyba po raz setny przemierzyła błękitną sypialnię w Seamill Hall. Nie mogła przestać myśleć o Guyu, Emmie i Dunleish. Nie potrafiła również wymazać z pamięci nazwiska wypisanego na kopercie: Tregellas.

**Margaret McPhee**

Przebiegły Lord, jeśli wierzyć słowom Stephena. I do tego człowieka chciał ją wysłać lord Yarrington, jego brat? To nie miało sensu. Instynktownie ufała Guyowi, nie dostrzegła w nim nawet śladu podłości.

Odnosił się do niej z szacunkiem i dobrocią. Pragnął jej, a jednak jej nie posiadał. Powiedział, że nie zamierza jej wziąć.

Zamknęła oczy i przywołała obraz jego twarzy o rzeźbionych rysach, jasnych, przenikliwych oczach i ustach, skorych do uśmiechu. Był teraz w drodze do siedziby potwora, który uwięził jej siostrę. Czy zdoła uratować Emmę przed Stephenem, tak jak uratował ją samą?

Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie kwestii brata. Może Tay-burn się mylił? Mało prawdopodobne, on nigdy się nie mylił. Helena usiadła przy oknie i zamyśliła się tak głęboko, że prawie nie widziała tego, co miała przed oczami. Mały rudzik z czerwonymi piórkami na piersi skakał wzdłuż ogrodowego muru, wreszcie przysiadł na bramie. Czarne ptaki schroniły się pod krzakami, na których utrzymały się jeszcze zbrązowiałe liście. Trzy kobiety przeszły drogą z koszykami przewieszonymi przez ramię. Koń minął bramę kłusem. Helena doszła do wniosku, że należy po prostu zapytać o dręczącą ją sprawę samego Guya, kiedy wróci... Jeśli wróci. Próbowwała odepchnąć od siebie lęk, myśleć pozytywnie.

Miał rację. Przedsięwzięcie było ryzykowne, ale sytuacja sprzyjająca. Stephen wyjechał z domu i to wystarczało, by szanse powodzenia ogromnie wzrosły. Starła się przekonać o tym samą siebie, ale ręce miała zimne jak lód, a w sercu jakieś złe przeczucie. Rozejrzała się niepewnie po pokoju. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Zegar tykał na półce nad kominkiem, w którym wesoło buzował ogień. Helena nie należała do kobiet ulegających podszeptom imagacji.

## Ucieczka Heleny

209

Przez ostatnie pięć lat starała się trzymać w karbach uczucia. A jednak teraz... Zganiła się w duchu. Mroczyło. Spojrzała przez okno na niebo. Nadciągnęły ciemne chmury, dzień stał się dziwnie ponury, niemal złowieszczy. Wstrząsnął ją dreszcz. Nie, nie będzie histeryczką, usiądzie sobie spokojnie przy kominku, poczyta książkę od pani Weir i poczeka na powrót Guya.

Nie odeszła jednak od okna. Nie mogła oderwać oczu od drogi. Wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. Włosy zaczęły jej się jeżyć na głowie. Żołądek się zacisnął. I wtedy usłyszała w oddali stukot końskich kopyt i turkot kół powozu. Odgłosy zbliżały się, przybierały na sile, aż wreszcie na końcu drogi ukazała się ciemna sylwetka karety. Pojazd niemiłosiernie podskakiwał na wybojach, najwyraźniej pędził z wielką prędkością. Helena nie zwróciła uwagi na czwórkę czarnych koni, których boki lśniły od potu, a z pysków toczyła się krwawa piana. Pobladła śmiertelnie i z otwartymi ustami wsłuchiwała się w bicie własnego serca. Nagle odwróciła się na pięcie i pobiegła do drzwi. Otworzyła je gwałtownym szarpnięciem, tak że głośno uderzyły o ścianę, po czym echo jej szybkich kroków rozległo się na korytarzu. Zaczęła biec, ile sił w nogach. A na horyzoncie zniknął już pędzący z zawrotną prędkością powóz, na którego zabłoconych drzwiczkach wyraźnie rysował się herb - czarny diabeł na czerwonym tle.

## Rozdział trzynasty

- Panie Weir! - Helena wpadła jak burza do salonu, ale zastała w nim tylko małżonkę gospodarza, która siedziała przy oknie i haftowała.

- Helena? - Twarz Annabel wyrażała zaskoczenie. - Co pani robi na dole? John mówił, że ma pani jakąś infekcję i że nie wolno się do pani zbliżać.

Dziewczyna zapewne roześmiałaby się z tego głupiego kłamstwa, gdyby nie była tak zrozpaczona i zdecydowana ratować Guya. Każda chwila była teraz na wagę złota.

- Gdzie pani mąż?

- Zwykle przesiaduje w zbrojowni. Ale o co... ?

- Przepraszam, nie czas na wyjaśnienia! - zawołała Helena i już biegła do drzwi. — Gwałtownie je szarpnęła i niemal j zderzyła się z panem Weirem, który słyszał tupot jej nóg na korytarzu i krzyk.

- Co się dzieje, na litość boską?! - Gniew wykrzywił jego twarz. - Miała pani siedzieć w swoim pokoju.

Taka była umowa. Lord Varington się o tym dowie!

Helena nie mogła złapać tchu z wysiłku i zdenerwowania.

- Guy jest w niebezpieczeństwie - wydyszała z trudem. -

Stephen wrócił. Jego powóz właśnie przemknął drogą w szalonym pędzie.

- Co to za bzdury - warknął John. - Tayburn jest w Londynie.

- Wrócił.

- To niemożliwe. Nie mógł wrócić tak szybko, nie zdążyłby.

- Panie Weir, musimy ostrzec Guya - rzekła podniesionym głosem.

- Proszę się uspokoić. Skąd pewność, że to był powóz Tay-burna?

Helena z trudem powstrzymywała się, by na niego nie wrzasnąć.

- Ma pan wątpliwości, czy znam herb sir Stephena? - zapytała. - Powiedzieć panu, co przedstawia?

Dobrze, niech pan tu sobie stoi i deliberuje, czy się pomyliłam, czy też nie, ale w ten sposób, daje pan Stephenowi czas na schwytanie lorda Varingtona! W każdym razie ja nie zamierzam beczynn timer czekać. -

Zauważyła subtelną zmianę w wyrazie twarzy gospodarza.

-Nie możemy przecież zatrzymać Tayburna - powiedział.

- Spróbujmy - odparła. - Pomoże mi pan czy nie? - Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Guy wziął pańską łódź wiosłową, ale ma pan drugą, prawda, panie Weir?

- Mam małą żaglówkę zacumowaną przy molo. A więc była nadzieja!

- Proszę wysłać konno jednego ze swoich ludzi do Bri-gurd Point. Niech przedziurawi dna wszystkich łodzi, jakie tam znajdzie. My wypłyniemy stąd i najkrótszą drogą dotrzemy do Dunleish.



**Margaret McPhee**

- Zobaczą nas. Z zaniku będziemy widoczni jak na dłoni. Dlatego właśnie Guy wybrał inną drogę.

- To już bez znaczenia - powiedziała Helena. - Nie ma czasu na nic innego. Musimy wymyślić jakąś przekonującą historyjkę dla strażników.

- Tayburn zostawia strażę? - Oczy Weira się zwęziły.

- Tak - potwierdziła ponuro. Lodowata determinacja zastąpiła teraz poprzednią panikę. Helena wiedziała, co należy zrobić. - Na murach zawsze czuwają strażę.

Oboje przystąpili do działania. Weir wykrzykiwał rozkazy, by natychmiast siodłać konia, a potem popędził do zbrojowni. Ona zaś pobiegła na górę po swój obramowany futrem płaszcz i błyskawicznie wróciła do salonu. Przed powrotem Johna zdążyła jeszcze udzielić lakonicznych wyjaśnień pani Weir, która przyglądała się temu zamieszaniu z szeroko otwartymi oczami.

- Annabel, zabierz dziewczynki, wsiadaj do powozu i jedź natychmiast do swoich rodziców. Zostań tam, dopóki po was nie przyjadę. - Małżonek cmoknął zdziwioną kobietę w policzek.

- Ale, John...

- Rób, co powiedziałem. Nie chcę, by Tayburn czy któryś z jego ludzi was tutaj znalazł.

Pani Weir zmartwiała i pobladła, kiwnęła jednak głową na znak, że zrozumiała słowa męża.

Helena i John pobiegli do drzwi. Stajenny wyjechał po chwili galopem z zatkniętym za pasek toporkiem.

Drugi koń stał już gotowy do drogi, trzymany przez służącego za uzdę. Pan Weir dosiadł go i posadził dziewczynę przed sobą. Zwierzę, wyczuwając napięcie ludzi, zarżało i wspięło się na zadnie nogi.

Jeździec skierował wierzchowca na wąską ścieżkę bieg-

## Ucieczka Heleny

213

nącą pomiędzy kępami wrzosów. Szybko dotarli nad brzeg morza i puścili się galopem po twardym piasku najkrótszą drogą do przystani. Przy każdym uderzeniu kopyt o podłoże, przy każdym uniesieniu siodła, Helena krzyczała w myślach: „Guy! Guy! On nadjeżdża”. Powtarzała te słowa w kółko jak mantrę, jakby próbowała przekazać mu tę wiadomość telepatycznie.

Guy przerwał wspinaczkę krętymi kamiennymi schodami i nasłuchiwał. Odległy gwar. Słabe trzaśnięcie drzwiami. Odgłosy dobiegały z daleka. Miał jednak poczucie zagrożenia, silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Podjął wspinanie się, starając się otrząsnąć ze złego przeczucia, zignorować je. Z każdą chwilą przybierało jednak na sile. Nagle stanęła mu przed oczami Helena. Rudowłosa piękność, której długie, rozpuszczone włosy stanowiły taką pokusę, która wyciągała do niego ręce. Boże, ależ z niego mięczak! Uśmiechnął się na tę myśl. Dotarł wreszcie na samą górę i ruszył w głąb korytarza. Po niedługim czasie stanął pod drzwiami zaznaczonymi na planie literą X. W zamku nie było klucza. Nie było też straży przed wejściem. Oczy Guya zwęziły się podejrzliwie. Przekręcił gałkę i drzwi stanęły otworem. Pchnął je, nie ruszając się z miejsca, na wypadek gdyby ktoś za nimi stał. A potem przeszedł przez próg i zatrzymał się. W pokoju panował półmrok, którego nie rozpraszał ani ogień na kominku, ani światło świec. Przez wąskie okienko w samym rogu widział zasnutę ciemnymi, ciężkimi chmurami niebo. Szybko omiół wzrokiem pomieszczenie. W kącie, obok zięjącego chłodem paleniska, dostrzegł wąskie łóżko i stertę cienkich koców. W pokoju nie było innych mebli. Raczej wyczuł, niż spostrzegł jakiś ruch.

**Margaret McPhee**

Dziewczyna stała wciśnięta w kąt przy drzwiach, z dala od okna.

Szybko podszedł i szeptem zwrócił się do niej po imieniu.

- Emma?

Patrzyła na niego w milczeniu, z jej oczu wyzierał strach.

- Helena przysłała mnie na ratunek.

Nadal ani słowa. Guy zaczynał się obawiać, że Tayburn doprowadził ją do obłądu.

- Emmo - powtórzył i pomału wyciągnął do niej rękę. - Nie mamy zbyt wiele czasu. Chodź szybko, pomogę ci.

- Helena pana przysłała? - odezwała się w końcu.

- Tak. - Leciutko popchnął ją do przodu.

- Więc ona naprawdę żyje?

- Jak najbardziej. - Guy obdarzył dziewczynę krzepiącym uśmiechem.

Wydała z siebie nieokreślony dźwięk, ni to westchnienie, ni to szloch, i Wreszcie podała mu rękę.

- Nazywam się Varrington. Odwrócił się, by opuścić pokój, trzymając ją ukrytą za plecami.

- Niech pan zaczeka! - szepnęła. Zatrzymał się z lekkim zniecierpliwieniem.

- Nie możemy zostawić Agnes i starego Tama. Słyszałam, jak Tayburn mówił, co z nimi zrobi. Na razie ich oszczędził, bo chce to zrobić na jej oczach.

- Służący Heleny? Twoja siostra myślała, że oboje utonęli podczas ucieczki.

Emma zaprzeczyła ruchem głowy.

- Gdzie teraz są? - zapytał.

- W lochu. Powiedział, że też tam wyląduję, jeśli spróbuję wyjść z tego pokoju.

- Więc zostałam.

## Ucieczka Heleny

215

Kiwnęła głową.

- Pan nie wie, jaki on jest. Nie rozumiem, jak ona mogła tu wytrzymać przez tyle lat. Mnie nawet nie tknął, a i tak nie mogłam go znieść.

- Wobec tego musimy zejść do lochu - stwierdził Guy ponuro.

Czarna karetka przemknęła przez wioskę Kilbride i zatrzymała się dopiero przy budynku w pobliżu Brigurd Point. Tayburn zeskoczył na ziemię, nie czekając, aż powóz stanie. Frontowe drzwi domu się otworzyły, w holu stał już służący z kryształowym kieliszkiem ulubionej brandy swego pana na srebrnej tacy. Stephen porwał kieliszek i opróżnił go jednym haustem. Potem, nie zaszczyciwszy nawet słowem swojej żony, która stała niepewnie w holu, odwrócił się i wypadł na dwór, gdzie trzymano już dla niego osiodłanego wierzchowca. Galopem pognął do Seamill Hall.

Ulga Caroline nie trwała długo, bo już po upływie pół godziny jej mąż wrócił z twarzą zaczerwienioną z gniewu i głośno trzasnął drzwiami.

- Przygotować mi żaglówkę! Natychmiast!

Cały dom rzucił się do działania. Ludzie biegali jak w ukropie, rozlegał się cichy szmer głosów.

- Caroline! - ryknął. - Gdzie jesteś, do diabła? Caroline! Pojawiła się w drzwiach salonu.

- Do kroćset! Ruszamy do Dunleish. Natychmiast! - Jego ciemne oczy rzucały diabelskie błyski, usta wykrzywił groźny grymas.

Wzrok pani Tayburn spoczął na dziewczynie, której ręce były unieruchomione w uścisku Stephena.

Miała na sobie

**Margaret McPhee**

strój pokojówki i Caroline domyśliła się, że mąż zabrał ją z Seamill Hall.

- Co... co się stało? - zapytała i natychmiast tego pożałowała.

Skierował na nią całą siłę swego przerażającego spojrzenia, aż zatoczyła się do tyłu.

- W czasie gdy ja wałęsałem się po całym kraju, Varington wkradł się do Dunleish. Pokojówka Weirów na pewno chętnie zapozna cię ze wszystkimi szczegółami podczas przeprawy na wyspę. - Popchnął ją w stronę swojej żony. - Pilnuj jej. Jeśli ucieknie, zamorduję was obie.

Pojmana biedaczka, Senga, potknęła się i runęła jak długa na podłogę.

Tayburn odwrócił się w stronę służącego, który nadszedł w tej chwili.

- No? - zwrócił się do niego ostrym tonem. Tamten się cofnął.

- Sir - odezwał się drżącym głosem, a jego twarz pobladła.

Senga zaczęła gramolić się z podłogi.

- Zostań tam! - warknął na nią Tayburn z furią i zwrócił się do swego sługi: - No, co masz mi do powiedzenia? - zapytał złowieszczo spokojnym głosem.

Przerażony mężczyzna głośno przełknął ślinę i zdławionym szeptem przekazał sir Stephenowi złą wiadomość.

- Wszystkie łodzie zostały podziurawione.

Zapadła cisza. Twarze obecnych zwróciły się ku Taybur-nowi zastygłe z grozy. Nikt nie ośmielił się poruszyć. Na jego twarzy zaś nie drgnął ani jeden mięsień.

- Weź dużą żaglówkę z przystani - powiedział. - Jeśli nie będzie gotowa do rejsu za dziesięć minut, to urwę ci łeb. -

Przykucnął nad leżącą na podłodze Sengą, chwycił ją brutalnie pod brodę i spojrzał prosto w oczy. - Nie powiedziałaś mi

o tym drobiazgu, słonko.

- Nie wiedziałam o tym - odrzekła, szlochając. - Przysięgam, że nie wiedziałam.

- Zawsze tak mówicie. - Mocniej wbił palce w jej policzek. - Ucieszy cię pewnie wiadomość, że zarówno wiatr, jak i przyptyw będą nam sprzyjać. - Jeszcze mocniej zacisnął palce. - A Cerberus jest najszybszym jachtem w tej okolicy. Zmów modlitwę za swego pana. - Powiedziawszy to, puścił ją, przeszedł nad jej rozciągniętym na posadzce ciałem i zaczął wchodzić po schodach Brigurd House.

Helena nie otworzyła oczu, nawet gdy usłyszała za plecami huk ciężkich, nabijanych ćwiekami wrót i uświadomiła sobie, że naprawdę wróciła do Dunleish. Podstęp Weira powiódł się. Strażnicy uwierzyli, że przywłókł ją z powrotem wbrew jej woli, aby zwrócić Tayburnowi jego kobietę i w ten sposób wkraść się w łaski pana St Vey. Gdy dziewczyna poczuła w nozdrzach znajomy zapach, przez krótką chwilę była przerażona, że nie będzie w stanie zrealizować ich wspólnego planu. Ale gdy pomyślała o Guyu i...

Emmie, zrozumiała, że musi wziąć się w garść.

Weir ciągle jeszcze rozmawiał ze strażą zamkową. Słyszała nawet ich śmiechy, brzęk szkła, chlupot nalewanego płynu, czuła zapach brandy. Została przekazana z rąk do rąk, ale nadal nie otwierała oczu, a jej ciało pozostało bezwładne. Głowa Heleny opadła na ramię jakiegoś mężczyzny, owionął ją odór niemytego męskiego ciała. Potem usłyszała otwieranie

1 zamykanie drzwi, a wreszcie ciężkie kroki tego, który niósł ją po schodach. Szurał butami po kamiennych stopniach, za-

**Margaret McPhee**

wadzając jej nogami o ściany korytarza. Pierwsze piętro. Nie otworzyła oczu nawet wtedy, kiedy rzucił ją na łóżko. Wiedziała, gdzie jest.

Potem usłyszała podzwanianie kluczy i mamrotanie zdyszanego Raba.

- Tym razem już stąd nie uciekniesz, gołąbeczko. Poczekaj tylko, aż jego lordowska mość zobaczy, jaką mamy dla niego niespodziankę.

Kroki, trzaśnięcie drzwiami i chrobot klucza w zamku. Zamknęli ją. Mężczyzna się oddalił, pobrzękiwanie kluczy ucichło. Helena otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą wilgotny sufit ozdobiony stiukami. Uśmiechnęła się. A więc była dokładnie tam, gdzie chciała się znaleźć. W pokoju, który Stephen przeznaczył na jej więzienie.

Szybko wstała z łóżka. Z drewnianej komody stojącej w rogu wyjęła stertę odzieży i uformowała z niej na łóżku kształt skulonej postaci, który następnie starannie okryła kocem. Potem wyjęła z kieszeni srebrny kluczyk, modląc się w duchu, żeby Weirowi udało się jak najdłużej koncentrować na sobie uwagę strażników. Mocno owinęła się podbitą futrem peleryną i z pozornym spokojem podeszła do drzwi. Podeszwy jej butów głośno stukały o kamienną posadzkę. Zatrzymała się i nasłuchiwała przez chwilę. Cisza. Szybko zdjęła buty i ukryła je pod łóżkiem. Była gotowa. Bezszelestnie tym razem dotarła do drzwi, wsunęła klucz w dziurkę i przekręciła.

Korytarz był pusty i surowy, bez stiuków na suficie, bez tapet na ścianach, bez żadnych sprzętów. Tylko wykuty trzysta lat temu w czerwonym kamieniu mur. Podłogę stanowiły wielkie kamienne płyty. Jedynym źródłem światła była usytuowana pośrodku przedpotopowa pochodnia, której ruchliwy, niespokojny płomień rzucał na ściany głębokie cienie. Helena

## Ucieczka Heleny

219

wiedziała, dokąd iść. Szybko i cicho ruszyła do pokoju, który zaznaczyła na mapie literą X. Jeżeli nie znajdzie tam Guya i Emmy, będzie musiała zejść do lochu.

Po uwolnieniu z lochu starego Tama i pokojówki Agnes lord Yarrington poprowadził ich do wyjścia z tego posępnego miejsca. Niewielka grupka pospiesznie przemierzała wilgotne, oświedone pochodnią korytarze, kierując się ku południowo-zachodniej wieży z jej tajemnym wyjściem.

Nagle gdzieś nad ich głowami głośno trzasnęły drzwi. Zamarli.

- Co to było? - zapytała Emma, a pozostali zadali je sobie w duchu..

Guy poczuł, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Ogarnęło go złe przeczucie. Nie, to przecież niemożliwe. Tayburn był w Londynie. Nie mógł być tutaj. Poczucie zagrożenia było jednak silniejsze od logiki.

-To nic. W drogę. Po cichu - powiedział spokojnym i pewnym głosem, wskazując gestem kierunek.

Światło umocowanej wysoko na ścianie pochodni padło na ostrze jego noża. Nikt nie zauważył, że wicehrabia mocniej zacisnął palce na rękojeści.

Wtedy rozległ się krzyk. Przerażający, przenikliwy wrzask dobiegający z góry, znad ich głów. Cisza, jaka po nim nastąpiła, zwiększyła jeszcze grozę.

- To on. Wrócił - głos Emmy drżał ze strachu. Pokojówka zaszlochała i bezwładnie oparła się o ścianę.

- Boże, miej w opiece nasze dusze.

- Nie zatrzymujmy się, w drogę - powiedział lord Yarrington ponuro i zmusił ich do marszu.



**Margaret McPhee**

Helena była już w lochu, gdy usłyszała krzyk i serce jej się ścisnęło. Zdarzało jej się słyszeć podobne krzyki już dawniej i doskonale wiedziała, co oznaczają. Poczowała mdłości. Napływały falami i były tak silne, że obawiała się, iż zaraz zwymiotuje. Kolana się pod nią ugięły i sparaliżował ją strach tak paniczny, że nie mogła zrobić kroku, wydobyć z siebie głosu, nawet oddychać. Stała jak wmurowana w wilgotnym, posępnym, przesyconym odorem śmierci pomieszczeniu i daremnie próbowała zmusić nogi do ruchu. Ale nagle w tę dławiącą, mroczną grozę wdarła się myśl o Guyu. Jego jasnych, przenikliwych oczach. Uśmiechu, który tak łatwo wypływał na usta. Myśl o śmiertelnym ryzyku, które podjął... dla niej. Zalała ją fala czułości, której ciepło stopiło lodowatą skorupę trwogi. Uwagę Heleny przyciągnął jakiś błysk na brudnej podłodze. Zobaczyła mały metalowy przedmiot, a tuż obok otwarte kajdany. Pochyliła się i zacisnęła je w rękę. Poczowała przyływ odwagi, bo teraz już wiedziała, że Guy tutaj był i że nie odszedł sam. W kącie lochu zapiszczały szczury, ale ona już tego nie słyszała. Pobiegła do drzwi po wilgotnej, przegniłej słomie. Znała bowiem plan lorda Varingtona. Istniała tylko jedna droga, którą mógł opuścić zamek. Skierowała się do południowo-zachodniej wieży.

Schodzili po kamiennych spiralnych schodach i już tylko parę jardów dzieliło ich od sekretnego tunelu. Wicehrabia pokonał ostatnie stopnie, skręcił w prawo i... skamieniał. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Instynktownie mocniej zacisnął w rękę rękojeść noża.

- Zawracać! - krzyknął do tyłu.

Było już za późno na ucieczkę. Patrzył prosto w przepast-

## **Uciezka Heleny**

221

ne, czarne źrenice człowieka o białych włosach związanych z tyłu czarną aksamitką. Znał nazwisko tego mężczyzny, prezentacja nie była potrzebna: Tayburn.

## **Rozdział czternasty**

- Varrington - wypluł Stephen pogardliwie. - Przyszedłeś znów mnie okraść? Jeszcze ci mało? - Jego wzrok powędrował ku Emmie i Agnes, po czym wrócił znowu do Guya. - Wygląda na to, że jeśli chodzi o kobiety, to mamy podobny gust. - Tayburn wyglądał na zrelaksowanego, stał w leniwej, swobodnej postawie. Jego spojrzenie spoczęło na starym człowieku, który zamykał niewielką grupkę uciekinierów. - A może jednak kierowałeś się innymi względami w doborze... mojej własności.

Zatęchły odór korytarza zgęstniał. Guy spojrzał w mroczne źrenice stojącego przed nim mężczyzny i przemknęło mu przez myśl, że miał przed sobą samego diabła. Było w Tay-burnie coś szczególnego, co sprawiało, że nie musiał się nawet odezwać, poruszyć czy choćby zmarszczyć brwi, by roztaczać wokół siebie aurę zepsucia.

-1 co, nie masz mi nic do powiedzenia, Yarrington? Straciłeś język? - Odwrócił spojrzenie czarnych oczu w inną stronę. - To się wkrótce może zdarzyć - dodał ciszej, na tyle jednak głośno, by jego słowa dotarły do Guya.

Wicehrabia cofnął się o krok, potem jeszcze jeden, zmuszając kobiety i starca do powrotu na schody.

Kiedy skryli się

## Ucieczka Heleny

223

za załomem muru, wskoczył na najniższy stopień i własnym ciałem zagroził Stephenowi drogę do Emmy, Agnes i starego Tama.

- Masz sprawę ze mną. Pozwól pozostałym odejść. Tayburn wybuchnął śmiechem, który nawet lorda Varringtona przyprawił o drżenie.

- Oni stanowią moją własność i nie zamierzam pozwolić im odejść.

- Oni nie są niczyją własnością.

Głośny rechot umilkł, ale na ustach Stephena pozostał uśmiech tak straszliwy, że trudno było go znieść.

Guy usłyszał, że stojąca za jego plecami Emma spazmatycznie wciągnęła powietrze.

- Są tym, czym chcę, żeby byli. Poza tym, co mógłbyś mi dać w zamian za nich? Nie masz nic na wymianę.

- Tak sądzisz?

- Jesteś w moim zamku, w moich rękach. Rozedrę cię na strzępy. Jak powiedziałem, nie masz nic na wymianę.

- On ma Helenę! - krzyknęła Emma z udawaną brawurą. - Jeśli nas zabijesz, to nigdy jej nie odzyskasz!

Tayburn uniósł wysoko ciemną brew, dotykając nią bezbarwnych włosów.

- Doprawdy, jesteś wyjątkowo źle poinformowana, moja droga. Helena wróciła tutaj, gdzie jej miejsce... do mnie.

- Nie! - krzyknęła porywczo Emma.

- To nie ma znaczenia - stwierdził Guy spokojnie. - I tak nie próbowałbym frymarczyć życiem Heleny.

- Więc my wszyscy możemy pożegnać się z życiem - powiedziała przerażona dziewczyna i zaszlochała. Stephen odgarnął z twarzy kosmyk białych włosów, który wysunął się z aksamitki.

**Margaret McPhee**

- Widzisz, Helena zauważyła mój powóz, kiedy przejeżdżałem pod oknami Seamill Hall. - Z uwagą studiował środkowy palec swej prawej ręki. -1 wpadła na głupi pomysł, żeby was ostrzec o moim powrocie. - Przeniósł spojrzenie na twarz Guya. - Weir ją tu przywiózł.

Lord Varington zachował kamienny spokój. Helena nie wróciłaby tutaj, pomyślał, przecież podjęła największe ryzyko, żeby stąd uciec. I dała słowo, że zwróci się do jego brata, gdyby coś poszło nie tak. Nagle jednak przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała tego ranka. „Nie zostawię cię przecież w Dunleish!“. Zrozumiał, że Tayburn mówił prawdę. Na moment stanął mu przed oczami jej słodki uśmiech, usłyszał jej miękki głos i serce mu się ścisnęło. Helena. Widział jej cierpienie i smutek, jej strach i gniew, jej namiętność i... miłość. I dopiero w tym momencie, w wilgotnych lochach tego zamku, Guy zrozumiał własne uczucia. Mało brakowało, a wybuchnąłby śmiechem, tak go rozbawiła świadomość, że dotarło to do niego w takiej sytuacji, teraz, kiedy miał przed sobą Tayburna i jego zbrojnych ludzi, a za sobą gromadkę przerażonych ludzi, których próbował ratować.

- W rewanżu ja przywiozłem mu jedną z jego pokojówek. Okazała się nader skłonna do współpracy... po pewnej dozie perswazji.

Guy milczał. Oprawcy Stephena mieli przewagę liczebną. I broń. A on, sam i bezbronny, nie zamierzał jednak opuścić tych, których przybył ratować. I nagle doszło do głosu jego doświadczenie wojenne, dały o sobie znać lata treningu. Emocje odpłynęły. Oczy chłodno oceniały pozycję przeciwnika, odległość, ewentualne drogi odwrotu. Mózg analizował dane, szukał słabych i mocnych stron, sposobów, jak rozpocząć grę na zwłokę.

- On kłamie, prawda? - W głosie Emmy wyczuwało się niepewność. - Prawda? - W jej błaganiu była bezradność i brak nadziei.
- Ja nigdy nie kłamię - oświadczył Tayburn niemal dobrodusznie. - Nie muszę kłamać. - W jego oczach zapłonęła mroczna zapowiedź śmierci.
- Trudno mi w to uwierzyć - mruknął wicehrabia.
- W co? W moją prawdomówność czy raczej w to, że ta dziwka wróciła do mnie i siedzi zamknięta pod kluczem?
- W jedno i drugie - stwierdził Guy z niedowierzaniem.
- Sam się przekonasz, Varington. I to niedługo.
- Doprawdy? - zapytał wicehrabia z kpiącym zdumieniem. - Jakoś nie mogę w to uwierzyć. - Miał doskonały punkt obserwacyjny, widział wyloty wszystkich korytarzy prowadzących ku schodom. Zobaczył już dość Utkwił zatem wzrok w przeciwniku.
- Górna warga Stephena uniosła się nieco, odsłaniając nieco zbyt długie kły.
- Co ty gadasz, Varington? Mam w ręku wszystkie atuty: Helenę, tych cholernych sługusów, którzy pomogli jej w ucieczce, jej siostrę, Weira i... ciebie samego, oczywiście. Ty zaś... ty masz w ręku... Zastanówmy się... - Urwał, udając, że się zastanawia. Popukał się palcem w brodę, po czym nagle wycelował ten palec w Guya. - Tak, ty, szanowny lordzie Varington, nie masz nic. Kompletnie nic. Wicehrabia wzruszył ramionami, jakby nie miało to najmniejszego znaczenia.
- Możliwe - przyznał. - Jednak niewykluczone, że gruba wełniana tkanina zasłania ci pole widzenia.
- O czym ty gadasz, do Ucha? - warknął osłupiały Tayburn.

**Margaret McPhee**

- O tym, że masz zasłonięte oczy. Chyba nie sądzisz, że wybrałem się do Dunleish bez paru asów w rękawie.

Czarne oczy zwęziły się w szparki. Stephen zrobił krok do przodu i w jego lewej ręce zabłysła niewidoczna dotychczas długa szpada.

- Nic nie może umknąć mojej uwagi - stwierdził. - Ja wiem wszystko. - Każde jego słowo było wypowiedane wyraźnie, niemal skandowane. Powoli, znacząco puknął się wskazującym palcem prawej ręki w sam środek czoła - trzecie oko.

Guy wyczuwał przerażenie paraliżujące zarówno ludzi Tay-burna, jak i małą grupkę uciekinierów kryjących się za jego plecami. Zaczął rozumieć źródło potęgi tego nikczemnika.

Stephen uniósł szpadę i wycelował ostrze w pierś wicehrabiego.

Uśmiech, który przemknął po twarzy lorda Varingtona, wyraźnie go rozwścieczył. O to właśnie Guyowi chodziło.

- Zrób to teraz - powiedział, nie odrywając spojrzenia jasnych oczu od czarnych źrenic przeciwnika. Prowokował śmierć. Stał twarzą w twarz ze złem, ale uśmiech nie schodził z jego warg. - Zrób to - powtórzył. - Jeśli się ośmielisz.

Wydawało się, że Tayburn z radością posłucha wezwania.

Bose stopy Heleny cicho stąpały po kamiennej posadzce. Kierowała się w stronę głosów dobiegających gdzieś z przodu. Nagle usłyszała krótki okrzyk przerażenia i zrozumiała, że musiała go wydać Emma. Szybko i cicho przemykała skalnym korytarzem.

Była już dość blisko, by móc rozróżnić poszczególne słowa. Dotarła do pogrążonej w mroku niszy skalnej i ukryła się w niej. Znalazła się za plecami Stephena i jego ludzi, stłoczonych u stóp schodów. Dzieliło ją od nich najwyżej dwadzieś-

## Ucieczka Heleny

227

cia kroków. Guy stał tyłem do schodów i zaciśniętym w dłoni nożem zagradzał Tayburnowi drogę. Emmy nie widziała, ale domyśliła się, że siostra stoi nieco wyżej, na podeście.

Głosy niosły się wyraźnie. Krew zastygła jej w żyłach, gdy szyderczy, triumfujący głos Stephena poinformował wicehrabiego o obecności Heleny na zamku. Znowu poczuła mdłości podchodzące falami do gardła. Bała się, że nie zdoła powstrzymać wymiotów i zdradzi tym samym swoją obecność.

Przylgnęła do ściany, jakby chciała się wtopić w surową, wilgotną skałę. Nagle przemknęło jej przez myśl, żeby uciekać stąd, korzystając z tego, że uwaga Tayburna i jego ludzi jest skoncentrowana na kimś innym.

Ale wówczas usłyszała głos Guya. „Nie będę frymarczyć życiem Heleny”, powiedział spokojnym, pewnym głosem. I zrobiło się jej wstyd własnego tchórzostwa i egoizmu, a przede wszystkim tej myśli, która przemknęła jej przez głowę i przez moment wydawała się tak kusząca. „Nie będę frymarczyć życiem Heleny”. Tłący się w głębi jej duszy wąty płomycek determinacji buchnął nagle potężnym płomieniem. Nie dopuści, by ryzykował własnym życiem! Nie w walce ze Stephenem. Nie mężczyzna, którego kochała. Nie miała bronii. Nie miała nic. Nieważne. Tayburn zamierzał zabić Guya, a ona postanowiła go powstrzymać. Po cichu wyszła na korytarz i zaczęła posuwać się do przodu.

Bezszelestnie, krok za krokiem, zbliżała się do sir Stephena.

Właściwie nie miała pojęcia, co zrobi. Ale widziała już wyraźnie Guya i była zdecydowana go ocalić. Rozmawiał z Tayburnem takim tonem, jakby siedzieli naprzeciw siebie przy partyjce kart, a nie wadzili się w mrocznych podziemiach zamku potwora. Bez lęku. Z nożem w ręku zagradzał drogę jemu i jego ludziom. Helena wiedziała, że Stephen zawsze miał



**Margaret McPhee**

przy sobie szpadę. Dziwiła się, że nikt nie usłyszał jej kroków. Przez cały czas spodziewała się, że któryś z mężczyzn się obejrzy i ją zobaczy. Ale żaden się nie odwrócił.

Zadziwiająco, ale teraz, kiedy zbliżała się, by stawić czoło Stephenowi, jej strach był znacznie mniejszy niż wówczas, gdy kryła się w skalnej niszy. Krok za krokiem, bliżej i bliżej, ciągle naprzód. Ręce Heleny wisiały teraz bezwładnie po bokach, a obramowana futrem peleryna trzymała się tylko na ramionach. Posuwała się naprzód, mając przed oczami tylko jeden cel: dać innym ostatnią szansę uratowania się przed Taybur-nem. Wydawało się, że lord Varington jej nie zauważył. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę szalona myśl, że stała się niewidzialna. A potem usłyszała słowa Guya:

- Niewykluczone, że gruba wełniana tkanina zasłania ci pole widzenia.

- O czym ty gadasz, do licha? - zapytał Stephen gniewnie.

- O tym, że masz zasłonięte oczy.

Już wiedziała, co robić, zrozumiała przesłanie. Rozpięty płaszcz miękko spłynął do jej stóp.

- Zrób to teraz - powiedział Guy, ani na moment nie odrywając wzroku od przeciwnika. - Zrób to, jeśli się odważysz.

Tayburn zbyt późno wyczuł jej obecność. Zbyt późno się odwrócił. Helena zarzuciła mu na głowę pelerynę i rozpętało się piekło. Z wściekłym rykiem szarpał zasłaniający mu oczy materiał, próbował rozciąć oślepiający go płaszcz. Ale szpada w jego dłoni była ciężka, a materiał gruby i obszerny. Spod peleryny dobiegały ordynarne przekleństwa. Ludzie Stephena stali jak wmurowani, zaszokowani sceną, jaka rozgrywała się na ich oczach. On sam ryczał, by mu pomogli, i rozpaczliwie wymachiwał na oślep szpadą, by nie dopuścić Guya w pobli-

## Ucieczka Heleny

229

że, nic więc dziwnego, że żaden z jego sług nie miał odwagi się zbliżyć.

- Niech pan rzuci szpadę, sir! - krzyknął jeden z nich. - Nie możemy podejść!

Szpada Tayburna znieruchomiała.

Helena się nie zawahała. Jeśli nie wykorzysta tej okazji, drugiej nie będzie. Nic poza wirującym ostrzem trzymanej przez Stephena broni nie oddzielało jej od Guya. Pędem puściła się przez wąski przesmyk.

- Guy!

Znalazła się w jego ramionach, a on jednym płynnym ruchem przesunął ją za swoje plecy. I choć widziała, że w tym momencie Stephen zrzucił z głowy zasłonę, poczuła ogromną ulgę.

Lord Varington skoczył błyskawicznie. Zanim obramowana futrem peleryna zdążyła opaść na ziemię, rzucił się naprzód, wczepił rękę w śnieżnobiałe włosy Tayburna i szarpnął jego głowę do tyłu, by odsłonić szyję. W drugiej ręce trzymał mały, ale doskonale naostrzony nóż. Przytknął ostrze do naprężonej skóry.

- Każ swoim ludziom rzucić broń albo już po tobie - rozkazał, stojąc tuż za plecami Stephena.

- Prędzej zobaczę cię w piekle - wycedził Tayburn.

Na ustach wicehrabiego pojawił się ponury uśmiech. Mocniej przycisnął ostrze do gardła przeciwnika, na którego białej skórze pojawiła się jaskrawoczerwona krecha.

- Bóg jeden wie, jak bardzo o tym marzyłem. No, dalej, daj mi tylko pretekst, a z prawdziwą przyjemnością poderżnę ci gardło i będę się przyglądał, jak twoja krew wypływa z żył i ścieka po skale. To nie zrekompensuje wszystkich cierpień, jakich przysporzyłeś Helenie, ale będzie musiało wystarczyć.

**Margaret McPhee**

Tayburn wbił spojrzenie czarnych, błyszczących jak paciorki oczu w swoich ludzi, ale z jego ust nie padły żadne słowa.

Prawa ręka Guya wykonała drobny gest i po szyi Stephena popłynęła strużka krwi.

Jego ludzie gapili się w osłupieniu na widowisko rozgrywające się przed ich oczami, kompletnie bezradni w sytuacji, z której nie było dobrego wyjścia.

- Róbcie, co on każe. Rzućcie broń - warknął ich pan.

- Jaka szkoda - mruknął lord Yarrington sarkastycznie. - A tak chciałem wyekspediować cię na tamten świat.

Tayburn nie odpowiedział, ale jego wściekłość była wyczuwalna, jak żywa, oddychająca istota.

Trzy noże, dwa pistolety i jedna pałka uderzyły o kamienną podłogę.

Helena chciała je pozbierać, ale Guy ją powstrzymał. Wolał, by nie podchodziła zbyt blisko do rzezimieszków z Dun-leish.

- Tam, zbierz broń i rozdaj ją kobietom - rzucił przez ramię. - Pałkę zatrzymaj dla siebie. Wyjmij z mojej lewej kieszeni sznur i skrępuj im wszystkim ręce.

Oczy Heleny rozszerzyły się, kiedy starzec wynurzył się z mroku.

- Tam? - W jej głosie dało się wyczuć niedowierzenie.

- Panienska Helena... - starzec westchnął. - Tak się o panienskę bałem.

- Tam. - Guy wskazał gestem stertę broni. - Wyjaśnienia i powitania muszą poczekać, aż znajdziemy się w innym miejscu.

Starzec kiwnął głową i wypełnił polecenie.

- Hej, wy - zwrócił się Guy do ludzi Tayburna. - Idźcie przede mną, żebym was wszystkich widział.

Prowadźcie do

## Ucieczka Heleny

231

frontowych drzwi. Jeśli będziecie robić, co każę, nikomu nie stanie się nic złego. - Dopiero kiedy mężczyźni ustawili się przed nim twarzami w stronę korytarza, zwrócił się do Heleny: - Znasz drogę do wyjścia. Daj mi znać, gdyby próbowali jakichś sztuczek. - Mówił stanowczym, rzeczowym tonem.

Ich oczy spotkały się na moment. Próbował dodać jej siły tym spojrzeniem, ale zaraz znów skoncentrował się na swym zadaniu. Sytuacja była bardzo poważna i wystarczył jeden drobny błąd, by znów dostali się w łapy Stephena. Jedna oznaka słabości i wszystko będzie stracone. A Guy nie chciał stracić Heleny. Ani na rzecz Tayburna, ani nikogo innego.

- Jeśli ci się zdaje, że zdołasz tak po prostu stąd odejść, to bardzo się mylisz, Varington. - Głos łotra był ostry jak brzytwa. - Ucieczka jest niemożliwa. Zapytaj Helenę, ona ci powie. Prawda, moja ukochana? Wicehrabia wyczuł, że stojąca u jego boku kobieta zeszywniała, a .kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był niski i nabrzmiały nienawiścią.

- Nie jestem twoją ukochaną - rzuciła. - I nigdy nie byłam.

- Ale i tak jesteś moja, Heleno McGregor. I nigdy ode mnie nie uciekniesz.

- Spokój! - Guy mocniej szarpnął do tyłu głowę Tayburna. - Uciekniemy stąd wszyscy, ponieważ ty sam doprowadzisz nas do drzwi. Ruszaj, zanim zmienię zdanie i poderżnę ci gardło.

- Jesteś śmieszny, Yarington. Wszędzie w pobliżu są moi ludzie. Zabij mnie, a nie ujdiesz nawet dwóch kroków, bo rozszarpia cię na strzępy.

- Czyżby? Lojalność oparta na strachu i brutalności jest bardzo krucha. Naprawdę myślisz, że twoi słudzy kiwnęliby

**Margaret McPhee**

palcem, żeby mnie zatrzymać, gdybyś nie żył? Dlaczego mieliby ryzykować, skoro przestałaby istnieć groźba, jaką ich przy sobie trzymasz? Spójrz prawdzie w oczy, Tayburn. Po twojej śmierci żaden z tych ludzi nie ruszy nawet palcem, żeby nam przeszkodzić w opuszczeniu zamku.

- Kłamca! - warknął Stephen, ale to słowo zabrzmiało jakoś głucho.

Cała grupa posuwała się powoli oświeconym pochodniami korytarzem w stronę północno-zachodniej wieży.

Helena nie mogła uwierzyć, że uda im się zrealizować ten brawurowy plan. A jednak, krok za krokiem, cal za cal, zbliżali się do bram zamku. Napięcie stawało się niemal nie do zniesienia. Szli w milczeniu, przerywanym tylko od czasu do czasu rzucanymi przez lorda Yarringtona ostrzeżeniami. Prowadzili ich ludzie Tayburna, rozbrojeni, z rękami skrupowanymi na plecach. Za nimi postępował ich pan, również ze związanymi rękami, z nożem przytkniętym przez Guya do pleców. Obok zaś Helena z ciężkim pistoletem w dłoni. Tylną straż stanowili Emma, Agnes i stary Tam.

Wreszcie dotarli do schodów północno-zachodniej wieży prowadzących do głównego wyjścia. Helena nie łudziła się, że niebezpieczeństwo minęło. Nie potrzebowała ostrzegawczego spojrzenia Guya, by o tym wiedzieć. Schody były zbyt wąskie, by wicehrabia mógł iść obok Tayburna. Przesunął przytknięty do jego pleców nóż i ujął sznur krępujący jego ręce. Na krętych, słabo oświeconych schodach łatwo było się potknąć i upaść. Tutaj Stephen miał największe szanse na ucieczkę. Wystarczyłby jeden błąd, najmniejsza pomyłka. Helena modliła się, by nie dostał tej szansy.

Lewą ręką opierała się o wilgotną ścianę, żeby nie zrobić fałszywego kroku na krętych schodach. W miarę jak wcho-

## Ucieczka Heleny

233

dzili coraz wyżej, powietrze stawało się mniej zatechłe. Wreszcie dotarli do okna, a właściwie wąskiego otworu w murze i wciągnęli w nozdrza świeże, morskie powietrze. Pomimo chłodu i wilgoci po plecach Heleny spływał pot. Pistolet ciążył jej w dłoni, ale nie opuszczała lufy, żeby być gotowa na najgorsze, które - czuła to - musiało nadejść. Tayburn szedł w górę bez oporu, zresztą miał związane ręce i czuł na plecach ostrze noża Guya. Skąd więc to graniczące z pewnością jej przekonanie, że coś pójdzie źle? Stephen powiedział, że nie zdołają tak po prostu wyjść z Dunleish. A może jednak? Helena wspinała się po schodach, nie przestając rozglądać się badawczo, ani na moment nie odrywając dłoni od wilgotnego muru i nie opuszczając pistoletu. Znaleźli się nagle w zupełnych ciemnościach. Pochodnia, która powinna oświetlać schody, zgasła. W powietrzu unosił się jeszcze zapach dymu.

Helenie włosy zjeżyły się na karku. Powietrze było aż ciężkie od panującego wśród nich napięcia. Lord Varington również je wyczuwał. Zauważyła, że zwolnił i przyciągnął Tayburna bliżej siebie. Musiał mocniej wbić nóż w jego ciało, bo Stephen wydał cichy, podobny do westchnienia pomruk. Uważaj! - chciała zawołać do Guya. - Coś tu jest nie w porządku! Ale to by tylko rozproszyło jego uwagę. Zresztą nie miała żadnych racjonalnych podstaw do podnoszenia alarmu, jedynie własne przeczucia, nagły przyływ strachu.

Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, było szuranie ich stóp na kamiennych schodach. Helena czuła, że strach ściska jej klatkę piersiową żelazną obręczą, dławi w gardle. Starła się z tego otrząsnąć. Próbowwała o tym nie myśleć. Kiedy pokonają schody, pozostanie już prosta droga do wrót... droga ucieczki. Tak blisko. Przed nimi zamigotało jakieś światelko. Tak blisko. Uda się. Boże, uda się!

**Margaret McPhee**

Taka była jej ostatnia myśl, zanim Tayburn odwrócił się raptownie i mocno kopnął Guya. Varington zatoczył się na Helenę. Ziemia usunęła jej się spod nóg, nie miała czego się złapać, nie mogła odzyskać równowagi. Czując, że zaraz runie w dół po kręconych schodach wieży, krzyknęła ostrzegawczo do tych, którzy szli za nią.

Nie spadła jednak. Została poderwana w górę. Ktoś pociągnął ją mocno za rękę i bezpiecznie postawił na nogi.

- Heleno! - usłyszała tuż przy uchu głos Guya i poczuła ciepło jego ciała.

Puścił ją dopiero wtedy, kiedy zniknęło niebezpieczeństwo upadku. Ale było już za późno. Tayburn uciekł. Słyszeli tupot jego nóg na ostatnim podejściu, na samej górze. I wydawane ochryłym rykiem rozkazy. Dziewczyna zrozumiała, że wicehrabia świadomie wypuścił z rąk linę krępującą więźnia, aby ratować ją przed upadkiem. Była tego w pełni świadoma, podobnie jak ceny, którą być może przyjdzie im zapłacić za jego poświęcenie. Słyszała w głosie Stephena radosne podniecenie.

- Nie! - wyszeptała. - O, Boże, nie! - i podniosła na Guya pełne udręki oczy. - Musimy wracać na dół! - Złapała go za rękę i odwróciła się.

- Nie - odrzekł, dotykając jej ramienia.

Pociągnęła go gorączkowo za surdut, próbując zmusić do biegu.

- Szybko, chodźmy! - zawołała.

- Heleno, nie zdołamy dotrzeć do tunelu przed nim. Emma, Agnes i Tam nie ruszali się z miejsca. Oczy dziewcząt były szeroko otwarte i pełne lęku.

- Beze mnie zdołacie. Idźcie beze mnie, milordzie. - To był głos Tama.

## Ucieczka Heleny

235

- To wspaniałomyślna propozycja - powiedział wicehrabia, pełen podziwu dla odwagi starego człowieka. - Ale jesteś mi potrzebny, musisz opiekować się kobietami. Znajdź tunel i wyprowadź je bezpiecznie. Ja zatrzymam Tayburna tak długo, jak się da.

Tam kiwnął głową.

Guy ujął dłoń Heleny i pociągnął ją o stopień wyżej. Znaleźli się na jednym schodku, bardzo blisko. Wpatrywała się w niego oczami pełnymi łez. Nieważne, że Stephen górował nad nimi. Nieważne, że miała umrzeć. Usłyszała słowa, wobec których wszystko inne wydawało się małe i pozbawione znaczenia:

- Kocham cię, Heleno McGregor.

A potem zaczął się skradać po cichu po schodach, z nożem w ręku, gotów stawić czoło Tayburnowi. Łowił uchem cichnące kroki Tama i kobiet, które stary sługa prowadził na dół, do tunelu. Nie obejrzał się, patrzył uporczywie przed siebie, skupiony i czujny w oczekiwaniu na atak, który musiał nastąpić. Jak to dobrze, że wyznał Helenie prawdę, dopóki jeszcze mógł to uczynić. Modlił się, by zdążyła dotrzeć do celu, ale podejrzewał najgorsze. Ludzie Stephena niewątpliwie zdążyli już w pośpiechu do podnóża południowo-zachodniej wieży, aby odciąć jej drogę ucieczki. Mimo to Tayburn nigdy więcej jej nie dotknie. Guy zaprzysiągł to sobie na wszystkie świętości. Śmierć wisiła w powietrzu. W jednym ten potwór się nie mylił - lord Varington nie wyjdzie żywy z Dunleish. Ale Tayburn także. Helena dogoniła pozostałych uciekinierów już na pierwszym podejściu.

- Emmo. - Pocałowała siostrę w policzek. - Wybacz, że cię



**Margaret McPhee**

na to wszystko naraziłam. Czy Tayburn...? - Nie mogła dokończyć pytania. - Czy on bardzo dotkliwie cię skrzywdził? Dziewczyna westchnęła.

- Trzymał mnie zamkniętą w pokoju, ale to wszystko - zapewniła siostrę. - Nie dotknął mnie. On myśli tylko o tobie,

o nikim więcej. Nawet o tej nieszczęsnej istocie, która jest jego żoną. To ona przysłała mi jedzenie i koce. Wiedziała, że tu jestem, a jednak nie powiedziała o nim jednego złego słowa.

- Biedna Caroline. Jest zbyt przerażona i zbyt dumna. Nie osądzaj jej surowo, Emmo. - Objęła ją i uścisnęła. - Dzięki Bogu, jesteś już bezpieczna.

- Nie sądzę, by ktokolwiek z nas był w tej chwili bezpieczny - odparła młodsza siostra i uśmiechnęła się smutno do Heleny.

- Chodźmy, panienki. To nie czas na pogaduszki. - Stary Tam przyzywał je powykręcany reumatyzmem rękami.

Helena wypuściła z objęć Emmę i ujęła za rękę Agnes.

- Wróciłaś do mnie jak duch z zaświatów. Myślałam, że ty

1 Tam poszłicie na dno po katastrofie „Bonnie Lass”.

- Nie, panienko. Ale mieliśmy pecha, bo morze wyrzuciło nas na brzeg przy Brigurd Point. I zaraz zostaliśmy zabrani tutaj.

- Tak mi przykro. - Panna McGregor uścisnęła rękę pokojówki.

- Dziewczęta! - Stary Tam przywoływał je do porządku.

- Idźcie naprzód - Helena zniżyła głos do szeptu. - Wyprowadźcie stąd Tama. Na plaży koło Guli Point znajdziecie łódź wiosłową. Idźcie wzdłuż brzegu, a na pewno jej nie przeocycie. Tam się spotkamy.

- Ale nie możemy przecież iść bez ciebie. Dokąd się wybierasz? - zaprotestowała Emma.

## Ucieczka Heleny

237

- Nie martw się, będę tam - skłamała Helena. - Ale najpierw muszę coś zrobić. No, idźcie już, bo żadne z nas się stąd nie wyrwie. Liczę, że przygotujecie łódź do wyjścia w morze. - I pobiegła korytarzem, zanim ktokolwiek z nich zdążył zaprotestować.

Guy przyłgnał plecami do wilgotnej ściany już prawie u szczytu schodów. Przełożył nóż do prawej ręki, lewą zaś wsunął do kieszeni płaszcza.

- Wyłaź, Yarrington. A może lepiej, żeby moi ludzie wywlekli cię stamtąd jak królika z nory? - Stephen nawet nie starał się ukryć podniecenia.

- Boisz się stawić mi czoło, Tayburn, skoro chcesz, żeby twoi słudzy wykonali za ciebie brudną robotę?

- Nie boję się niczego - padła odpowiedź. Nastąpiła chwila ciszy.

- Obaj wiemy, że to nieprawda - odezwał się wreszcie Guy.

Stephen roześmiał się zgrzytliwie, okrutnie.

- Jak myślisz, którego z nas wybrałaby Helena? Ciebie czy mnie, Tayburn?

Śmiech urwał się natychmiast.

- Ona jest moja, czy tego chce, czy nie.

- Ona nigdy nie była twoja.

Stephen wyrwał pistolet jednemu ze swoich ludzi.

- Myślisz, że mi ją ukradniesz? Nikt, kto sięgnie po moją własność, nie pozostanie przy życiu. I wbij sobie do głowy, Yarrington, że Helena drogo zapłaci za to, że uciekła do ciebie. Pożałuje! Jeszcze nie wie, jak bardzo tego pożałuje.

Guy odepchnął od siebie obrazy, jakie tamten celowo pragnął podsunąć jego wyobraźni.

**Margaret McPhee**

- Może powinienem pozwolić ci na to popatrzeć? Jak wije się pode mną w łóżku? Jak dotykam jej kremowej skóry? Głos Tayburna dochodził z coraz mniejszej odległości.

Wicehrabia mocno zacisnął zęby. W prawej ręce, którą wyjął z kieszeni, trzymał pistolet.

- No, chodź, Varington. Przecież chcesz tego.

Siła głosu Stephena wskazywała, że znajdował się mniej więcej piętnaście stóp poniżej szczytu schodów. Wystarczająco blisko. Guy rzucił się naprzód, przeskakując po dwa stopnie na raz, i rozpędzony wyskoczył zza zakrętu. Wycelował pistolet w miejsce, z którego dobiegał głos przeciwnika. Jego palec spoczął na spuście, gotów nacisnąć go i posłać zabójczą kulkę w serce nikczemnika. Nagle coś podcięło mu nogi i Varington upadł twarzą na wilgotną kamienną posadzkę. Pistolet uderzył o nią i wypalił. Kula odłupała kawałek ściany z czerwonego piaskowca. Guy poczuł na plecach ciężar mężczyzny, który błyskawicznie wykręcił mu rękę, omal nie wyrywając ich ze stawów, i związał je. Następnie szarpnął go za włosy, zmuszając, by wicehrabia podźwignął się na kolana. Nadgarstki miał skrępowane tak mocno, że krew przestała dopływać do palców. Ktoś odchylił jego głowę do tyłu gwałtownym szarpnięciem i Guy spojrzał prosto w twarz Stephena.

- Nie słyszałeś, że Wylie skradał się za tobą, co, Varington? Nie jesteś tak dobry, jak ci się wydaje. -

Tayburn uśmiechnął się. - Powinieneś być mnie zabić, kiedy jeszcze miałeś szansę. Ja tego błędu nie popełnię. - Wziął zamach i uderzył Guya pięścią w twarz.

- Przestań! - zabrzmiał dźwięczny głos z drugiego końca korytarza.

Stephen znieruchomiał i rozejrzał się dokoła. Jego oczy zabłyśły z radości, żądzy i niedowierzania.

## Ucieczka Heleny

239

- Helena - mruknał. - Jak to miło, że zechciałaś do nas dołączyć.

- Puść go, Stephen - powiedziała, zbliżając się powoli. Ludzie Tayburna chcieli rzucić się ku niej, ale on powstrzymał ich gestem ręki.

-Dlaczego miałbym go puścić? Posiadł ciebie! Poznał smak mojej kobiety! Nie ma mowy, bym go uwolnił. - Oczy mężczyzny przesunęły się po ustach Heleny i spoczęły na jej piersiach rysujących się pod miękką wełnianą suknią.

Stała.

- Nie jesteś więc gotów negocjować? - zapytała.

- Jak już powiedziałem przed chwilą jemu - Tayburn kopnął Guya w udo - człowiek może dobić targu tylko wtedy, kiedy ma coś na wymianę. Oświeć mnie, co masz mi do zaoferowania.

Stała dumnie wyprostowana, z uniesioną głową.

- Mam siebie - odparła.

Parsknął śmiechem, wyraźnie rozbawiony.

- Stoisz tam z miną wielkiej damy. Pozwól sobie przypomnieć, że jesteś moją dziwką, Heleno - oznajmił, wyraźnie rozkoszując się okrucieństwem własnych słów. - Należysz do mnie i mogę cię wziąć, kiedy tylko zechcę. Pytam więc jeszcze raz: co masz na wymianę?

Podeszła kilka kroków i stanęła na wysokości okna usytuowanego dokładnie nad okutymi wrotami Dunleish. Zgraja Tayburna wodziła wzrokiem od niej do swego pana i z powrotem.

- Istnieje zasadnicza różnica między tym, co się bierze, a tym, co się otrzymuje w darze. - Jej spojrzenie pobiegło w stronę Guya, zatrzymało się na sekundę i wróciło do Stephena. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego wicehra-

**Margaret McPhee**

bia nie poszedł do łóżka z kobietą, którą skłonił, by została jego kochanką.

- Nie, Heleno! - zawołał.

Z najwyższym wysiłkiem zdołała zachować nieporuszoną twarz'.

- Zwróć wolność lordowi Varingtonowi, a dam ci to, co dotąd brałeś tylko siłą.

- Nie rób tego, Heleno!

Słyszała udrękę w błagalnym głosie Guya i w jej oczach zakręciły się łzy. Jedna z nich spłynęła powoli po policzku.

Tayburn wodził wzrokiem od pełnej bólu i gniewu twarzy przeciwnika do pobladłej dziewczyny. O niczym tak nie marzył!

- Zaczekasz, aż go uwolnię, a potem mi odmówisz. Słyszała w jego głosie pożądanie. Kusiło go, by wyrazić zgodę.

- Nie - oświadczyła. - Daję ci słowo.

- Twoje słowo! - prychnął pogardliwie. - Co ono znaczy? Nic!

- Heleno, nie! To szaleństwo. On i tak mnie zabije. Nie rób tego. Nie jestem tego wart.

Słowa Guya wzmocniły tylko jej determinację. Żadna cena nie była zbyt wielka, by ocalić życie człowieka, którego kochała. Powoli uniosła ręce do góry i zaczęła wyjmować z włosów spinki. Kiedy jej długie loki opadły na ramiona błyszczącą czerwoną falą, przez wąskie okienko wpadł do mrocznego wnętrza promień słońca i zalał Helenę olśniewającym blaskiem. W tym świetle wydawała się niemal niezmierną piękną, niebiańską zjawą, która pojawiła się w tym mrocznym, zatechłym zamczysku. Wszyscy mężczyźni zapatrzyli się w nią, zachwyceni obrazem wyczarowanym przez światło,

## Ucieczka Heleny

241

które zdołało się przedrzeć przez ciężkie chmury. Tylko ona jedna pozostała nieświadoma tych czarów. Sznur wbijał się w ciało Guya, który napinał mięśnie, by uwolnić się z więzów. Krew z poranionych nadgarstków ściekała mu po palcach, ale nie rezygnował. Helena mogła się łudzić nadzieją, że Tayburn dotrzyma warunków umowy, ale on wiedział, że to nieprawda. Jego życie było już i tak stracone. Nigdy nie będzie mu dane opuścić wyspy, pomimo złożonej za jego ocalenie ofiary. Nikczemnik zamierzał wziąć wszystko, co mogła mu podarować, i nie dać nic w zamian. Ale Guy postanowił nie dopuścić, aby potwór z Dunleish wziął jeszcze cokolwiek od Heleny.

- Słońce oświecało przez wąskie okienko tylko to jedno miejsce, w którym stała. Wszystko inne, przez kontrast, pograżyło się w jeszcze głębszym mroku. W ciepłym, złocistym świetle włosy kobiety upodobniły się do płomieni, jej kremowa skóra nabrała miękkości aksamitu, a w zamglonych zielonych oczach zapłonął ogień. Obraz Wenus. Wszyscy obecni wpatrywali się w nią w zachwycie. Ale tylko Guy dostrzegł na jej twarzy maskę, za którą skrywała prawdziwe uczucia. Za tą maską była prawdziwa twarz, którą znał tylko on. Znacznie piękniejsza od tej olśniewającej, którą pokazywała światu. I pomimo rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znaleźli, jego serce wezbrało miłością. Miłość wypełniła całą jego istotę, zanim zdążył oderwać wzrok od Heleny. Nie wolno mu tracić czasu. Powinien się skoncentrować i czekać w gotowości na pierwszą nadarzącą się okazję. Nie uniknie śmierci, ale pociągnie za sobą Tayburna... i ocali ją.

Helena zauważyła, jakim wzrokiem wszyscy na nią patrzyli. Widziała żądzę malującą się na twarzy Stephena, gwałtów-

**Margaret McPhee**

ną namiętność, której nie zdołał ukryć. Spojrzała w jasnoniebieskie oczy klęczącego na ziemi mężczyzny i wyczytała w nich miłość, udrękę, poczucie winy i gniew. Nie potrzebowali słów. Uczucie tworzyło więź, która pozwalała im się porozumiewać bez słów. Odwróciła twarz. Skoncentrowała całą uwagę na Stephenie.

- Kiedy łódź lorda Varingtona odbije od brzegu i znajdzie się na pełnym morzu, pójdę z tobą - powiedziała.

- Wiele żądasz.

Nie odpowiedziała, czekała z wyrazem spokoju na twarzy, skrywając drażący jej serce lęk. Życie ukochanego wisiało na włosku, uzależnione od widzimisię perwersyjnego łotra, owładniętego ślepą żądzą.

Zapadła cisza. Czas stanął w miejscu i Helena zaczęła się obawiać, że maska spadnie z jej twarzy.

Nie miała jednak powodu do obaw. Wiedziała, że Stephen zawsze pragnął tego, czego nie mógł dostać.

- Postawić go na nogi i zaprowadzić nad zatokę! - rozkazał.

Patrzyła, jak ludzie Tayburna ciągną Guya wzdłuż korytarza do frontowych drzwi. Nogi same poniosły ją w ślad za nim, a u jej boku podążała mroczna postać. Czowała zapach Stephena i choć nawet jej nie dotknął, miała na ciele gęsią skórę. Nie chciała nawet myśleć o tym, co mu obiecała. Nie mogła sobie pozwolić na roztrząsanie okropieństwa, które ją czekało. Myślała tylko o tym, że Guy będzie wolny. Fale rozbijały się o brzeg. W górze krążyły mewy, krzyząc przeraźliwie. Słyszała chrzęst miażdżonych muszelek, kiedy spychano łódkę na wodę. Widziała, jak lord Varington rozwijał żagle. Najwyraźniej nie należał do wytrawnych żeglarzy, bo jakoś niezręcznie poruszał się w łodzi.

## Ucieczka Heleny

243

Wicehrabia pozwolił grupie mężczyzn wyprowadzić się z zamku. Jasne, niemal białe niebo stanowiło miłą odmianę po mrocznym wnętrzu Dunleish. Odruchowo zmrużył oczy, gdy wyszli na światło dzienne. Zaraz powinien rozpocząć przedstawienie. Czas uciekał. Zapierał się obcasami, wyrywał się z rąk fagasów Tayburna, ale oni tylko mocniej wlekli go po nierównej trawie i kamieniach. Na plażę, nad brzeg morza. Zorientował się, dokąd go ciągną. W niewielkiej odległości od brzegu stała wyciągnięta na piach mała żaglówka. Ściślej mówiąc, żaglówka Weira. Z trudem ukrył uśmiech zadowolenia.

Zaniechał oporu, ograniczając się do symbolicznego sprzeciwu, i pozwolił mężczyznom zawlec się do łodzi i wsadzić do środka. Wtedy błysnęło ostrze noża i więzy krępujące jego nadgarstki zostały przecięte. Nie próbował uciekać, kiedy cztery pary rąk spychały żaglówkę na wodę. Gdy łódka zaczęła podskakiwać na falach, wrócili na brzeg, brodząc w lodowatej wodzie.. Guy ukląkł na pokładzie, ale nie po to, by się modlić. Rozpiął częściowo żagiel, żeby choć trochę ukryć się przed wzrokiem Tayburna, po czym szybko sięgnął do skrytki za sterem po długi, owinięty w naoliwioną skórę przedmiot, który Weir zawsze tam trzymał. Zabrzmiały mu w uszach słowa przyjaciela: „Mewy to znakomity cel do ćwiczeń”. Na wargach Guya pojawił się ponury, pełen determinacji i zdecydowania uśmiech.

- A więc, Heleno, zgodnie z twoim życzeniem Yarrington jest wolny - zabrzmiał tuż przy jej uchu głos Stephena.

Zatrzymała przez chwilę wzrok na sylwetce ukochanego w niewielkiej łódce i odwróciła spojrzenie.

- Tak - odrzekła.

Ciemne chmury zakryły niebo, zasłoniły słońce. Dziewczy-



**Margaret McPhee**

na nie oglądała się już za siebie. Nie zwróciła uwagi na to, że duża żaglówka Tayburna zniknęła z miejsca, w którym ją zostawił. Ujął ją za ramię. Nie odsunęła się, pozwoliła mu prowadzić się do Dunleish, gotowa stawić czoło wszystkiemu, co ją tam czekało.

Stephen odwrócił się, by rzucić ostatnie spojrzenie na łódkę Varingtona, i wtedy huknął strzał.

Mężczyzna popatrzył na Helenę z wyrazem szoku na twarzy. Ona zaś obejrzała się. Ponad na wpół podniesionym żaglem unosiła się w górę cienka smuga dymu. Guy opuścił trzymaną w ręku strzelbę. Palce Stephena mocniej zacisnęły się wokół ramienia dziewczyny, drugą rękę przyłożył do piersi, jakby chciał się pokajać. Ale gdy ją odsunął, była splamiona ciemnoczerwoną krwią. Ciszę rozdarły kolejne strzały. Helena krzyknęła i próbowała wyrwać się Tayburnowi, ale ten mocno ją przytrzymał. Z gardłowym pomrukiem osunął się na kolana, pociągając ją za sobą.

- Nie!

Nawet osłabiony wpływem krwi nie zamierzał wypuścić jej z rąk. Nic nie mówił, wpatrywał się w nią tylko pustymi, czarnymi oczami z tak gorzką nienawiścią, że zaczął w niej odżywać dawny lęk.

Usłyszała krzyk mężczyzny i kolejne wystrzały. Podniosła wzrok i dostrzegła dużą żaglówkę Stephena, która zbliżała się szybko do łodzi Guya.

Tayburn nie mógł tego widzieć, ponieważ był zwrócony plecami do morza. A jednak wiedział, co się dzieje. Pomimo postrzału w pierś, zdawał się nie tracić sił. Przyciągnął Helenę bliżej, by jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

- Kochana - wyszeptał.

Otworzyła szerzej oczy pod wpływem szoku i trwogi.

## Ucieczka Heleny

245

- Oddałabyś mi się? - zapytał.

Skinęła głową i nagły powiew wiatru rzucił mu jej włosy na twarz.

Z westchnieniem wciągnął w nozdrza ich słodki zapach, zanim odgarnęła je do tyłu. Przyciągnął ją bliżej, a ona, pomimo całego zła, jakie jej wyrządził, nie mogła odmówić umierającemu i pochyliła się, by usłyszeć jego słaby szept.

- A potem, po wszystkim, dałbym ci... - Rozkaszał się i z trudem łapał oddech. - Dałbym ci głowę Varingtona na tacy. Moi ludzie mieli go dopaść w połowie drogi na ląd.

Nie słyszała już strzałów z wybrzeża. Po słowach Stephena zapadła cisza.

Uśmiechnął się i powieki mu opadły, a ona patrzyła na niego z niedowierzaniem i grozą.

- Heleno! - Z otchłani koszmaru wyrwał ją głos Guya. Podniosła wzrok i zobaczyła, że biegnął ku niej przez plażę. Żaden z ludzi Tayburna już go nie gonił. - Heleno! - zawołał znowu.

Uwolniła się od konającego i wstała. Trzęsa się jak osika i z trudem łapała oddech. -Guy!

I nagle był przy niej, tulił ją w ramionach, gładził po włosach, po policzku i obejmował tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić.

- Guy - szepnęła i serce o mało jej nie pękło, wezbrane miłością.

Ruszyli do zamku, żeby uwolnić Weira, Sengę i Caroline, ale ramię mężczyzny ciągle otaczało talie Heleny. Milczała i pławiła się w poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawała jej jego obecność. Zostawili za sobą rozrzucone na piasku ciała zastrzelonych ludzi Tayburna. Zasługiwali na śmierć, podobnie

**Margaret McPhee**

jak ich pan. Helenę ogarnęło nagle tak potworne zmęczenie, że z trudem unosiła nogi, żeby zrobić kolejny krok. Już po wszystkim, powtarzała sobie raz za razem, ale ciągle jeszcze nie mogła w to uwierzyć. Obejrzała się za siebie, aby się upewnić, że to prawda. Stephen leżał tam, gdzie padł. Martwy. Guy obejmował ją również wtedy, gdy płynęli żaglówką wzdłuż wybrzeża, by odszukać i zabrać na pokład Emmę, Agnes i starego Tama. Potem Weir stanął za sterem i wziął kurs na stały ląd, a wicehrabia wciąż nie wypuszczał z ramion Heleny.

Przetrwali, wszyscy. A Tayburn zginął. Żyli i wracali do domu. Nic innego nie miało dla nich znaczenia. Łódź ślizgała się po falach i choć godzina była jeszcze dość wczesna, bo zaledwie trzecia po południu, zaczęło zmierzchać. Przed nimi była noc w Seamiłł Hall, a koszmar został daleko w tyle.

## **Rozdział piętnasty**

W kominku płonął ogień. Helena grzała zmarznięte ręce, wpatrując się w magiczny spektakl pełzających ognistych jęzorów. Stephen zginął. Nie żył. Nareszcie była wolna. Wiedziała, że to prawda, a jednak nie mogła się pozbyć niepewności. Każde skrzypnięcie schodów, każdy świst wiatru sprawiały, że z dreszczem przerażenia spoglądała ku drzwiom. Podskoczyła ze strachu, gdy usłyszała pukanie, i z dziko bijącym sercem zwróciła spojrzenie na drzwi. Pukanie się powtórzyło, ale tym razem towarzyszył mu głos pokojówki.

- Przyniosłam gorącą wodę, gdyby chciała się pani umyć. Pani Weir kazała powiedzieć, że obiad zostanie podany o wpół do szóstej.

Odpowiedziało jej milczenie.

- Czy mam przyjść później, proszę pani?

Helena otrząsnęła się, szybko podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Nie, dziękuję, Martho - powiedziała i zamiast wpuścić służącą do pokoju, wzięła od niej dzban. - To miło, że przyniosłaś wodę. Dziękuję - powtórzyła i uśmiechnęła się z przymusem.

Pokojówka omijała wzrokiem jej w twarz, jakby nie chciała

**Margaret McPhee**

patrzeć jej w oczy. Zapewne dowiedziała się prawdy o pannie McGregor. Kilbride było niewielką wioską. To tylko kwestia czasu, kiedy dowiedzą się wszyscy.

Helenie nie mieściło się w głowie, że w ciągu zaledwie jednego dnia tyle mogło się w jej życiu zmienić. Wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Stephen zginął, ale gdyby nawet do tego nie doszło, to ona i tak stałaby się inną osobą. Emma była bezpieczna, podobnie jak Agnes i stary Tam. A Guy... Nie, nie mogła sobie pozwolić na rozmyślanie o nim w obecności pokojówki, która wpatrywała się w jej ramię z mieszaniną przerażenia, fascynacji i niesmaku.

- Dziękuję, Martho - powiedziała Helena z nieco większym naciskiem i zrobiła taki ruch, jakby chciała zamknąć drzwi.

Służąca ani drgnęła. -Martho?

Dziewczyna odważyła się wreszcie spojrzeć Helenie w oczy.

- Czy to... ? - Głos jej zamarł i powoli podniosła rękę, która zawisała pomiędzy nimi w powietrzu. - Czy to... - zawahała się znowu - ...krew, proszę pani? - I wskazała palcem na ramię panny McGregor.

Helena odwróciła głowę, żeby spojrzeć na wskazywane przez służącą miejsce. Na miękkiej zielonej wełnie okrywającej jej bark i przedramię widniała ciemna plama. Krew Stephena! Poczowała mdłości.

- To nic! - zdołała wykrztusić i pospiesznie zamknęła drzwi.

Szybko postawiła dzban obok biało-niebieskiej porcelanowej misy i sięgnęła do rzędu drobnych guziczków na plecach sukni. Wygięła do tyłu ramiona i z trudem rozpięła

dwa z nich. Następnym nie dawała rady. Nie rezygnowała jednak, chociaż rozboleły ją ręce. Guziki wyslizgiwały się z jej trzęsących się palców i za nic nie dawały się odpiąć. Spociła się z wysiłku, z każdą chwilą bardziej świadoma tego, czym nasiąkała jej suknia. Powtarzała sobie, że zachowuje się niemądrze, że jeszcze przed chwilą nie wiedziała

o istnieniu tej plamy i była całkiem szczęśliwa, ale świadomość, iż ma na sobie krew Stephena, budziła w niej odrazę. Spróbowała znowu, szarpiąc guziki coraz gwałtowniej

1 bardziej niecierpliwie. Bez rezultatu. Helena zaczęła wpadać w panikę. Skóra pod plamą zaczynała ją piec. Szarpała materiał, nie bacząc na to, co się stanie z guzikami. Wiedziała, że i tak już nigdy nie włoży tej sukienki.

Rozległo się pukanie, a potem skrzypnęły otwierane drzwi.

Znieruchomiała. -Martha?.

Obejrzała się za siebie.

To nie pokojówka stała w drzwiach pokoju, lecz Guy. W jego oczach pojawił się blask, którego nie rozumiała.

- Doktor odjechał. Stwierdził, że Caroline jest wyczerpana nerwowo. Weir pisze do jej ojca, żeby przyjechał i zabrał ją do ich wiejskiej rezydencji.

Kiwnęła głową i bezwładnie opuściła ręce.

- Heleno? - Zamknął drzwi i podszedł do niej. - Co się stało?

Odwróciła głowę, by nie patrzeć na suknię. Nie chciała widzieć krwi Tayburna. Wystarczyło, że czuła ją na sobie, że wiedziała o jej istnieniu.

- Muszę się przebrać. To jego krew - powiedziała, jakby to wyjaśniało wszystko.

**Margaret McPhee**

Guy spostrzegł jej pobladłe policzki i omijanie wzrokiem plamy na ramieniu.

- Heleno. - Ujął jej wilgotne ręce.

- Mam na sobie jego krew - szepnęła i głośno przełknęła ślinę. - nie mogę sobie poradzić z guzikami tej sukni. - Widział, z jakim wysiłkiem starała się panować nad sobą. - Ja...

Spojrzał jej w twarz i dostrzegł w niej ból. Nie kryła przed nim emocji. Żadnej maski, żadnego udawania. Na jego ustach pojawił się lekki, pełen czułości i zrozumienia uśmiech.

- Wiem - powiedział i puścił jej ręce.

Nie poruszyła się. Patrzyła na niego z takim zaufaniem, że serce ścisnęło mu się ze wzruszenia.

Położył jej ręce na ramionach i delikatnie odwrócił plecami do siebie. Potem powoli zaczął rozpinać małe szmaragdowe guziczki. W pokoju panowała cisza, w której słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku. Przez cienką warstwę materiału czuł ciepło jej ciała. Jego palce poruszały się miarowo, dopóki ostatni z guziczków nie został uwolniony z dziurki. Zsunął suknię z ramion Heleny i pozwolił, by opadła na podłogę. Potem podał jej rękę i pomógł wyjść z kręgu znieawidzonego materiału.

- Krew przesiąkła przez wełnę - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- Tak - szepnęła.

Rdzawe plamy wydawały się bardzo jaskrawe na tle białej bielizny. Guy bez słowa uwolnił Helenę od pozostałej garderoby i wreszcie stanęła przed nim całkiem naga. Ale nie patrzył na jej aksamitną kremową skórę, na wypukłości piersi i bioder. Wziął ją za rękę i poprowadził do stołu. Nalał do miski ; wody i zamoczył w niej swoją chusteczkę do nosa.

- Woda jest gorąca - powiedział.

- Martha przyniosła ją tuż przed twoim przyjściem.

Słyszał w głosie Heleny leciutkie drżenie, jakby brakowało jej tchu. Marzył, by wziąć ją w ramiona, przytulać, całować i kochać się z nią, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Zbyt wiele ostatnio przeszła i była teraz całkowicie bezbronna. Delikatnie, z wyjątkową troską zaczął ścierać krew Stephena z jej skóry.

Mył ją powoli i metodycznie, od czasu do czasu płuczac chusteczkę. Wreszcie jasna skóra Heleny zalśniła nieskalaną bielą, a woda w misce zabarwiła się na czerwono. Zdjął surdut i okrył nim jej nagie ciało.

- Nie ma już krwi - stwierdził lakonicznie i złożył lekki pocałunek na czubku jej głowy. Podniósł z podłogi zakrwawioną suknię i ukląkł przy palenisku. Wiedział, jakie to dla niej ważne.

Poddawała się jego zabiegom i była pod wrażeniem delikatności, z jaką przemywał jej skórę zwilżoną chusteczką. Czuła, jak z każdą chwilą znikają z niej ostatnie ślady po Stephenie. A w oczach Guya widziała taką czułość, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Jego surdut był miękki i ciepły... Klęczeli obok siebie przy palenisku jak młoda para przed ołtarzem. Nie potrzebowali słów. Wiedziała, co zamierzał zrobić. Pragnęła tego. Potrzebowała tego.

Wrzucił suknię w ogień. Płomienie zaczęły lizać zieloną wełnę złocistymi językami, aż wreszcie zmieniła się w świetlistą kulę i zniknęła. Mężczyzna wrzucał na palenisko kolejne sztuki poplamionej krwią garderoby, aż wreszcie nie zostało" nic. Klęczeli jednak nadal. Helenie wydawało się, że ten akt zniszczenia połączył ich silniej niż jakikolwiek inny, ponieważ stanowił niezbitą dowód, że Guy potrafił ją zrozumieć bez słów. Unicestwił ostatni ślad po Stephenie. Ocalił ją, oczyś-



**Margaret McPhee**

cił i uwolnił. Patrzył na nią teraz jasnymi jak lód, błękitnymi oczami, jakby chciał zajrzeć na samo dno jej duszy.

- Zrobione. - Uśmiechnął się i cmoknął ją w czubek nosa. - Teraz włóż coś na siebie, żebyś się nie przeziębiła. - Podniósł się z klęczek, ale ona była szybsza.

- Nie.

Popatrzył na nią.

Fala gorącej krwi napłynęła jej do policzków.

- My... mamy tyle do omówienia.

- To prawda. - Uśmiechnął się czule. - Ale zbyt wiele dzisiaj przeszłaś, Heleno. Musisz wypocząć. Przyślę ci pokojówkę. - Pozwolił sobie pogłodzić jej policzek, ale tylko raz i szybko się odsunął, by nie ulec pokusie.

Zdecydowanym krokiem przeszedł przez pokój i położył rękę na gałce.

- Nie odchodź.

Znieruchomiał. Nie odwrócił się do niej, spostrzegła jednak, jak pod cienkim płótnem koszuli napięły się mięśnie jego ramion.

- Chcesz, żebym został? - zapytał powoli, jakby nie wierzył własnym uszom. I wreszcie na nią spojrział.

- Tak. - Krew dudniła jej w uszach.

- Dlaczego?

Pytanie kompletnie ją zaskoczyło, więc przez parę chwil wpatrywała się w Guya bez słowa. Odpowiedź była tak oczywista, że nie pojmowała, jak mógł o to pytać. Kochała go i miała pewność, że ta miłość będzie trwać wiecznie. Chciała zostać jego kochanką i była gotowa znosić bez słowa skargi zarówno znaczące spojrzenia innych mężczyzn, jak i wykluczenie z towarzystwa. Kochała go i pragnęła. Chciała

czuć go przy sobie i w sobie, chciała drzeć pod delikatną pieśczęcią jego rąk. Chciała go całować i dotykać. Chciała dać mu to, czego sam nie chciał wziąć. Chciała Guya, całego, aż do końca.

- Heleno - przypomniał. - Nie odpowiedziałas mi.

- Czy to ważne? - zapytała cicho.

- Tak - odparł stanowczo i bezkompromisowo. - To bardzo ważne.

- Myślałam, że cię straciłam - powiedziała. - Kiedy zobaczyłam szpadę Stephena przy twojej piersi... - Z gardła wyrwał jej się szloch.

- Heleno. - W ciszy pokoju jej imię zabrzmiało jak westchnienie. Podeszedł szybko i wziął ją w ramiona. - Ciii -szepnął i przycisnął usta do jej czoła. - Ten koszmar już minął.

- Och, Guy! - Oparła płasko dłonie na jego torsie, czując pod cienkim materiałem koszuli twarde mięśnie. Uniosła twarz i spojrzała mu prosto w oczy. Stali tak blisko, że widziała każdy najmniejszy szczegół jego rysów, widziała wszystkie odcienie błękitu jego tęczówek i otaczającą je ciemną obwódkę, widziała wyraźnie każdą z długich, czarnych rzęs. - On mógł cię zabić.

- Tak - przyznał. - Ale nie zabił, dzięki tobie. Pogłaskał ją po włosach, a wówczas przytuliła się do niego mocno i podała mu usta do pocałunku. Pocałunek był delikatny i czuły. Miękie wargi Guya niczego nie żądały. Dawały, nie brały. Wyrażały miłość i tęsknotę. Nawet kiedy się cofnął, Helena ciągle czuła ich smak. -Guy?

- Tak? - Uniósł jej głowę do góry, by spojrzeć prosto w oczy.

Zrozumiała, że musi powiedzieć mu prawdę.

- Odpowiem na twoje pytanie.

**Margaret McPhee**

Czekał. Czują, jak jego pierś unosi się i opada tuż przy niej. Oddychał lekko i spokojnie. Za nimi cicho trzaskały płomienie w kominku. Na dworze zaświstał rudzik.

- Proszę, żebyś został, bo cię kocham. - Cofnęła się nieco. - Kocham cię - powtórzyła. - I chcę być twoją kochanką.

Wreszcie to powiedziała! Po jej słowach zapadła cisza, która aż dzwoniła w uszach.

Na ustach Guya zaigrał lekki uśmiezek, a w jego ciepłych oczach błysnęła przekora.

- Moje głupiutkie kochanie - szepnął. Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Ich ciała wtuliły się w siebie tak mocno, że niemal stopiły się w jedno. - Nie możesz być moją kochanką.

Helena zdrewniała. Kompletnie nie rozumiała, co się dzieje, gdyż słowa i czyny Guya przeczyły sobie nawzajem.

- Nie rozumiem. - Ogarnęło ją przerażenie. - Chcesz powiedzieć, że mnie nie chcesz?

- Heleno. - Na jego ustach pojawił się zmysłowy i wiele mówiący uśmiech. - Chyba nie mówisz poważnie. Pragnę cię, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem, w każdej sekundzie, bez przerwy.

Rumieniec zalał jej policzki.

- Więc dlaczego...?

- Nie możesz być moją kochanką... - zamilkł i przesunął kciukiem po jej wypukłych wargach - ...skoro masz zostać moją żoną.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, z niedowierzaniem. Sądziła, że musiała się przesłyszeć.

- Oczywiście, jeśli zechcesz mnie na męża - dodał z szerokim uśmiechem.

- Chcesz się ze mną ożenić?

- Przyznaję, że nie są to najbardziej romantyczne oświadczenia. - Uniósł jedną z czarnych brwi. - Więc jak, chcesz mnie? - zapytał.

- Ty mówisz poważnie! - Cały pokój zawirował jej przed oczami.

- Jak najbardziej - zapewnił.

Poczuła się tak, jakby trafiła do baśniowej krainy czarów, gdzie spełniają się marzenia i wszystko kończy się szczęśliwie.

- Tak - szepnęła cichutko. To słówko właściwie samo, bez udziału jej woli, spłynęło z ust Heleny.

Guy uśmiechnął się szerzej, błyskając białymi zębami.

- Powiedziałaś to jakoś bez przekonania, kochanie - zauważył.

- Tak! - krzyknęła na cały głos. Czuła się tak, jakby w jej duszy trysnęła fontanna szczęścia. Nigdy, przez całe życie, nie doświadczyła tak bezkresnej radości. - Oczywiście, że cię chcę! - zawołała, a on porwał ją na ręce i zaczął wirować z nią wokół pokoju. Śmiali się razem, tuląc do siebie, a ich oczy lśniły radością, podnieceniem i szczęściem.

Surdut Guya zsunął się z ramion Heleny i opadł zapomniany na podłogę.

- Moja miłości - szepnął i ułożył ją nagą na materacu. Patrzyła na niego pełnymi ciepła i uczucia oczami, drżąc

z oczekiwania. Zaczął wyjmować spinki z jej włosów i lśniące czerwone loki opadły na jej piersi. Wsunął palce w jedwabiste włosy, rozkoszował się ich sprężystą gładkością, wreszcie uniósł je do twarzy i wdychał ich zapach.

- Nawet nie wiesz, jak marzyłem, żeby to zrobić - wyszeptał. Popatrzył jej w oczy, a potem przesunął zachwyconym

**Margaret McPhee**

spojrzeniem po całym ciele. - Jesteś taka piękna. - W ślad za spojrzeniem powędrowały jego dłonie, delikatnie, uwodzicielsko muskając jej skórę.

Słyszał, jak głośno wciągnęła powietrze, czuł przeszywający jej ciało dreszcz.

- Zmarzłaś, kochanie - powiedział i sięgnął po kołdrę, by ją okryć.

- Nie. - Powstrzymała jego rękę, po czym przesunęła palcami wzdłuż jego ramienia, zatrzymując dłoń dopiero na węźle krawata. - Wcale nie zmarzłam. - Zmagała się przez chwilę ze sztywnym, nakrochmalonym płótnem, ale poradziła sobie i krawat wylądował na łóżku obok nich. Położyła ręce na piersi Guya, wyczuwając pod cienką materią koszuli porastające tors ciemne włosy. - Natomiast wydaje mi się, że pan jest stanowczo zbyt ciepło ubrany, sir.

- Wiedźma! - mruknął i wybuchnął śmiechem. - Ale da się temu zaradzić.

Z niezwykłym pośpiechem zdał z siebie koszulę, odsłaniając szerokie ramiona i muskularny tors.

Helena wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Uśmiechnął się na widok jej zachwyty i zsunął się z łóżka na moment, by pozbyć się butów, spodni i reszty bielizny.

Syciła oczy jego nagością. Był wspaniały. Silny i smukły, a zarazem muskularny. Ciemne włosy porastające jego klatkę piersiową zwięzały się w wąską linię prowadzącą do pępka i niżej. Miał bardzo jasną skórę, ale o innym odcieniu niż ona. Nigdy nie widziała tak pięknego mężczyzny. Poczwała w dole brzucha narastające oczekiwanie.

Otworzyła ramiona i przyciągnęła go do siebie. Nie mogła się doczekać, by wreszcie poczuć dotyk jego nagiej skóry. Ich ciała drżały z pożądania.

- Heleno - szepnął z namiętą tęsknotą i pocałował ją w usta, namiętnie, głęboko, gorąco. Jej ciało stanęło w płomieniach. Pożerał je ogień namiętności, pożądanie zaćmiło jej umysł, a serce wypełniła miłość. Cały świat przestał istnieć, liczyła się tylko ta jedna chwila i ten mężczyzna, którego kochała. Całowali się tak, jakby ich usta i oddechy stopiły się w jedno. Pogładził jej włosy, a potem zsunął ręce na pełne piersi i poczuł nacisk stwardniałych jak guziczki brodawek.

- Och, Guy - jęknęła i wygięła plecy, by mocniej przylgnąć do jego dłoni.

Rysował palcami magiczne linie na białych półkulach, starannie omijając różowe, delikatne centra, choć ona wiała się pod nim, starając się wsunąć je pod jego palce.

- Jaka niecierpliwa - mruknął. Jego oddech stał się krótki i urywany, a głos nierówny.

- Guy! - jęknęła błagalnie. Przesunęła ręce w dół jego pleców i mocno objęła twarde, kształtne pośladki. Wezbrało w nim gwałtowne pożądanie, ale zapanował nad nim, by prowadzić grę powoli i ofiarować Helenie prawdziwą rozkosz. Jej, nie sobie. Jego palce przesunęły się wreszcie na brodawki jej piersi, objął opuszkami twarde pączki.

Zadygotała i wygięła się mocniej, unosząc w górę biodra.

Tym razem Guy nie zdołał powstrzymać gardłowego pomruku.

Nabrzmiące piersi dziewczyny napierały na jego dłoń, na udzie czuła lekkie drzenie jego twardej męskości, rozpaczliwie domagającej się spełnienia.

Przerwał pocałunek i zaczął pieścić wargami najpierw jej szyję, a potem różowy sutek. Z radością przyjął jej ciche jęki rozkoszy. Pożądała go równie mocno, jak on jej. Wsu-

**Margaret McPhee**

nał dłoń pomiędzy jej uda, a wargi przeniósł na drugą pierś.

- Guy! - Helena topniała pod jego dotykiem. - Pragnę cię!

Narastała w niej gwałtowna, pełna niecierpliwości żądza połączenia. Działo się z nią coś, czego nigdy dotychczas nie doświadczyła. Czego nie rozumiała. Całą swą istotą domagała się tego czegoś jedyne, niezastąpionego, najbardziej upragnionego. Wiedziała, że z całego serca kocha leżącego przy niej mężczyznę i że pragnie poczuć go w sobie, pragnie, by wypełnił ją całkowicie i bez reszty swą miłością. Objęła rękami jego biodra, by przyciągnąć do siebie, ale oparł się jej. Ułożył ją na boku, niemal pod kątem prostym do siebie.

- Guy?

Ich nogi się splotły. Helena otworzyła się na jego przyjęcie i wtedy wreszcie, w chwili gdy już nie mogła dłużej znieść oczekiwania, wypełnił ją sobą, a palcami dotknął perły jej kobiecości. Poruszał się w niej długimi pchnięciami, a równocześnie, poruszając palcami, wyczarowywał dla niej świat nieznaney dotąd przyjemności, aż wreszcie eksplodowała w błysku obezwładniającej i wszechogarniającej rozkoszy. Krzyknęła jego imię w ekstazie i dopiero wtedy, kiedy już wiedział, że dotarła na szczyt, przestał powściągać własną namiętność. Pogładził ją po policzku, pocałował w usta i nie odrywając od niej spojrzenia błękitnych oczu, zaczął się znowu w niej poruszać, mocniej, szybciej, gwałtowniej, aż wreszcie zadrżał, wypełnił ją swym nasieniem i osunął się przy niej na materac.

- Moja kochana - szepnął, pieszcząc wargami jej czoło, powieki, policzki. Gładził jej włosy i szyję. - Moja dzielna, kochana dziewczyna.

Ostatnie ślady Stephena została zatarte przez miłość Guya.

## Ucieczka Heleny

259

Cały ból minionych lat gdzieś odpłynął. Dusza Heleny się rozśpiewała. Nie potrzebowali słów. Wtuliła się w jego ciało, jak w bezpieczne gniazdko. Okrył ich oboje kołdrą. Połączenie ciał i dusz. Zostanie jego żoną. I z tą cudowną myślą zapadła w sen.

Minął tydzień od tamtego straszliwego dnia na St Vey. Helena nie mogła uwierzyć, że następnego dnia odbędzie się ich ślub. Niebo za oknem było ciemnoszare, a po szybach spływały strugi deszczu. Zerknęła z ukosa na wysokiego ciemnowłosego mężczyznę, siedzącego przy niej na kanapie w Sea-mill Hall. Był tak oszałamiająco przystojny, taki cudowny i... kochał ją. Jej serce wezbrało taką miłością, że o mało nie rozsadziło klatki piersiowej. Kochał ją równie mocno, jak ona jego. Kochał i pragnął ją poślubić. To było największe marzenie, które miało się spełnić. Miłość, szczęście, mąż, rodzina. Pełnię radości maciła tylko jedna ciemna chmurka, przez którą Helena nie mogła zmrużyć oka.

- Jesteś taka cicha, kochanie. Stało się coś złego? - Guy spojrzał jej w twarz. - Z każdym dniem stajesz się bardziej milcząca. Chyba nie zmieniłaś zdania w kwestii naszego ślubu? - Uśmiechnął się lekko i serce Heleny podskoczyło.

Próbowała ukryć niepokój, ale trudno jej było dłużej udawać przed ukochanym. Przy nim mogła przecież być sobą. Zdecydowała się zapytać go o tę ostatnią kwestię, która powinna zostać wyjaśniona.

- Czy poinformowałeś brata, że mamy się pobrać?

- Przecież wiesz, że tak. - Zmarszczył brwi, ale zaraz się roześmiał.

- Ale nie przyjedzie na ślub, prawda?

Na twarzy Guya pojawił się wyraz zrozumienia.



**Margaret McPhee**

- Ich dziecko lada dzień ma przyjść na świat. Inaczej oboje, Lucien i Madeline, już by tutaj byli. - Przesunął palcem po policzku Heleny. - To nie jest pretekst, żeby wymigać się od przyjazdu, mój ty smutasio.

Znów zapadła cisza.

- Czy poinformowałeś go również... - Zawahała się, unikając jego wzroku. - Czy poinformowałeś go również o mojej historii?

Ujął jej dłoń.

- Poinformowałem go o wszystkim, o czym powinien wiedzieć.

Zamknęła oczy, żeby nie stracić panowania nad sobą.

- Heleno - szepnął cicho. - Nie masz powodu do obaw. Lucien przyjmie cię do rodziny. Sam namawiał mnie do zmiany trybu życia i znalezienia sobie żony.

- Założę się, że myśląc o twojej przyszłej żonie, nie miał na myśli takiej kobiety jak ja.

Ścisnął mocniej jej dłoń.

- O czym ty mówisz?

- Dla ludzi nasze małżeństwo będzie mezaliansem. Jesteś wicehrabią. A ja.. .wiesz, kim jestem - dokończyła szeptem.

- Tak, wiem, kim jesteś - oświadczył z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. - Jesteś moim życiem i moją miłością, a od jutra będziesz moją żoną.

Nie mogła oderwać spojrzenia od jego oczu.

- Och, Guy. - Jego dłoń była taka ciepła i silna.

- A jakie ma znaczenie, co inni mogliby sobie pomyśleć?

- Ale zdanie twojego brata ma znaczenie, prawda? Wzruszył lekceważąco ramionami.

- A jeżeli brat odwróci się od ciebie?
- Dlaczego miałyby to zrobić?

## Ucieczka Heleny

261

- Doskonale wiesz dlaczego. — Przygryzła dolną wargę i spojrzała na niego. - Musisz przyznać, że nasze małżeństwo wywoła skandal.

- Moja rodzina przywykła do skandali.

- Czy... czy nic ci nie grozi?

- Grozi? - Popatrzył na nią, jakby nagle oszalała.

- Ze strony brata.

- Ze strony Luciena? Oczywiście, że nie!

- Nie będzie próbował mścić się na tobie?

- Heleno, dlaczego Lucien miałby mścić się na mnie z jakiegokolwiek powodu? Dlaczego miałby chcieć mnie skrzywdzić? To mój brat! - Guy uniósł brew i uśmiechnął się z przymusem.

- Lord Tregellas, prawda? -Tak.

Zawahała się, wreszcie jednak wydusiła z siebie:

- Ten, którego nazywają Przebiegłym? Zapadła cisza. Guy siedział nieruchomo.

- Skąd o tym wiesz?

- Stephen mówił o nim... z podziwem. Twierdził, że Tregellas to człowiek jego pokroju.

Te słowa zawisły między nimi jak chmura.

- Tayburn się mylił - stwierdził Guy. - Mój brat nie przypomina w niczym tego nędznika.

- Ale jednak bywa nazywany Przebiegłym - szepnęła cicho.

Popatrzył na nią z bólem.

- Nie spodziewałem się, że właśnie ty, Heleno, mogłabyś dać posłuch plotkom i obmowom.

Krew napłynęła jej do policzków. Zbyt późno przypomniała sobie słowa wypowiedziane kiedyś przez Annabel Weir.

**Margaret McPhee**

Dawno, jakby w innym życiu: „Proszę mi obiecać, że po przyjeździe do Londynu nie będzie pani dawała wiary żadnym plotkom na temat lorda Varingtona czy jego brata”. I własną odpowiedź: „Nigdy nie dopuszczam, by plotki miały wpływ na moją opinię o ludziach”.

- Wybacz - szepnęła. - Masz rację. Nie powinnam tak mówić.

Westchnął, jeszcze raz uściśnął jej dłoń; zanim ją puścił.

- A ja powinienem był już dawniej powiedzieć ci prawdę. -Guy...

- Masz prawo wiedzieć, Heleno - przerwał jej. - Może potem zrozumiesz, że ze strony Luciena nie musisz się niczego obawiać. On pragnie tylko mego szczęścia. Zresztą, między nami nie powinno być żadnych tajemnic.

Żołądek mu się ścisnął na samą myśl o tym, że ma jej opowiedzieć tę historię. Tamte bolesne wydarzenia należały do przeszłości. Wzdragał się na myśl o zdemaskowaniu przed nią swojej słabości. Potrzebowała silnego mężczyzny, który mógłby stanowić dla niej oparcie, a nie kogoś tak poranionego jak on. I nagle poczuł, że jej palce obejmują jego dłoń i ściskają ją dla dodania mu odwagi.

- Nie musisz mi o niczym mówić, Guy.

- Ale chcę - odparł szczerze. - I muszę. Lekko skinęła głową.

- To wszystko zaczęło się dawno, ponad sześć lat temu. Kobieta, z którą mój brat był zaręczony, została w potworny sposób zamordowana. Wstrząs wywołany tą zbrodnią zabił moją matkę, a na domiar złego opinia publiczna obciążyła odpowiedzialnością za to morderstwo mojego brata. Obdarzono go przydomkiem Przebiegły, podczas gdy prawdziwy zbrodniarz, Farquharson, cieszył się wolnością.

Na twarzy Heleny malowały się szok i współczucie.

- Było tylko kwestią czasu, kiedy morderca uderzy ponownie. Tym razem jego ofiarą miała paść Madeline. Lucien ją poślubił, by ocalić ją przed tym diabłem.

- To tego Farąharsona miałeś na myśli, mówiąc, że znałeś kiedyś człowieka takiego jak Stephen?

- Był bardziej podobny do Tayburna, niż przypuszczasz -odparł Guy.

- Co się z nim stało? - W głosie Heleny usłyszał strach, doszedł jednak do wniosku, że miała prawo znać całą prawdę.

- Nie żyje.

- A żonie twojego brata nic się nie stało?

Pokręcił głową, ale nie śmiał podnieść na nią wzroku.

- O czym mi nie powiedziałaś, Guy? Cisza zdawała się krzyczeć.

- Ja... - Słowa z trudem wydobywały się z wyschniętych ust lorda Yaringtona. - Farąharson schwytał mnie i mojego lokaja. Musiałem patrzeć, jak go torturował. I nie mogłem w żaden sposób go powstrzymać. Co za ironia losu! -Uśmiechnął się ponuro, z goryczą. - Spędziłem parę lat na wojnie w Hiszpanii, widziałem morze cierpień, krwi i śmierci, a jednak nie byłem na to przygotowany. Collins, mój służący, przeżył. Ożenił się szczęśliwie i mieszka w Dublinie. Ale ja nie potrafię zapomnieć... nie potrafię wyrzucić tego z pamięci.

- Ciebie również torturował, prawda? - Helena mocno ścisnęła jego palce.

Nigdy dotąd nie opowiadał o wydarzeniach tamtej nocy, nawet bratu. Potwierdził skinieniem głowy.

- Och, Guy.

Otoczyła go ramionami, przytuliła do siebie.

- Mój kochany, mój najdroższy - powtarzała raz za razem.

**Margaret McPhee**

Dopiero kiedy otarła łzy, które spływały mu po policzkach, zorientował się, że płacze. Ale nie miało to już znaczenia, bo wreszcie powiedział Helenie o wszystkim.

Pocałowała go, wzięła za rękę i zaprowadziła do łóżka. Kochała się z nim z tak ogromną czułością, że wspomnienia tamtego koszmaru rozwiały się jak dym. Została tylko ukochana kobieta i jej miłość.

Pobrali się następnego dnia. Skromna ceremonia odbyła się w salonie Seamill Hall. Pannę młodą poprowadził do ślubu stary Tam. Annabel, Agnes i Emma płakały przez cały czas. Cienie przeszłości rozwiały się i jakby dla potwierdzenia tego, dzień wstał jasny i słoneczny. Po weselnym śniadaniu państwo młodzi zostawili w domu rozbawionych gości i wyszli przejść się po plaży.

Zeszli po twardym złocistym piasku na brzeg morza i patrzyli w wodę. Helena wciągnęła w płuca świeże, morskie powietrze i poczuła, że jest bardzo szczęśliwa. Ramię Guya rozgrzewało ją, dawało jej poczucie pewności i bezpieczeństwa.

Pochylił głowę i skradł jej całusa.

- Guy! - zaprotestowała i oblała się rumieńcem. - Jesteśmy w miejscu publicznym.

Ze zmysłowym uśmiechem uniósł brew.

- Ale w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby nas podpatrzeć.

Miał rację, wokoło nie było żywej duszy. Uśmiechnęła się i pogładziła jego szorstki od zarostu policzek. Przypomniała sobie sen, który nawiedził ją dawno temu, w poprzednim życiu. We śnie spojrzała na jego twarz i pomyślała, że to anioł, który przybył jej na ratunek. I Guy naprawdę ją uratował. Naprawdę był jej aniołem. Spojrzała w pełne miłości oczy

mężczyzny. Dla niej również istniał tylko on. Byli jakby stworzeni dla siebie, stworzeni, by być razem. Czuli, że ich miłość będzie trwać wiecznie. Nie potrzebowali słów. Po co mówić to, co ich dusze wiedziały doskonale.

Złapał wargami jej palce, nie przestając patrzeć w oczy.

- Możemy zamieszkać tutaj, w Szkocji. Nie musielibyśmy zabierać twojej siostry z rodzinnych stron, zresztą mówiłaś, że kochasz tutejsze krajobrazy.

- Ale wiem, że ty ich nie znosisz! - Helena wybuchnęła śmiechem. - Nienawidzisz tego dzikiego kraju równie mocno, jak ja go kocham. Mój dom jest tam gdzie ty, choćby w gwarnym Londynie. A jeśli chodzi o Emmę, to podejrzewam, że podobnie jak ty, wolałaby Londyn.

- Ostatnio odkryłem, że naprawdę podoba mi się szkockie wybrzeże. To rześkie morskie powietrze i nieustające opady...

- Czyli wiatr i deszcz!

Guy uśmiechnął się i złożył leciutki pocałunek na obu policzkach żony.

- Ale najbardziej podoba mi się poszukiwanie skarbów na plaży. Zadziwiające, co można tutaj znaleźć na brzegu.

- Lordzie Varingtonie! - prychnęła.

- Wodorosty.

Uderzyła go w rękę z udawanym oburzeniem.

- Muszelki.

Oparła ręce na biodrach i uniosła brwi. -1... - kpiące iskierki zniknęły z oczu wicehrabiego -.. prawdziwą miłość.

- Och, Guy!

Zbliżyła się do niego. Ich usta się spotkały i złączyły w namiętnej afirmacji miłości.

Wziął ją na ręce i ruszył w powrotną drogę do Seamill Hall, zostawiając za sobą morze, które w bladych promieniach zimowego słońca wyglądało jak gładka tafla z jasnoniebieskiego szkła.